

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/410

1981



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

INSTYTUT LITERACKI - NOWA

J. N. RZECKI : POEMAT PRZEDPOTOPOWY

POMOC ZAGRANICZNA DLA POLSKI

M. BROŃSKI ROZMOWA Z AL. ZINOWIEWEM

Ks. F. BLACHNICKI :

O PEŁNY WYMIAR WOLNOŚCI KOŚCIOŁA

SPIS RZECZY

Redaktor:	<i>Do Czytelników „Kultury”</i>	3
—	<i>Umowa z „Nową”</i>	4
Zbigniew Byrski:	<i>O właściwą drogę</i>	6
Jerzy Klewiński:	<i>„Solidarność” po Zjeździe</i>	12
Jarosław Zadencki:	<i>Zdrada klerków</i>	18
M. Broński:	<i>Niestrudzony Arthur Koestler</i>	23
Józef Czapski:	<i>De Staël</i>	33

WIERSZE

Jan Napomucen Rzecki:	<i>Poemat przedpotopowy</i>	37
Lothar Herbst:	*	42
Henryk Grynberg:	**	42
Henryk Grynberg:	<i>Wróciłem</i>	42
—	<i>Pocztówka z Paryża</i>	43

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jiří Lederer:	<i>Polska i Europa</i>	45
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	49

SĄSIEDZI

M. Broński:	<i>Rozmowa z Aleksandrem Zinowiewem</i>	55
Borys Lewyckij:	<i>„Sowietskij narod”</i>	60
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	65
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	73
Włodzimierz Brylewski:	<i>Kronika białoruska</i>	77

KRAJ

Ks. Franciszek Blachnicki:	<i>O pełny wymiar wolności Kościoła</i> ..	82
Stanisław Piotrowski:	<i>Jak wygląda współczesna architektura polska? (III)</i>	89

SPRAWY I TROSKI

Janusz Rakowski:	<i>Moratorium dla kredytów bankowych PRL</i>	94
—	<i>Akcja pomocy dla Polski</i>	95

WIDZIANE INACZEJ

Kisiel:	<i>Przez odwróconą lornetkę</i>	103
---------	---------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Jan Lebenstein:	<i>Marek Oberlaender</i>	108
Adam Czerniawski:	<i>„Pocztówka kanadyjska z obrazkiem i legendą”</i>	110

KSIĄŻKI

Janina Katz Hewetson:	<i>Walka o treść czyli walka z głupstwem</i> ..	114
Adam Sutkowski:	<i>„Le karaïsme” Szymona Szyszmiana</i> ..	120
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	122



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	125
—	<i>Noty</i>	133



M. Borwicz, St. Frankiewicz, St. Kossowska, J. Mondry, J. Żuchowski (m):	<i>Listy do Redakcji</i>	136
--	--------------------------------	-----

DOKUMENTY

KSS „KOR”:	<i>Oświadczenie o rozwiązaniu się KSS „KOR-u”</i>	143
Marian Rajski:	<i>Współpraca gospodarcza Polska - ZSSR</i> ..	146
—	<i>Do Prenumeratorów „Kultury”</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1981

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

R. i B. Baczko, Genewa — zamiast kwiatów na grób Stefana Strelcyna	F. 200,00
Nina Chodak i prof. Szymon Chodak, Montreal — zamiast kwiatów na grób Stefana Strelcyna	F. 137,00
Jacqueline Dyjas, Paryż — pamięci Zygmunta Kona	F. 100,00
Nina i Józef Gombińscy, Londyn — celem uczczenia pamięci Elżbiety z Mazurów Sametowej, zmarłej 7. 10. 1981 r. w Mediolanie	F. 500,00
St. Gombińscy, Paryż — celem uczczenia pamięci Elżbiety z Mazurów Sametowej, zmarłej 7. 10. 1981 r. w Mediolanie	F. 500,00
Irena Horbaczewska, Londyn, w wykonaniu ostatniej woli śp. redaktora Kazimierza Okulicza, zmarłego w Londynie 2. 7. 1981 r. na wydawnictwo <i>Zeszytów Historycznych</i> — £ 100,00	F. 1.000,00
Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada) — zamiast kwiatów na grób śp. Marii Czapskiej, wybitnej autorki i szlachetnego człowieka — \$ c. 25,00	F. 115,00
Tadeusz Knapkiewicz, Winterthur (Szwajcaria), po raz 8-my Frs 90,00	F. 256,00
St. Leszczyński, St. Catherines (Kanada), po raz 6-ty	F. 150,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 2-gi	F. 120,00
L. Pilariski, Zurych (Szwajcaria) — pamięci dr. Michała Laszkowskiego z Buffalo, N.Y. (USA)	F. 250,00
Pamięci Wacława Zyndram-Kościałkowskiego w Dzień Zaduszny w Laubère — Żona	F. 100,00
Stanisław A. Radwański, Paryż, po raz 6-ty	F. 300,00
Norbert Żaba, Sztokholm (Szwecja) — dla uczczenia pamięci śp. Marii Czapskiej	F. 100,00
Zygmunt Wierski, Paryż — zamiast kwiatów na grób śp. Konsula Generalnego, Jana Małęczynskiego, w pierwszą rocznicę Jego śmierci	F. 1.000,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — na pomoc dla najbardziej potrzebujących w Kraju — zamiast prezentów na Boże Narodzenie — \$ US 500,00 (gotówka)	F. 2.750,00
Dr John J. Skuza, Park Ridge, Ill. (USA) — na opozycję w Polsce — \$ 40,00	F. 220,00
DZIĘKUJEMY!	
Dr Zygmunt Stankiewicz, Sztokholm (Szwecja) — na KSS „KOR” — Krs 200,00	F. 200,00
Tadeusz Brzostek, Paryż — na K.P.N. (obrona sądowa)	F. 200,00
Stanisław A. Radwański, Paryż — na T.K.N.	F. 500,00
Bezimiennie z Grenoble — na NSZZ „Solidarność”	F. 200,00
Anonimowo złożone przez klienta księgarni Libella w Paryżu na NSZZ „Solidarność”	F. 80,00
A.T. z USA — na „Kraąg” — \$ 323,00	F. 1.776,50
Na Apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: T. Dziekanowski, R. Winowski, M. Skowronek z New Jersey po \$ 50,00; W. Evans z Newark — \$ 30,00; G. Jezierski z Camden i B. Pilecki z Newark — po \$ 20,00; S. Billok z New Britain — \$ 5,00 — razem: \$ 225,00 z czego na: ROPCiO (Czuma) — \$ 110,00	F. 605,00
Studenckie Komitety „Solidarności” — \$ 110,00	F. 605,00
Konfederację Polski Niepodległej — \$ 5,00	F. 27,50
(Dalszy ciąg <i>Wpłąt</i> na str. 160)	

Do Czytelników „Kultury”

Liczne źródła i formy pomocy zagranicznej dla „Solidarności” — z jednej strony, a rosnąca chwiejność organizacyjna grup opozycyjnych w Kraju, których najbardziej dynamiczni członkowie zostali wchłonięci przez rozrastające się NSZZ „Solidarność” czy Niezależne Związki Studentów — z drugiej strony, skłaniają nas do próby przestawienia wielkiej i nieustającej ofiarności naszych Czytelników na cele krajowe. Doszliśmy do wniosku, że postąpimy słusznie koncentrując się na jednym celu, który wchodzi w zakres działania *wszystkich*, najmniejszych nawet grup opozycyjnych, a równocześnie pozostanie długo jeszcze koniecznością, niezależną od fluktuacji sytuacji krajowej. Tym celem jest niezależna, pozacenzuralna działalność wydawnicza.

Istnieją i nadal muszą istnieć dziesiątki oficyn wydawniczych i pism. Borykają się one z wielkimi trudnościami materialnymi i technicznymi, ale muszą być utrzymane. Ich zasługą jest odnowa, która wybuchała w 1980 roku, ich zadaniem jest jej utrzymanie i pogłębienie. Śledzimy uważnie ich pracę, gromadzimy ich wydawnictwa, z wieloma jesteśmy w stałym kontakcie, nasza współpraca zacieśnia się coraz bardziej i chcemy im pomagać. Proponujemy więc naszym Czytelnikom, aby zamiast dotychczasowych wpłat na różne cele i dla różnych adresatów stworzyć ogólny KRAJOWY FUNDUSZ WYDAWNICZY. Dotacje z niego będą wypłacane lub w rozmaitych postaciach przesyłane pozacenzuralnym wydawnictwom i pismom krajowym, które zwrócić się do nas z należycie uzasadnioną prośbą o pomoc. Co pewien czas będziemy informować ofiarodawców jak zostały zużytkowane ich wpłaty.

Ponieważ zawsze będzie szereg spraw wychodzących poza powyższe ramy, jak np. pomoc dla represjonowanych, udziela-



P. 9786 Chn. Arch.

nie stypendiów etc. — te potrzeby będziemy pokrywali z Funduszu „Kultury”, który tak wiernie jest zasilany przez naszych Czytelników. Pragniemy zaznaczyć, że dotychczasowe wpłaty są i będą przekazane w myśl zleceń ofiarodawców.

REDAKTOR

Umowa z „Nową”

zawarta pomiędzy INSTYTUTEM LITERACKIM w Paryżu
a NIEZALEŻNĄ OFICYNĄ WYDAWNICZĄ w Warszawie

- § 1. Przedmiotem umowy jest przekazanie praw wydawniczych i autorskich, będących własnością Instytutu Literackiego — Niezależnej Oficynie Wydawniczej „nowa”.
- § 2. Instytut Literacki reprezentowany jest przez red. Jerzego Giedroycia i Zofię Hertz, „nowa” (Konrad Bieliński, Grzegorz Boguta, Marek Borowik, Marek Chimiak, Mirosław Chojecki i Adam Michnik) reprezentowana jest przez Grzegorza Bogutę i Marka Borowika.
- § 3. Instytut Literacki przekazuje prawa wydawnicze i autorskie będące w posiadaniu Instytutu Literackiego — Niezależnej Oficynie Wydawniczej, z wyłączeniem praw do dzieł Witolda Gombrowicza i Czesława Miłosza. Respektując umowy już zawarte w odniesieniu do ich dzieł, wydawanie poszczególnych tytułów tych autorów będzie wymagało oddzielnego porozumienia. Przekazanie praw ograniczone jest do terytorium Państwa Polskiego.
- § 4. Instytut Literacki upoważnia „nową” do reprezentowania Instytutu Literackiego we wszystkich sprawach wynikających z praw Instytutu Literackiego na terenie Polski w stosunku do wszystkich wydawców i organów administracji i Państwa. Upoważnienie to dotyczy także praw wymienionych w § 3. Na książkach winna znaleźć się informacja, że prawa autorskie są własnością INSTITUT LITTERAIRE, PARIS.
- § 5. Należności z tytułu praw wydawniczych i autorskich uzyskane od wydawców krajowych (działających w Polsce) przekazywane będą na „Fundusz Kultury Paryskiej” w Polsce. Wysokość należności z tytułu praw autorskich ustala się na 3 % nakładu. W uzasadnionych wypadkach „nowa” może odstąpić od pobierania tych należności.

- § 6. Zasady działania „Funduszu Kultury Paryskiej” w Polsce określa Instytut Literacki (vide załącznik).
- § 7. Umowa traci ważność po sześciu miesiącach od daty wypowiedzenia jej warunków. Wypowiedzenia dokonuje się na piśmie. Uprawnienie to dotyczy stron umowy. Zmiany warunków umowy strony dokonują przez podpisanie aneksu stanowiącego integralną część niniejszej umowy.
- § 8. Umowa obowiązuje od dnia 1 listopada 1981 roku.
- § 9. Umowę sporządzono w trzech jednobrzmiących egzemplarzach.

Frankfurt/Main, dnia 18 października 1981 r.

ZA INSTYTUT LITERACKI ZA NIEZALEŻNĄ OFICYNĘ
WYDAWNICZĄ

(Zofia HERTZ)

(Grzegorz BOGUTA)

(red. Jerzy GIEDROYC)

(Marek BOROWIK)

Z A Ł A C Z N I K

do § 6. umowy zawartej w dniu 18 października 1981 roku we Frankfurcie nad Menem pomiędzy Instytutem Literackim w Paryżu a Niezależną Oficyną Wydawniczą w Warszawie:

„Zadaniem 'Funduszu Kultury Paryskiej' w Polsce będzie udzielanie stypendiów na opracowania czy badania z zakresu najnowszej historii Polski, socjologii itp., pomoc dla niezależnych wydawnictw znajdujących się w trudnościach i wydawanie specjalnych numerów 'Kultury'”.

O właściwą drogę

Już ponad 13 miesięcy trwają na Zachodzie rozważania: wejdą czy nie wejdą? W Polsce, jeśli o tym myślano — to po cichu. Czasem tylko padał jakiś głos przestrogi, przeważnie z góry. Polacy, skoro już raz zdecydowali o swoim losie, doszli do wniosku, że na decyzję moskiewskiego Biura Politycznego nie mają już większego wpływu, „bo przecież oni i tak są” — a gdzie aktualnie stacjonują ich dywizje to nieważne, bo przerzucić je łatwo. Zrozumieli wszelako jedno: że najskuteczniejszą prowokacją Sowietów jest okazywanie strachu przed ich potęgą. Nauczył ich tego Zachód od momentu, gdy na Kremlu rozsiadł się Breżniew. Od tego czasu poczęła się na Zachodzie drżączka, której jednym z ostatnich symptomów była skierowana pod adresem Polaków przez londyńskiego *Economist*'a przestroga, „...by Polacy uznali granice wolności, a teraz podstawowe prawdy ekonomiczne, jakże geografia i historia tak okrutnie im wytyczyła¹”. Monit *Economist*'a był ujęty w formie pytania, ale miał wyraźny charakter skarcenia. Twierdzenie o okrutnej „geografii, która wytyczyła Polakom granice wolności i narzuciła im podstawowe prawdy ekonomiczne” brzmi na łamach *Economist*'a nieco zagadkowo. Zwłaszcza ostatnio, kiedy to wprawdzie nie *Economist*, ale potężna angielska Partia Pracy okazuje wyraźne objawy paniki przed Sowietami, a pod przewodem swego przewodniczącego, p. Alexa Kitsona domaga się jednostronnego rozbrojenia nuklearnego. Widocznie czuje się na swojej geograficznie znacznie lepiej od Polski ulokowanej wyspie bardzo niepewnie w obliczu 60 tysięcy sowieckich czołgów i iluś tam pocisków

1. *The Economist* z 12. IX. 1981. Tłumaczenie *Nowego Dziennika*, New York, 16. IX. 1981.

SS 20, skoro boi się strategicznej pomocy amerykańskiej, a politykę Reagana uważa za prowokowanie Sowietów. Pod tym względem labourzyści dystansują niezapomnianej pamięci Chamberlaina. A może położenie geograficzne im też nie dogadza i w tych warunkach uważają, że najbezpieczniej jest mieć do dyspozycji tylko Armię Zbawienia i Straż Ogniwą, bo te nie rozgniewają Breżniewa? Ale w takim razie niech nie udzielają rad Polakom — bo ci już na pewno nie wezmą ich za dobrą monetę. Najwidoczniej cały świat ma niedobre położenie geopolityczne wobec Sowietów. Anglia też nie ma powodu, by cieszyć się swym kanałem. Może chronił ją dobrze przed Napoleonem. Trochę gorzej przed Hitlerem. Dla Breżniewa — to jednak już nie żaden kanał, ale zwykły rów. W ogóle na Europę Zachodnią — w miarę jak Ameryka przytomnieje — padł paniczny strach. Powiewają nad nią sztandary z napisami: „Kapitulanci wszystkich krajów łąćcie się!”. Tylko znowu niesforne Polacy — tak jak 42 lata temu — nie chcą doszłusować.

Cudzy strach łatwo pojąć — zwłaszcza po latach chwiejności, sowieckich obietnic i powolnego osłabiania chęci narodowego przetrwania. Widocznie dobrodziejstwa samodzielnego bytu trzeba utracić, żeby zacząć je cenić. W takich sytuacjach oprzytomnienie zwykle przychodzi — ale za późno.

Jeśli jednak wrócimy do spraw ściśle polskich, to dziwię się nieco tym, którzy przestrzegają Polskę przed „wojną domową”. Wojna domowa to taka, w której Polacy walczyliby przeciw Polakom. I to wcale nie ci umundurowani przeciw cywilom, ale rozmaicie — jak się trafi. Ponieważ 90 % ludności stoi za „Solidarnością”, nie wiadomo, gdzie mieliby się znaleźć ci „drudzy” Polacy. W aparacie partyjnym czy w siłach bezpieczeństwa? Nawet te ostatnie okazały się dosyć niepewne, skoro 400 milicjantów ze Żmudziakiem na czele połączyło się z „Solidarnością”, za co wylecieli ze służby. A co będzie, jeśli w krytycznym momencie połączy się 4.000? Więc chyba chodzi tu o część aparatu? Ale to sojusznik bardzo niepewny, który przejdzie natychmiast na stronę tego, kto zacznie wygrywać. Więc może „Stowarzyszenie Patriotyczne Grunwald” i ostatnio seminarium marksistowskie na Śląsku, czyli tzw. „stara gwardia”? Stara nie tyle wiekiem, ile niewygasającymi nadziejami. Ale ta „stara gwardia” bardzo niepodobna do napoleońskiej. Sztandary jej nie tylko wylądowały, ale i bardzo nieatrakcyjne.

Z tego wszystkiego nie wynika bynajmniej, że perspektywy w Polsce są różowe. Przeciwnie. Przede wszystkim okazało się, że Partia nie jest taka bezsilna i bezwładna jak to sądzono na konferencji Krajowej Komisji Porozumiewawczej w lipcu br., w

czasie której mówiono, że rząd nie tylko nie bardzo chce uprzędkować gospodarkę, ale przede wszystkim nie jest do tego zdolny. Obecnie wiemy, że choć niemożność też odgrywa rolę, to przede wszystkim nie chciał i dalej nie chce. A jeśli nie chce, to nie trzeba mu wskazywać dróg uzdrowieńczych reform, ani nie warto dawać rad i tak bardzo proponować współpracę, której sobie nie życzy i nie oczekuje². Dlatego obecny bilans stosunków między partią, rządem a narodem przedstawia się źle. Ogólnie — jak mówią Polacy z kraju — nastrój jest wspaniały, a położenie ekonomiczne upiorne. Dlatego sytuację wypada szacować uwzględniając oba te czynniki.

Jak długo entuzjazm ludowy i wiara, niezasilane białkiem, tłuszczem i węglowodanami mogą stanowić siłę napędową polskiej rewolucji? Czy „kiszka kaszana” jako symbol codziennego życia Polaka, o której kilka lat temu pisał Leszek Kołakowski, zredukowana została do swej nikczemnej roli i straciła czar? Straciła, gdy miliony Polaków słuchały mszy świętej, celebrowanej przez Jana Pawła II i później — gdy kraj przeżywał entuzjazm i wzburzenie. Ale Polacy nie są narodem z żelaza. Tylko niektórzy z nich. Dlatego w codziennych przygnębiających dniach zaostrzającego się kryzysu ekonomicznego entuzjazm i wiara muszą przywiednąć, a „kiszka kaszana” stanie się znów symbolem codzienności — z tym, że będzie trudniej osiągalna niż przedtem. „Kiszka kaszana” jest śmiertelnym wrogiem polskiej Rewolucji. Żeby zneutralizować jej działanie, trzeba ją zapełnić półki sklepów spożywczych. Nie lekceważę gotowości Polaków do wyrzeczeń. Gotowi są wytrzymać długotrwałe obleżenie pod warunkiem, że będzie ono wymierne w czasie. Ale Sowietów nie naglą żadne terminy. Na Zachodzie liczy się tylko wielka inwazja z tysiącami czołgów wkraczającymi od wschodu, zachodu i południa. Jeśli Polska załamie się pod naciskiem blokady, którą Sowiety prowadzą wraz z sojusznikami KDL-owskimi, Zachód oceni, że Sowiety nie interweniowały, że zachowały czyste ręce, zaś amerykańskie *mass media* oskarżą ponownie Sekretarza Stanu

2. Współpraca wypowiedziana została jednostronnie. Przypominamy tu przemówienie wicepremiera M. Rakowskiego, który uznał wzajemne stosunki Rząd - Solidarność za pogrzebane, oraz oświadczenie Biura Politycznego PZPR z 21 września, stwierdzające, że Zjazd Solidarności stanowił „faktyczne wywłaszczenie klasy robotniczej”. Obydwa wystąpienia miały miejsce niezwłocznie po komunikacie TASS-a, który nazwał obrady Zjazdu „anty-sowiecką orgią”. Mimo że ton wypowiedzi w czasie obrad drugiej fazy sowiecką orgią”. Mimo że ton wypowiedzi w czasie obrad drugiej fazy sowiecką orgią”. Mimo że ton wypowiedzi w czasie obrad drugiej fazy sowiecką orgią”. Mimo że ton wypowiedzi w czasie obrad drugiej fazy sowiecką orgią”. Mimo że ton wypowiedzi w czasie obrad drugiej fazy sowiecką orgią”. Mimo że ton wypowiedzi w czasie obrad drugiej fazy sowiecką orgią”. Mimo że ton wypowiedzi w czasie obrad drugiej fazy sowiecką orgią”.

Alexandra Haiga o podżeganie do antysowieckiej krucjaty. Dlatego radykalna przebudowa struktury ekonomicznej Polski jest koniecznością. Powinno to być zadaniem czysto pragmatycznym, wolnym od wszelkich emocji antykomunistycznych. Ze starego modelu należy zachować to wszystko, co może okazać się przydatne albo czego pozbyć się na razie nie sposób. Ten nowy kształt Polski powinien być zdeterminowany wyłącznie dwoma celami: potrzebą zachowania zdobyczy politycznych i wyrwania kraju z katastrofy gospodarczej. Możemy to nazywać jak najbardziej prawowiernymi terminami, o ile to oczywiście na coś się zda, ponieważ połączenie tych dwóch celów, jakiegokolwiek ideologiczne łamańce będą się dokonywać, oznacza koniec komunizmu w Polsce. Nie ma też mowy, żeby dokonać tego szybko. Przemiany polityczne mogą następować lawinowo; raz wszczęte, trudne są zwykle do zahamowania. Ale jeśli pozostanie się przy starym modelu ekonomicznym, skutki są łatwe do przewidzenia, a jeśli ktoś ich nie przewidział, to doświadczył ich na sobie w ciągu ubiegłego roku. Do tego dochodzi jeszcze jedna ważna okoliczność: pod wpływem ostatniej presji Moskwy władze i aparat Partii nabrały nowego wigoru w swej woli oporu i przeciwstawienia się Polskiej Rewolucji. Moskwa być może przekonała część kadry, że walka z narodem jest nie tylko walką o władzę ale o fizyczne istnienie, co jest oczywistą nieprawdą. Dlatego należy jak największy procent masy partyjnej wciągnąć w orbitę interesów społeczeństwa, separować te środowiska, które ciągle jeszcze szukają oparcia w Sowietach, by zredukować ich rolę do pozbawionych wszelkiego wpływu izolowanych grup. Nie chodzi bynajmniej o to, by Partię — jako aparat ucisku — obezładnić do końca, ale o to, by masę jej członków przekonać, że naród polski stał się siłą, z którą powinni związać swój los. Powinni to zrozumieć nie tylko szeregowi członkowie Partii, ale tysiące tych aparatczyków, którzy trafili do Partii przez zwykły ludzki oportunizm. W ten sposób linia podziału przebiegać będzie coraz wyraźniej i oddzieli Sowiety wraz z oddanymi im na śmierć i życie ludźmi (niekoniecznie agentami) od reszty narodu możliwie ostro i wyraźnie. Ale żeby to osiągnąć, potrzebna jest ze strony „Solidarności” większa determinacja i większa wiara, że Sowiety nie odważą się na inwazję, a wojsko polskie — do czego obecnie prze Kreml — nie skieruje broni przeciw współrodakom. Tylko taka postawa może przyciągnąć chwiejnych i wahających się. Nie ma to nic wspólnego z brawurą, ale z prostym rozeznaniam ludzkich motywacji. W Polsce są setki tysięcy, jeśli nie miliony ludzi odważnych i zdecydowanych, którzy bynajmniej nie uważają się za desperatów. Ale na pewno jest jeszcze więcej ostrożnych czy też, jak kto woli, oportunistów. Właśnie ich trzeba przeko-

nać, że stawka na rewolucję narodową jest mniejszym ryzykiem niż kapitulacja. Że jest nie tylko walką słuszną i patriotycznym obowiązkiem Polaków, ale praktyczną koniecznością i że 35 milionom Polaków zdecydowanym na odzyskanie niepodległości nie jest w stanie przeciwstawić się nawet potężny Związek Sowiecki. Żaden naród nie składa się ze szlachetnych i oddanych sprawie patriotów. Ci nadają tylko kierunek. W krytycznym momencie w Polsce szalę przeważą szara masa. Nie idealizujmy Polaków mimo potężnego zrywu, który się w Polsce dokonał. Ta masa jest tak samo szara jak we wszystkich przeoranych cywilizacją materialną narodach. Do tych nieatrakcyjnych realiów wypada przystosować metodę walki, na drogę której Polska zdecydowanie wkroczyła od początków Pierwszego Zjazdu „Solidarności”, którego druga faza wciąż jeszcze trwa, gdy piszę te słowa.

W czasie nadchodzących miesięcy muszą zostać spełnione dwa warunki zabezpieczenia celów polskiej rewolucji. Po pierwsze musi zostać zabezpieczona władza polityczna narodu w przejściowym okresie reform gospodarczych. Prerogatywy ustawodawcze Sejmu — jako suwerennego organu narodu — zgodnie z postulatem Zjazdu „Solidarności” winny zostać mu przywrócone. Środki masowego przekazu nie mogą pozostać „środkami masowego rażenia” w rękach rządu — jak się wyraził o nich jeden z delegatów na Zjeździe. Nie powinny służyć niczyjej propagandzie, lecz być wyłącznie instrumentem informacji i platformą dyskusji, na której nie będzie uprzywilejowanych, na której również komuniści — zresztą nie tylko sowieckiego chowu — będą mieli prawo głosu. Zabezpieczenie praw politycznych narodu i obalenie w tej dziedzinie monopolu Partii jest tym bardziej konieczne, że droga do przebudowania modelu gospodarczego jest ciężka i zmusza, jako że nikt nie zna tu recept ani nie wypracowano szczęśliwie żadnej doktryny. Będzie ona na pewno drogą prób, błędów i potknięć, które tym ciężiej będzie prostować, że naród ma za sobą ciężkie doświadczenia 36 lat komunizmu i gorzkie błędzenia po omacku ostatniego roku. Zresztą błędzić po omacku być może trzeba będzie jeszcze dłużej. Dlatego gwarancją musi być władza polityczna wyłonionej reprezentacji i władzy wykonawczej narodu. Zacząć trzeba od tego, by produkować surowce, żywność i towary w *każdych możliwych warunkach* oraz odbudować dystrybucję — byle by osiągnąć, jako punkt wyjściowy, przynajmniej poziom z sierpnia 1980 roku. Rewolucję polską rozpoczęto niszcząc stare struktury ekonomiczne i nie mając innych dla ich zastąpienia. Było to zrozumiałe w warunkach na wpół spontanicznego ruchu ludowego. Obecnie jednak, gdy nie dysponujemy żadnym nowym modelem gospodarczym — a nim się on zrodzi, wiele wody upłynie w polskich rzekach — musimy

przywrócić i przejściowo usprawnić stare struktury gospodarcze. Te, jakkolwiek niewydolne, lepsze są od żadnych lub kompletnie zdeorganizowanych. Oczywiście przywrócenie starych struktur nie oznacza reaktywowania dawnych ich menadżerów. Ci, niezależnie od wadliwego systemu, okazali wielokrotnie swą bądź nieuczciwość, bądź złą wolę lub nieudolność. Pozostawienia niektórych z nich nie można wykluczyć. Musi to zależeć od załogi. Zresztą rola tych pozostawionych będzie równie przejściowa jak przejściowość całego systemu ekonomicznego Polski, będącego masą upadłościową komunizmu. Tak więc Polacy muszą uczynić to, co uczynił Lenin we wczesnych latach porewolucyjnych, gdy stara ekonomiczna struktura carskiej Rosji została zdruzgotana wojną i rewolucją. Żeby móc wcielić w życie swą doktrynę, musiał okresowo dopuścić kapitał prywatny w postaci NEP-u (Nowej Polityki Gospodarczej), żeby Rosji dać oddech do porewolucyjnego startu i wcielania w życie nowej doktryny. To, że doktryna ta okazała się tragiczną pomyłką historii, więcej, początkiem agonii wielu ludów, rozciągniętej na dziesiątki lat, jest w tej chwili sprawą kompletnie nieważną. W polskich warunkach istotna jest strategia Lenina, który zawiesił swą doktrynę na kołku, by oczyścić pole do jej zastosowania w chwili, gdy ludność dawnego imperium rosyjskiego zamieni łąchmany na odzież i choć częściowo nasyci żołądki. Żeby ryzyko owego odwleczenia komunizmu podjąć, jeden warunek musiał być spełniony: władza polityczna Partii Komunistycznej miała być zagwarantowana. Analogiczny choć odwrotny warunek winien być spełniony w Polsce. Partia Komunistyczna musi być od władzy odsunięta. Porachunki z członkami Partii są zbędne. Dla wszystkich, którzy chcą budować Polskę na nowych podstawach, droga jest otwarta. Dla Polaków lat 1981-1982, a może jeszcze 1982-1983 nie ma innej metody jak (w początkowej fazie) NEP *à rebours*. Polacy, w przeciwieństwie do Lenina i Trockiego z tamtych lat, nie muszą żadnej doktryny zawieszać na kołku, bo żadna — ani podobna ani odwrotna do niej — w głowach doktrynerów nie powstała. To, że jej nie ma stawia Polaków w pozycji zarazem łatwiejszej i trudniejszej. Łatwiejszej — bo nie muszą z żadnego wydumanego panaceum rezygnować. Trudniejszej — bo przy braku wszelkich wzorów droga ich będzie usiana trudnościami i błędami. Partia nigdy nie uczyła się na błędach, choć zasadę tę głosiła chętnie i ochoczo. Polacy uczyć się będą chętnie i bez niepotrzebnej deklamacji.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 2 października 1981 r.

„Solidarność” po Zjeździe

Wszelka ocena polityki „Solidarność” musi rozpocząć się od jasnego stwierdzenia: bez „Solidarność” — obojętne, czy uważamy ją za ruch społeczny, za związek zawodowy czy też za ugrupowanie niemal polityczne — *wszystkie* przemiany w Polsce byłyby niemożliwe lub, w najlepszym razie, odbywałyby się nieporównanie wolniej i w rezultacie nieporównanie większego nakładu pracy. Aby w pełni uchwycić, jak nieprawdopodobną siłą jest „Solidarność”, wystarczy przypomnieć, że przed 2-3 laty o jednozdaniowe wspomnienie roku 1956 czy 1968 trzeba było walczyć z cenzurą bez większej nadziei na zwycięstwo; że jakkolwiek próba interwencji w sprawie warunków panujących w więzieniach była z góry skazana na niepowodzenie; że poseł, który miał choćby nieco odmienne zdanie od obowiązującego, uważany był za szaleńca lub opanowanego donkiszoterią maniaka. To już wiemy, mniej jasno widzimy na razie zakres, znaczenie i nieodwracalny charakter przemian w życiu politycznym i w postawach politycznych Polaków. Sądzę, że bezpiecznie można uznać, iż przemiany te posunęły się dalej niż zwykliśmy sądzić, że nasza ocena, skażona nawykami, obawami i emocjami, w każdym konkretnym momencie pozostaje z tyłu za rzeczywistością. Jest to zresztą sytuacja typowa dla wszelkich rewolucji, a przecież w Polsce mamy do czynienia wprawdzie z ograniczoną, ale bez wątplenia z rewolucją.

To powiedziawszy, zajmijmy się problemem nieco bardziej szczegółowym, a mianowicie problemem polityki „Solidarność”. „Polityka” oznacza tu taktykę i strategię tej organizacji, taktykę i strategię stosowaną na zewnątrz i do wewnątrz. Taką „politykę” posiada każda organizacja bez względu na to, czy żywi ambicje uczestniczenia w podejmowaniu decyzji na poziomie państwowym, decyzji odnoszących się do polityki międzynarodowej, militarnej itd. Taką politykę można odnaleźć w działaniach „Solidarność” i jest to po części polityka uprawiana świadomie i

konsekwentnie, a po części polityka wynikająca ze ścierania się wielu sił, zarówno sił „Solidarność” jak i sił zewnętrznych: państwa, Kościoła, partii, grup intelektualistów, a także tych sił, o tyle trudniejszych do zidentyfikowania, jak presja mentalności społecznej i religijności popularnej, ksenofobii i tradycji tolerancji i wreszcie wciąż, jak się okazuje, żywych nakazów narodowych i moralnych wyrażanych przez takie maksymy jak „za Waszą wolność i naszą”, „Boże coś Polskę” i inne, tak chętnie dzisiaj powtarzane.

Rozpocząć należy od sprawy podstawowej — stosunku „Solidarność” do władzy komunistycznej. W punkcie startu „Solidarność” chciała od władzy dużo — zgody na powstanie niezależnego związku, ale i niedużo, bo myślała działać równoległe do władzy komunistycznej, myślała stworzyć swój świat paralelny. Znana niechęć przywódców związku do interesowania się zmianami na szczytach (wyrażona z okazji zmian w rządzie i Biurze Politycznym w końcu sierpnia 1980) świadczyła o tym dowodnie. Dzisiaj niechęć ta zanikła, słyszymy skargi na wicepremiera Rakowskiego, Obodowskiego i na innych, wyrażane często z gwałtownością świadcząca o stopniu zaangażowania w ten świat, o niegdyś niechcianym przeplataniu się ambicji i interesów. Tak więc zamiast pierwotny okazał się niemożliwy do przeprowadzenia. Jeżeli „Solidarność” miała nadzieję na to, że władze umożliwią jej spokojny rozwój na własnym, paralelnym świecie, to nadzieje te okazały się piękne, ale nierealne, zarówno z natury tej rzeczy, jaką jest życie społeczne, jak i w wyniku obrony przez władzę swoich interesów oraz w wyniku zwyczajnej złej woli władzy.

Sprawa złej woli wydaje się tu szczególnie istotna. Odróżnić należy świadome działanie powodowane złą wolą, będące w pewnym stopniu nie do przewidzenia, od złej woli jakby strukturalnej, to znaczy wynikającej z nie dość wciąż uświadomionego faktu, iż władza komunistyczna, jak bardzo by nawet chciała, nie może czegoś takiego jak „Solidarność” zaakceptować. Z faktu tego, jak się wydaje, nie zdają sobie do końca sprawy także ludzie władzy względnie pozytywnie nastawieni do „Solidarność” i temu przypisać należy polityczną porażkę Mieczysława Rakowskiego. Nie w pełni uwzględniają konsekwencje tego faktu także działacze i przywódcy „Solidarność”. Jest to „siła fatalna”, która nie pozwala i nie pozwoli na stworzenie rozwiązań kompromisowych, do których przecież wszyscy lub niemal wszyscy chcieliby dążyć. Działanie tej „siły fatalnej”, niezależnej od jakichkolwiek czynników subiektywnych, powoduje niekończący się stan kryzysu.

Takie są podstawowe przyczyny, dla których nie można rozwiązać problemu reformy gospodarczej, takie są też przyczyny braku stabilizacji politycznej, braku nowych i niezbędnych rozwiązań instytucjonalnych na poziomie państwowym. Przeciągnięcie decyzji w sprawie reformy gospodarczej nie wiąże się — wbrew pozorom — z trudnościami merytorycznymi. Wobec sta-

nu polskiej gospodarki jest oczywiste, że reforma musi być całościowa i radykalna, musi *rozpocząć się* od stworzenia gospodarki rynkowej. Ale taka reforma musi również wiązać się ze zmianami w strukturze władzy, czyli — mówiąc wprost — władza komunistyczna musi *całkowicie* zrezygnować z władzy nad gospodarką. I oto — co rozumiałe — władza komunistyczna nie chce zrezygnować i chcieć właściwie nie może.

Jeśli „Solidarność” nie zda sobie do końca sprawy z konsekwencji tego faktu, nie będzie w stanie odróżnić przeszkód o charakterze zasadniczym od tych, które są do pokonania przy pomocy kompromisu, porozumienia itd. Nie chodzi mi o to, by nakłaniać przywódców „Solidarności” do rezygnacji z atakowania przeszkód zasadniczych, strukturalnych, lecz o to jedynie, by wiedzieli, z jakimi przeszkodami mają do czynienia i odpowiednio dobierali środki. Uwaga dotyczy się zresztą nie tylko „Solidarności”, ale i innych ciał społecznych, powstających w ostatnim okresie, rozmaitych klubów i rad, które pretendują do odegrania politycznej roli. Innymi słowy: wydaje się, że namnożyło się mediatorów, zwolenników porozumienia, którzy sądzą, że idzie tu o porozumienie między ludźmi, porozumienie typu „Polak z Polakiem”, a nie o znacznie trudniejsze porozumienie między siłami, między instytucjami, których interesy porozumienie mogą wykluczać.

Lecz cóż wobec tego? Jeżeli porozumienie — wbrew najlepszym chęciom — jest niemożliwe, to co czynić, skoro walka na śmierć i życie jest ze względu na interesy ogólnonarodowe nie do przyjęcia? Pozostaje zawieszenie broni i jawny, handlowy, cyniczny niemal kompromis. Żeby jednak taki kompromis był możliwy i żeby był skuteczny, musi się wyznać obustronnie gotowość do rezygnacji z części wpływów i władzy, uzyskując w zamian gwarancję swobody działania na pozostałym terytorium. Chodzi tu przede wszystkim o decyzje z zakresu psychologii społecznej, czy też mentalności.

Olbrzymia większość przywódców „Solidarności” czuje tak jak olbrzymia większość Polaków, to znaczy do władzy komunistycznej ma stosunek tylko i wyłącznie negatywny. Wobec tego cieszy ich każda okazja, kiedy można władzy tej mniej lub bardziej zaszkodzić. Po stronie władzy, na wyższych szczeblach partii przeważa — jak sądzę — nastawienie identyczne, tyle że *à rebours*. Przywódców „Solidarności” uważa się — w gorszym przypadku — za wrogów socjalizmu czyli partii, których chwilowo nie można zniszczyć, ale których powoli musi się jakoś wykończyć, albo też, w lepszym przypadku, za pętałów, amatorów, którzy mieszając się do spraw państwowych utrudniają sprawne przeprowadzenie „odnowy”, do czego zdolna i powołana jest jedynie partia; nie ze względów ideologicznych, ale dlatego, że tylko partia dysponuje odpowiednimi umiejętnościami i doświadczeniem.

Otóż myślę, że nadeszła już pora, by zastąpić napięcia psychologiczne rozumowaniami politycznymi, a w każdym razie przesu-

nąć emocje, antypatie i sympatie do sfery prywatnej. Dopiero potem będzie można sensownie rozważać ewentualność taktycznego, handlowego niemal kompromisu, skoro o żadnym innym porozumieniu mowy być nie może. Dopiero wtedy, rozumiejąc ograniczenia i kontekst takiego ewentualnego kompromisu, można będzie znaleźć wyjście z sytuacji pozornie bez wyjścia. Nie apeluję o dobrą wolę, nie wołam o wspólne rozumienie interesu narodowego, bo być może nie jest to naprawdę możliwe, sądzę jedynie, że możliwy i konieczny jest taktyczny, doraźny kompromis. Ale musi to być kompromis oparty na regułach identycznych jak te, które stosuje się w transakcjach finansowych. Wszystko musi być jawnie, precyzyjnie określone i musi podlegać kontroli. Bo przecież przez pewien jeszcze czas zewnętrzne warunki politycznego działania „Solidarności” będą stosunkowo niezmiennie, więc kompromis spełniający powyższe warunki, to znaczy nie angażujący sfery idei i wartości, celów ostatecznych i naturalnych odruchów oraz emocji, kompromis jawnie i niewątpliwie ograniczony obustronnie do sfery taktyki jest niezbędnym.

Kompromis tego rodzaju miałby także kolosalne znaczenie dla wewnętrznego życia „Solidarności”. Każdy, kto choćby pośpiesznie zapoznał się z olbrzymią prasą „Solidarność”, publikowaną przez regiony i fabryki, szkoły i muzea, a także prasą studencką i prasą wydawaną przez młodzież szkolną natychmiast dostrzeże, że jest ona niezwykle mocno przesiąknięta resentymentami. Są to resentymy rozmaite: pisze się o fałszowaniu historii i o niedostatecznej suwerenności Polski, o nadużyciach władzy i o niszczeniu inicjatyw społecznych, o bohaterach narodowej legendy zepchniętych przez władze do podziemia i o nonsensach w zarządzaniu gospodarką, o prześladowaniach w latach stalinowskich i o utrudnianiu pracy Kościoła. Taka tematyka wypełnia miesięczniki, tygodniki i jednodniówki. Jest to całkowicie rozumiałe, a resentymy te są najzupełniej naturalne. Wszelako myśl opanowana przez bogoojczyźniane resentymy nie najlepiej nadaje się do rozważania sytuacji politycznej.

Uwolnić się od tych sentymentów nie można, jeżeli się nie zrezygnuje chwilowo z domagania się części prawd, które były ukrywane, z domagania się naprawienia tego, co albo natychmiast naprawić się nie da, albo nie należy do spraw najważniejszych.

W trakcie rozmaitych rewolucji powstawały spontanicznie organizmy społeczne głoszące szczytne często ideały i ożywione tak przecież ludzkimi uczuciami: pragnieniem naprawy zła dokonanego w przeszłości, natychmiastowego skasowania nędzy, nierówności, mówienia tylko i wyłącznie prawdy i poznawania prawdziwych dziejów jedynego prawdziwego podmiotu życia społecznego — ludu. Jak to już wielokrotnie zauważono, szlachetne te pobudki i wynikające z nich zabiegi odwracały uwagę i ludu

i jego przywódców od rzeczywistości i od polityki. Wydaje się, że podobne niebezpieczeństwo istnieje też obecnie. Nie wynika stąd, że ideały i wartości mają drugorzędne znaczenie, wynika natomiast, że uprawianie polityki na gruncie rzeczywistości jest zajęciem odrębnym, które powinno być uprawiane równocześnie i które wymaga również nakładu czasu i talentu. Bez polityki, wskutek lekceważenia chłodnych zajęć taktycznych i kompromisów, może dojść do sytuacji, w której nie zrealizuje się ideałów w rezultacie nadmiaru idealizmu.

W praktycznej sytuacji polskiej uwagi powyższe można przełożyć na kilka postulatów. Przede wszystkim zadanie wszystkich tych działaczy „Solidarności”, którzy zajmują się nie tylko różnymi czynnościami organizacyjnymi, polega na nieustannym odczyszczeniu obrazu rzeczywistości z naleciałości emocjonalnych, na korygowaniu rozumowania błędnego, bo opartego na resentymentach. Ponadto na formułowaniu alternatyw, pokazywaniu jakie rozwiązania danej sytuacji są w ogóle możliwe i jakie będą ich ewentualne konsekwencje.

Drugi postulat dotyczy podziału funkcji, z czym zawsze w Polsce były wielkie trudności. Działać powinni tylko faktyczni przywódcy związkowi, a tzw. intelektualiści powinni radzić, analizować, krytykować, a więc posługiwać się tymi talentami i tymi narzędziami, w które zostali wyposażeni. Tymczasem obserwujemy masową ucieczkę od biurka intelektualistów, spośród których niektórzy mogliby się zajmować krytyką i analizą polityki. W najlepszym razie pozostają doraźne artykuły pisane z doraźnymi intencjami dla czytelnika, o którym wiadomo, że czeka tylko na to, że rzekomo nie chce i nie potrzebuje lektur poważnych, zasadniczych. Prawda, że polska „rewolucja”, tak spon-taniczna i nie posiadająca precedensów, była na początku bardzo trudna do opisania w języku kategorii i porównań, jedynym języku socjologii i tzw. politologii. Minął jednak już ponad rok i pora na chłodne analizy rozmaitych fragmentów życia społecznego.

A wreszcie, pora na oceny. „Solidarność” nie jest już tak krucha, żeby jakkolwiek ostrość i negatywne kwalifikacje miały jej zaszkodzić. Pora na to, by intelektualiści przypomnieli sobie lub zdali sprawę z własnych interesów a także z tego, jakiej Polski chcą i jaki własny świat chcą w tej Polsce mieć. Przecież ów bogoojczyźniany nastrój, odległy wprawdzie od wszelkiej endeckości, ale odległy także od tego, co zwykło się nazywać elitaryzmem umysłowym, zmysłem pluralizmu i krytycyzmu, nie stwarza normalnego, naturalnego środowiska dla intelektualistów, dla ludzi kultury czy też dla ludzi o upodobaniach cywilizacyjnie nieco odmiennych. O zmianę tego nastroju lub o pluralizm nastrojów można walczyć i w „Solidarności” i obok „Solidarności”. Zaniechanie wszelkich wysiłków byłoby równe zapoznaniu przez intelektualistów swojego powołania, za co *zawsze* w historii najnowszej kary były surowe. Ale, co ważniejsze, byłoby równe

rezygnacji z wykonywania obowiązków wobec innych grup społecznych, wobec całego kraju.



Sądzę więc, że sprawą najpilniejszą jest uzyskanie przez „Solidarność”, przez wszystkich, którzy aktywnie w niej działają, lub też aktywnie są po jej stronie, potrójnej świadomości. Świadomości swojego miejsca w świecie zewnętrznym, świadomości tego, czego chcą i czasem muszą chcieć inni, oraz świadomości wewnętrznej, stojącej ponad resentymentami i jednościami (zapewne przydatną) frazeologią. Uzyskanie tej potrójnej świadomości nie dojdzie do skutku samo z siebie, bez pracy umysłowej i woli poznania rzeczywistości. Jeżeli „Solidarność” pozostanie w sferze bogoojczyźnianych wyobrażeń to — choć są one tak cenne dla każdego Polaka — albo sama się zatraci w chaosie nieporozumień ambicjonalnych, emocjonalnych i intelektualnych, albo skłoni ludzi nieco inaczej myślących do poszukiwania innych dróg w polityce, co dzisiaj na pewno nie byłoby pożądane.

Jerzy KLEWIŃSKI

ZAPIS 15

POEZJA — PROZA — ESEJE — KRONIKA

POEZJA — K. Dawidowicz, R. Krynicki, A. Pawlak, T. Venclova, A. Zagajewski; PROZA, ESEJE — M. Chojecki: *Rękopis więzienia*; Kisiel: *Myśli krótkie i niejasne*; G. Konrad: *Współwinowajca*; A. Lundkvist: *O poezji*; A. Micewski: *Wielkie patetyczne słowa*; H. Mikołajska: *Głósówka*; A. Szczypiński: *Długopisem na marginesie — Conrad 1980*. Recenzje (T. Burek, S. Barańczak) — Kronika.

W ZAPISIE ukazały się i są dostępne powieści:

Tadeusz KONWICKI: *MAŁA APOKALIPSA* (Zapis 10)
Julian STRYJKOWSKI: *WIELKI STRACH* (Zapis 14)

Nadal w sprzedaży ZAPIS nr 1, 4 i następne.
Cena 1 egzemplarza: \$ 10,00, FF 40,00 w Wielkiej Brytanii — £ 4.00.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

INDEX ON CENSORSHIP

21 Russell Street, London WC2B, England

Zdrada klerków

Trzeci z kolei raport konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, zredagowany przez grono intelektualistów partyjnych, bezpartyjnych i katolickich, przynosi niestety wiele rozczarowań. Można było jeszcze zrozumieć pojedynczy i ustępliwy ton pierwszego i drugiego raportu, a nawet poprzec tego rodzaju umiarkowaną inicjatywę obywatelską. Ale zadziwiające jest, że po tym wszystkim, co się w naszym kraju zdarzyło — gdy komunizm wali się w gruzy, gdy pojawiła się szansa na „wybicie się na niepodległość” — ton autorów DiP-u pozostaje niezmienny. Mówi się w trzecim raporcie dużo o partii nowego typu Lenina, o wspaniałej i przebogatej myśli socjalistycznej, o koncepcjach Gramsciego itd. Do tego chóru sił postępu doszlusowują oczywiście katolicy z Soborem Watykańskim II i bezwzględnym potępieniem reakcji i klerikalizmu. W całym natomiast tekście nie ma ani słowa o prawie do niepodległości, o zależności od Sowietów, czy o tradycji niepodległościowej — polskiej.

Pewien polski generał powiedział kiedyś: „o powinnościach nie zwykłem rozumkować”. Tak właśnie: to co prezentuje nam DiP w swoim tekście nie jest bynajmniej głosem rozsądku i rozważań ale rozumkowaniem, gdzie najistotniejsze dla sytuacji kraju sprawy pozostawia się z reguły „poza dyskusję”; nie jest przejawem odpowiedzialności za kraj i naród, ale tak dobrze znaną z historii XX wieku „zdradą klerków”.

Idea raportu jest mniej więcej taka: to, co się stało, to, co zostało wywalczone jest wspaniałe i za wszelką cenę należy to utrzymać. Przemiany są potężne, ale trzeba je wziąć w karby, aby nie powstał chaos i anarchia. Społeczeństwo i władza muszą nauczyć się kultury politycznej, muszą rozmawiać i dochodzić do kompromisowych porozumień. Wywalczono wiele, ale istnieje wiele zagrożeń i konfliktów. Należy je umieć dostrzegać i w porę zażegnywać. Jest to przede wszystkim zadanie mądrej i odpowiedzialnej władzy, cieszącej się autorytetem w społeczeń-

stwie. Porządek społeczny musi być oparty na prawie (oczywiście tym, które do tej pory istnieje) i konstytucji. Jak należy wnosić z treści raportu, zmiany w tych kwestiach nie są požądane. „Solidarność” nie jest wprawdzie czystym związkiem zawodowym, ale powinna dążyć do tego, aby się nim stać. Władza musi oczywiście pozostać w rękach komunistów, którzy mają do niej historyczne i geopolityczne prawo. Jeśli chodzi o sytuację gospodarczą, to autorzy DiP-u w sumie są całkowicie zgodni z naszą rządową Kassandrą — Jaruzelskim: jest źle, a będzie jeszcze gorzej.

Sprawa pierwsza i podstawowa, którą zajmują się autorzy raportu, to kwestia postaw — tak społecznych jak i jednostkowych. Bez osobistych, odważnych wyborów ludzi nie mielibyśmy Sierpnia i wszystkich z nim związanych przemian w życiu społeczeństwa. W raporcie poprzednim DiP proponował: „Zrób wszystko co możesz, żeby było lepiej. Jeśli możesz niewiele, zrób przynajmniej to, co możesz. Jeśli nie możesz nic, to przynajmniej dokładniej przemyśl, co należałoby zrobić, gdyby się dało i bądź gotów, by to zrobić”. Minimalizm ten był w warunkach przedsierpniowych zrozumiały i godny szacunku, tym bardziej, że adresowany był do najszerzych warstw społeczeństwa. Ale gdy obecnie pisze się — skądinąd słusznie — o tym, że „nikt nie może pozwolić sobie na neutralność”, to brzmi co najmniej dwuznacznie, gdy ten postulat aktywności ograniczony jest zastrzeżeniem, że „nikomu nie jest też dany prosty wybór między bezwarunkowym poparciem władzy a moralnym wobec niej protestem. W każdym momencie trzeba uwzględnić wielość działających czynników i przeciwstawiających się sobie sił społecznych”.

Po pierwsze — zastanawiające są już określenia poparcia („bezwarunkowego”) i protestu („moralnego”) wobec władzy. Do tej pory znaczna część opozycji demokratycznej operowała pojęciem moralności jako atutem w walce z władzą komunistyczną. Ale komunizm to nie tylko Antychryst czy Zło Wcielone, ale konkretny system polityczny, a protestować przeciw niemu można także i z czysto politycznych pozycji. Ale zdaje się, że tej możliwości autorzy nie biorą w ogóle w rachubę a i dla ludzi o takich poglądach miejsca w socjalistyczno-pluralistycznej Polsce nie widzą. Również poparcie dla władzy nie musi być bezwarunkowe. Istnieje na przykład w Polsce kategoria ludzi „czystych moralnie”, którzy z największym oburzeniem mówią o antysemityzmie Moczara czy Olszowskiego, wynosząc jednocześnie pod niebiosa liberalnego i światowego Rakowskiego, czy wcześniej Gierka — mężów opatrnościowych PRL. Do tej kategorii zaliczyć by można również „gnidy” Wierzbickiego. Z logicznego punktu widzenia można oczywiście wprowadzać rozgraniczenia między bezwarunkowym a warunkowym poparciem władzy, w praktyce jednak oznaczają one ludzi stojących po jednej stronie barykady.

Bo wiadomo chyba powszechnie — i tu sprawa druga — że

począwszy od Sierpnia sytuacja w Polsce jest sytuacją walki. Wystarczy pobyc kilka dni w Polsce, by jasno zdać sobie z tego sprawę. Tym bardziej mówienie o niezwykle skomplikowanej „wielości czynników” i „przeciwstawiających się sobie sił” jest mówieniem z kosmicznego dystansu. Właśnie od Sierpnia począwszy stała się niezwykle wyrazistą prawda naszej powojennej rzeczywistości — podziału na naród, który wie, że chce być niepodległy i demokratycznie rządzony, oraz zależnych od Moskwy komunistów, którzy praw tych narodowi przyznać nie chcą i nie mogą. A to, że paru partyjnych urzędników jeździ ze spotkania na spotkanie i tłumaczy, że komuniści w Polsce wcale nie zostali zainstalowani przez Moskwę (patrz W. Lamentowicz), to nie są żadne siły i czynniki i to do tego skomplikowane.

Owszem, można i trzeba ze względów taktycznych zdawać sobie sprawę z istniejących między komunistami niesnasek, ale robić z tego filozofię — to niepoważne.

Podobnie musi budzić zastrzeżenia, a nawet oburzenie, passus tego rodzaju: „niezależnie od tego jak rozkłada się wina za doprowadzenie Polski do jej obecnego stanu, nie ulega wątpliwości, że społeczeństwo będzie musiało zapłacić koszty naprawy”. Bardzo pięknie, ale ja właśnie jestem ciekaw, jak rozkłada się ta wina. Może winni są robotnicy, chłopci, niezależna inteligencja, a może elementy radykalne? Nie jest to tak nieważne, jak to pobrzmiwa w tekście raportu. Bo kosztu naprawy ponoszone będą tylko przy pewności, że „winy” i „błędy” — bardzo konkretne — nie będą więcej popełniane. Mówiąc wprost — Polacy będą pracować i ponosić koszty naprawy, ale nie w ramach porządku społecznego, który doprowadził do katastrofy, tylko wyłącznie w imię własnej, niepodległej Polski.

Stanowisko ideowe twórców raportu wyraża się w przekonaniu, że przemiany posierpniowe są wynikiem klasowej walki robotników i chłopów przeciwko biurokracji partyjnej w imię prawdziwego socjalizmu. Dlatego też powstanie „Solidarności” to nie co innego jak „nowa faza w ewolucji polskiego społeczeństwa socjalistycznego, wprowadzająca do niego element rzeczywistości pluralizmu”. „Solidarność” — zdaniem DiP-u — toczy zażartą walkę „z odradzającymi się tendencjami centralistycznymi-biurokratycznymi”, wyposażona w „konceptje, których nie można już będzie zbyt stwierdzeniem ich niezgodności z ustalonymi kanonami myśli marksistowskiej”. „Konceptje te — konkluduje DiP — świadczą o odradzaniu się przebogatej myśli socjalistycznej, której zbyt często nadawano wyłącznie etatystyczną wykładnię”.

Faktycznie i obiektywnie socjalizm musi mieć etatystyczną wykładnię. Nie istnieją w historii żadne przykłady, które by dowodziły czegoś przeciwnego. To jest także jedno z podstawowych przekonań panujących obecnie w społeczeństwie. Wystarczy porozmawiać z działaczami „Solidarności”. W prawdziwy socjalizm wierzą jeszcze tylko związkowi eksperci (i to rzecz jasna nie wszyscy). Polacy nie chcą więcej eksperymentować w tej

dziedzinie, choć powrót z drogi eksperymentu jest sprawą tak wielką i trudną, że — paradoksalnie — uzyskał w języku świata nazwę „polskiego eksperymentu”.

Jednak autorzy żywią głęboki sentyment dla socjalizmu, a uwidacznia się on jeszcze dokładniej w stosunku DiP-u do PZPR. „Zachodzące w Polsce przemiany nie ominęły z natury rzeczy partii, która nie znalazła w sobie dość siły, aby dokonać zasadniczego zwrotu, zanim jeszcze doszło do kulminacji kryzysu”. I dalej: „PZPR nie staje na ogół na poziomie swych deklarowanych zadań, działając opieszale, niekonsekwentnie i nieskutecznie”. Jednak nie wszystko stracone, w samej PZPR sporo się zmienia: „Mamy jednak z pewnością do czynienia z dążeniem do przekształcenia tej partii w partię polityczną która nie pretenduje do zarządzania wszystkim i wszystkimi, stara się natomiast odgrywać swą przewodnią rolę przez organizowanie sił społecznych, skupianie ich wokół jednolitej platformy zadań podstawowych, inicjowanie odpowiednich działań i — kiedy potrzeba — doprowadzanie do odpowiednich kompromisów. Jeżeli to przekształcenie się zostanie pomyślnie zakończone, będzie można mieć nadzieję na uzyskanie przez PZPR autorytetu, niezbędnego do wypełniania jej funkcji ustrojowych, które w warunkach polskich muszą pozostać nienaruszalne”.

Takich sformułowań w tekście znaleźć można więcej, np. „w polskich warunkach ustrojowych sprawą o kluczowym znaczeniu jest rozwój sytuacji w PZPR, której przewodnią rolą w społeczeństwie znajduje się z geopolitycznej konieczności oraz z powodu uwarunkowań historycznych poza dyskusją”. Jeżeli dobrze rozumiem — geopolityczna konieczność jest to po prostu położenie między dwiema potęgami, Rosją i Niemcami, i skazanie na rozbiór albo na podległość jednej z nich. Ale przecież nie tak dawno Polska była niepodległa. Uwarunkowania historyczne to najprawdopodobniej układ jałtański i podział Europy na strefy wpływów. Ale był Wersal — i Wersalu nie ma. Dlaczegoż to stosunek do Rosji, Niemiec czy do powojennego porządku europejskiego ma być poza dyskusją? I co najważniejsze, w imię czego?

Stosunek do „Solidarności” jest oczywiście jak najbardziej pozytywny. Jej istnienie siłą rzeczy pluralizuje system polityczny w PRL, stwarza szansę na zbudowanie socjalizmu z ludzką twarzą. Autorzy realistycznie stwierdzają, że „Solidarność nie jest tylko związkiem zawodowym — Solidarność jest na razie jedy- nym w pełni autentycznym a zarazem skutecznym środkiem, poprzez który społeczeństwo wyraża swoje aspiracje i formułuje swoje zadania”. Ale zaraz dodają: „utrudnia to Solidarności organizację i umocnienie struktur związkowych, skupienie się na właściwej pracy związkowej, opracowanie zgodnych ze statutem programów działania”. Wszyscy w Polsce wiedzą i czują, że „Solidarność” to nie związek zawodowy, ale naród zorganizowany w związek zawodowy. Jeśli się tego nie dostrzega, to nie może być mowy o prawdziwym, o obiektywnym opisie rzeczywistości polskiej.

Autorzy raportu mają jasne i określone predylekcje w stosunku do środowisk niezależnych. Na pochwałę i poparcie zasługuje KOR, choć oczywiście z pewnymi zastrzeżeniami — „jeśli niektórzy z działaczy KOR-u, zasłużeni zresztą dla konstruktywnego rozwiązywania poszczególnych konfliktowych problemów, wypowiadają czasem publicznie poglądy niebezpieczne dla stabilności sytuacji w kraju, otwarta, uczciwa dyskusja może doprowadzić do wyjaśnienia sytuacji”.

Odmienne natomiast stanowisko zajmują autorzy raportu w stosunku do innych ugrupowań opozycyjnych. Piszą oni: „Trzeba tu wszakże dodać, że w tej szerokiej wspólnocie porozumienia — na gruncie konstytucji i uznania realiów geopolitycznych — nie mieszczą się działania typu ściśle politycznego, zmierzające bezpośrednio do obalenia istniejącej władzy”. „Ten typ działalności wymaga zatem przeciwdziałania. Ale represje policyjne, z zasadniczych względów niedopuszczalne, mają ponadto ten skutek, że powiększają związane z tym niebezpieczeństwo, uniemożliwiając merytoryczną krytykę tych poczynań, stwarzając jednocześnie warunki sprzyjające szerzeniu się postaw skrajnych i fanatycznych”. Tak więc przywódców KPN nie należy wsadzać do więzienia, bo naród z nich zrobi męczenników, znacznie dyskutować o Rosji, Polsce, niepodległości, a więc stanie się skrajny i fanatyczny. Iście makiawelski humanitaryzm.

Tak oto wyglądają analizy i propozycje DiP-u. Proponuje się restaurowanie silnej i skutecznej PZPR, respektowanie ustanowionego przez komunistów pseudo-prawa, uznawanie konstytucji z poprawkami z 1976 roku, zależności politycznej od Związku Sowieckiego i to wszystko nie w imię taktycznych wymogów chwili czy oczekiwania na lepszą sytuację, lecz w imię prawdziwego socjalizmu i Ludowej Ojczyzny. I tej właśnie wizji podporządkowane są analizy sytuacji w kraju — oderwane od faktycznej atmosfery potrzeb i dążeń ludzi. Dopasowywaniem rzeczywistości do własnej wizji świata, własnych koncepcji.

Rozsądek w dążeniu do celu jest niezbędny. Ale o celu zapominać nie wolno. „Rozumkowaniem” nie rozwiąże się sprawy polskiej.

Jarosław ZADENCKI

Niestrudzony Arthur Koestler

Sławna powieść Koestlera „Ciemność w południe” (*Darkness at Noon*) została napisana w latach 1938-39, ukazała się po raz pierwszy w grudniu 1943 roku w Anglii, a jej rozgłos i to co można by nazwać skutecznością polityczną przypadają na okres powojenny, szczególnie zaś na okolice roku 1950, czyli na dojrzałą fazę zimnej wojny. Ta zwłoka w rozwoju impetu jednej z ważniejszych książek demistyfikujących sowiecki komunizm ujawnia mimochodem jeszcze jeden destrukcyjny wpływ ostatniej wojny, a mianowicie zamrożenie uwagi i świadomości społeczeństw zachodnich na okres lat dziesięciu. Mimo spowodowanych wojennym sojuszem kontaktów Zachodu z Sowietami, mimo pojawienia się na Zachodzie milionów ludzi wiedzących z doświadczenia czym jest naprawdą „eksperyment historyczny” w Rosji, książkę Koestlera, starającą się rozwiać tzw. zagadkę procesów moskiewskich lat trzydziestych za pomocą twierdzenia, że samoskarżenia ofiar Stalina były kłamstwem i zostały im włożone w usta drogą presji (w jego powieści tylko psychologicznej) przyjęto dokładnie tak, jakby się to działo w okresie Frontu Ludowego, „mobilizacji antyfaszystowskiej” sprzed paktu Ribbentrop-Mołotow i entuzjazmu dla pierwszych pięciolatek: wątpliwościami, roztrząsaniem i niedowierzaniem. Niemniej książka podziąła i zwłaszcza we Francji (gdzie ukazała się po raz pierwszy w 1946 pt. *Le Zéro et l'infini*) zasiała cenne ziarno sceptycyzmu w wielu naiwnych sercach, co ujawniło się m.in. przyhamowaniem wpływów Francuskiej Partii Komunistycznej i wściekłością tejże: na mieszkającego wówczas pod Fontainebleau Koestlera wylano w prasie komunistycznej kubły pomyj, a *L'Humanité-Dimanche* podała dokładny plan okolicy z wiele mówiącą strzałką wskazującą jego dom. Zamachu jednak nie było, Koestler w 1952

wrócił na stałe do swej przybranej ojczyzny Anglii („... ze wszystkich znanych mi krajów Anglia ma najmniejszy procent agresji na metr sześcienny powietrza...”) i — w pewnym sensie — zmienił powołanie: z pisarza politycznego stał się rodzajem filozofa nauki. Ta metamorfoza spowodowała jego jakby zniknięcie z pola widzenia wielu czytelników, dla których wciąż jeszcze głównym jego dziełem jest „Ciemność w południe” i dobrze się stało, że ostatnia książka Koestlera (*Bricks to Babel*, 1980)* daje okazję do bardziej syntetycznego omówienia jego twórczości.

Książka, której tytuł angielski można by oddać jako „Cegły na budowę wieży Babel”, jest połączeniem autobiografii i antologii: dokonany przez samego autora wyborem fragmentów z jego 30 książek, przy czym odautorski komentarz podaje okoliczności powstania (i niekiedy dalsze losy) zamieszczonych tekstów *plus* fakty i daty z życia autora. Aczkolwiek Koestler uważa swój życiorys za „dość typowy” dla wschodnioeuropejskiego (z pochodzenia) intelektualisty, można to uznać za przesadę, gdyż same okoliczności historyczne bez wkładu koestlerowskiej inteligencji, ciekawości i niezmordowanej pracy — nie wystarczyłyby do stworzenia tak niezwyklej biografii. Koestler urodził się w 1905 roku w Budapeszcie, w nieortodoksyjnej rodzinie żydowskiej (ojciec był węgierskim przemysłowcem, zrujnowanym przez pierwszą wojnę), studiował na politechnice wiedeńskiej, tuż przed dyplomem zrezygnował z tzw. normalnej kariery i wyjechał do Palestyny, by pracować w jednym z pierwszych kibuców; na szczęście dla przyszłych jego czytelników uznano go tam za „nieodpowiedniego psychicznie” (ówczesne kibuce przypominały jak się zdaje połączenie klasztoru i dobrowolnych galer) i Koestler *nolens volens* został dziennikarzem: akurat zwolniło się miejsce bliskoschodniego korespondenta koncernu Ullsteina i przyszły autor „Ciemności” objął je na dwa lata (1927-29), nim przeniesiono go do Paryża, a następnie (we wrześniu 1930 roku) do centrali w Berlinie. Już jego praca dziennikarska zapowiada dwutorowość jego późniejszej twórczości: obok pisania artykułów i komentarzy politycznych Koestler zajmuje się w tym czasie popularyzacją naukową (przeprowadza m.in. wywiady z de Broglie i Einsteinem, bierze udział w niemieckiej wyprawie arktycznej sterowcem w 1931 roku). Ulega też oczywiście powszechnej wówczas wśród inteligencji fascynacji komunizmem, wzmocnionej

* Dysponuję niestety tylko francuskim jej tłumaczeniem: Arthur Koestler, *La quête de l'Absolu*, Calmann-Lévy 1981, 664 str., w którym tytuły i daty wydania jego prac odnoszą się tylko do francuskich tłumaczeń, często dużo późniejszych od wydań oryginalnych.

w Niemczech dodatkowo postępem hitleryzmu i ugodowością socjalistów, toteż jego akces do Niemieckiej Partii Komunistycznej i wyjazd do Związku Sowieckiego (celem napisania pseudo-obiektywnego reportażu z punktu widzenia „nieuprzedzonego nieproletariusza”) wynikają niejako z natury rzeczy, a stronie jego autobiograficznych książek „Szumowiny” (*The Scum of the Earth*, pisana po angielsku w 1941; po francusku *Hiéroglyphes*, 1955) ewokujące ten okres przypominają uderzająco „Mój wiek” Aleksandra Wata. Praca nad książką o Rosji (według stereotypowego wzoru: co złe to „przeżytki”, co dobre to „kiełki nowego”) zabrała mu ponad rok i chociaż dostarczyła wielu okazji do posmakowania realiów (udział w pierwszych, mało jeszcze głośnych procesach politycznych; zetknięcie z nędzą; osobiste doświadczenia z cenzurą — książkę skrócono o połowę), nie zachwiała jego wiary w „globalnie pozytywny” bilans wyidealizowanego systemu. W 1933 — już po dojściu Hitlera do władzy — Koestler udaje się do Paryża, gdyż „towarzysze radzieccy” nie zachęcają go do przedłużenia pobytu, a droga do Niemiec jest zamknięta. Przyłącza się tam do lewicowej działalności antyfaszystowskiej, choć jej formy i cele napełniały go o ile nie rozpaczą, to co najmniej wątpliwościami:

Tych siedem lat zaślepienia, jakie owdągnęło Zachodem w latach 1932-1937, było jednym z najdziwniejszych zjawisk w historii. Postawa kół konserwatywnych obejmowała wszystko od tępego niezrozumienia natury reżymu Hitlera aż po bierną sympatię i czynny współudział. Różne partie socjalistyczne i syndykalistyczne słownie podkreślały niebezpieczeństwo faszystowskie, robiąc równocześnie wszystko co było w ich mocy by zapobiec uzbrojeniu swych krajów przeciwko niemu. Komuniści wykorzystywali ruch antyfaszystowski dla swoich celów, zdradzając go w sposób zabójczy. ... Jest rzeczą podwójnie przykrą opisywanie stanu umysłowego tych siedmiu lat w chwili, gdy nastroje w Zachodniej Europie zdradzają tendencję do popadnięcia w te same złowrogie błędy. Lekcja lat trzydziestych, mianowicie że agresywne, ekspansywne i uzbrojone w mesjaniczną wiarę w swą misję mocarstwo będzie się rozszerzać wszędzie gdzie zaistnieje próżnia siły; że sama poprawa warunków życia, jakkolwiek pożądana sama przez się, nie stanowi obrony ani zabezpieczenia przed atakiem; że ceną przeżycia jest poświęcenie przerażająco dużej części dochodu narodowego na przerażająco długi okres; że polityka ugodowa, jakkolwiek kusząca i przekonująca wydają się jej argumenty, jest zaproszeniem do wojny — wszystko to powinno tkwić aż nadto głęboko w pamięci Europy; tymczasem zdumiewająca liczba polityków, nie mówiąc już o milionach zwykłych obywateli, zdaje się być zdecydowana popełnić ten sam błąd i przeżyć na nowo tę samą tragedię. (1954)

Pierwsze procesy moskiewskie obudziły pewne wątpliwości w Koestlerze, ale wojna hiszpańska, traktowana przezeń wówczas jako rodzaj pojedynku demokratycznego Anioła z kapitalistyczno-faszystowskim Szatanem, przytłumiła je na pewien okres (Koestler wystąpił z partii dopiero w 1938 roku, pod wrażeniem

procesu Bucharina). Na razie czekało go jeszcze doświadczenie, które mocno naznaczyło jego dalsze życie i twórczość, a szczególnie „przydało się” do stworzenia atmosfery autentyzmu w „Ciemności”: jako korespondent wojenny w Hiszpanii (oficjalnie z ramienia *London News Chronicle*) Koestler znalazł się w rękach frankistów po zdobyciu przez nich Malagi w lutym 1937 i trzy miesiące spędził w celi śmierci skazany jako szpieg. Ostatecznie wymieniono go na jednego z zakładników, ale te — jak je nazwał później — „godziny przy oknie”, w których czekał na egzekucję słuchając salw, od których ginęli współwięźniowie były czymś w rodzaju wstrząsu elektrycznego połączonego z przeżyciem mistycznym. Francuski tytuł jego sławnej powieści: „Zero i nieskończoność” jest jakby podsumowaniem ówczesnych refleksji nad wartością życia i oznacza krańcowe ujęcia sytuacji jednostki ludzkiej w świecie. „Nieskończoność” to nieskończona, niezastępowalna wartość człowieka samego dla siebie; „zero” — to wartość człowieka w totalitarnych doktrynach, nastawionych na abstrakcje w rodzaju szczęśliwej przyszłości, doskonałego społeczeństwa czy „nowego człowieka”. „Każdy uczeń gimnazjalny wie, że wprowadzenie do normalnego rachunku jednej z tych wielkości prowadzi do fałszywych wyników” — zauważa Koestler, nie tylko niedoszły inżynier ale także człowiek stale i szczerze dążący do normalności w sprawach etycznych i światopoglądowych. Innym symbolem ekstremizmu, z którego doświadczenie hiszpańskie wyleczyło go na zawsze było przeciwstawienie „yogi” — pseudoświętego, odrzucającego w imię wewnętrznej „czystości” wszelkie zaangażowanie w sprawy świata (postawa „ani... ani...”) sylwetce „komisarza” — fanatyka politycznego, reprezentującego postawę „albo... albo...”. Próby znalezienia drogi pośredniej między tymi dwiema skrajnościami wypełnią Koestlerowi resztę okresu działalności polityczno-literackiej (tzn. do początku lat pięćdziesiątych) i nie przypadkiem zbiór jego najważniejszych esejów z okresu wojny nazywa się „Yogi i komisarz”. Jest to — obok „Ciemności” — druga najszerzej znana jego książka; do jej rozgłosu po wojnie przyczynili się niechący francuscy komuniści szeregiem publikacji polemicznych (por. np. *Le Yogi et le prolétaire* Merleau-Ponty'ego w *Les Temps modernes* Sartre'a i *Le Traître et le prolétaire* osławionego Jeana Kana).

Powrót z Hiszpanii do Francji w 1938 był końcem Koestlerakomunisty i początkiem Koestlera-powieściopisarza. Swoje rozczarowanie rewolucją, przekonanie, że ekstremizm zawsze prowadzi do klęski normalnej moralności postanowił zilustrować literacko i wynikiem tej pracy była „trylogia” napisana w okresie 1938-43 i składająca się z powieści „Spartakus”, „Ciemność w

południe”* i „Przyjazd i odjazd” (*Arrival and Departure*; fr. *Croisade sans croix*, 1946)**. Motywem, łączącym te trzy książki usytuowane w różnych epokach i miejscach, jest próba odpowiedzi na pytanie, *dlaczego* rewolucja zawsze kończą się terrorem i uciskiem. „Spartakus” — literacka rekonstrukcja powstania niewolników rzymskich ok. roku 70 przed Chr. — daje na to pytanie odpowiedź „socjologiczną”: zbudowane przez Spartakusa „Miasto Słońca” przeradza się w tyranie na skutek trudności w utrzymaniu rewolucyjnego i „utopijnego” zapału wśród podwładnych; wielu z nich chce żyć po prostu, tu i teraz, a zatem „konieczne” staje się wprowadzenie drakońskich praw, przymusu i krzyża (w znaczeniu dosłownym). Powieść sugeruje, że sukces Crassusa w zdławieniu powstania został przyspieszony przez klęskę ideologiczną tych rzymskich bolszewików *avant la lettre*, gdyż środki przez nich stosowane pozbawiły *cel* wszelkiej realnej wartości. Jedynym wynikiem tej pierwszej rewolucji proletariackiej było cierpienie; książka kończy się wstrząsająco realistycznym opisem 6 tysięcy krzyży, które zwycięski Crassus kazał ustawić wzdłuż swej drogi powrotnej do Rzymu i słowami podsumowującymi mękę ukrzyżowanych: „*To co ich spotykało nie było koszmarem zrodzonym w gorączkowej malignie; to była rzeczywistość, przed którą nie można uciec. Ich cierpienie nie było cierpieniem wspomnienia ani antycypacji; cierpieli w tym właśnie momencie*”.

„Ciemność w południe” — powieść opisująca załamanie się starego bolszewika Rubaszowa (stanowiącego syntetyczny portret Bucharina, Trockiego i Radka równocześnie) w śledztwie na Łubiance — zajmuje się psychologiczną stroną zniewolenia. Jak trafnie zauważył Orwell w swym szkicu o Koestlerze z roku 1944, Rubaszow zgadza się przyznać do niepełnych win nie tyle pod wpływem sofisterii Gletkina, ile dlatego, że nie ma jej nic do przeciwstawienia. Bohater Koestlera ilustruje dzieje człowieka, który kiedyś zgodził się na równanie „jednostka to zero” i — pozbawiony własnej racji, wydrażony — czepia się ostatniej szansy zachowania tożsamości. Ponieważ „istnieje” jeszcze tylko jako członek kolektywu, zgadza się na oddanie Partii „ostatniej przysługi” w formie hańbiącej roli skruszonego grzesznika, dzięki niej bowiem tylko może zachować złudzenie, że nieuchronny strzał w potylicę zabije bądź co bądź człowieka, a nie cień, którego cała egzystencja była nonsensem.

Ta interpretacja techniki wymuszania zeznań, zwana „teorią

* Po polsku, w przekładzie Tymona Terleckiego, ukazała się w *Kulturze*.

** *Krucjata bez krzyża*, w przekładzie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, jedna z pierwszych pozycji wydawniczych Instytutu Literackiego w Rzymie.

Rubaszowa", była po wojnie wielokrotnie dyskutowana i kwestionowana; w swej ostatniej książce Koestler powraca do tej dyskusji i przytacza dwa niezależne świadectwa trafności swojej intuicji: fragment relacji Krawczenki „Byłem agentem Stalina” (ukazała się w grudniu 1939, ale Koestler przeczytał ją dopiero w parę lat później), gdzie opis autentycznego śledztwa i „ustawiania do procesu” starego bolszewika Mraczkowskiego jest jakby wyjęty z kart „Ciemności”, oraz proces Slansky'ego (którego kulisy znane są obecnie dzięki Londona *L'Aveu*, 1968); współoskarżony w tym procesie Otto Katz (*alias* André Simon), dawny znajomy Koestlera, w swym ostatnim słowie wyraźnie sparafrazował samooskarżenie Rubaszowa, przypuszczalnie jako przesłanie i ostrzeżenie.

Ostatnia powieść „trylogii”, stosunkowo najmniej znana, zajmuje się dwoma pytaniami wynikającymi z własnej sytuacji Koestlera w owym okresie: dlaczego w ogóle ludzie wpadają w pułapkę mentalności „komisarza” i co winni robić po wydostaniu się, by nie wpaść w drugą skrajność — „yogi”? Akcja *Arrival and Departure* toczy się na początku drugiej wojny w „Neutralii”, tzn. Portugalii i skupia się wokół postaci młodego komunisty wschodnioeuropejskiego nazwiskiem Peter Slavek, który uciekł ze swej nienazwanej „faszystowskiej” ojczyzny (z powieści dość wyraźnie widać, że chodzi o Węgry) i rozważa alternatywę: albo czynnie walczyć o ideały w dostępnych warunkach (tzn. wstąpić do armii brytyjskiej, a więc wojska jedyne go wówczas państwa walczącego z Hitlerem), albo udać się za swą narzeczoną do neutralnej Ameryki (czyli wybrać postawę „ani... ani...”). W trakcie rozmów ze spotkanymi w Lizbonie osobami, zwłaszcza zaś w trakcie kuracji psychoanalitycznej, jaką aplikuje mu znajoma lekarka, Slavek dochodzi do wniosku, że istotnym motywem jego „choroby ideologicznej” był ukryty kompleks winy; w powieści zdaje się to być równoznaczne z utratą motywu walki z hitleryzmem i dla przeciętnego czytelnika uderza jako *non sequitur* nie wzmacniające i tak już wątpliwej historii. Koestler kończy tę niezbyt udaną rzecz sceną, w której Slavek „mimo wszystko” postanawia walczyć i — jako agent angielski — skacze ze spadochronem do swego kraju.

Zatrzymałem się nad tą powieścią nie dla jej wartości literackiej, tylko jako nad ilustracją losów samego Koestlera: bohater powtarza tu bowiem drogę autora, który po wydostaniu się z Francji (poprzez obóz dla „niepożądanych” i Legię Cudzoziemską) trafił do Lizbony, a nie mogąc się tam doczekać na regularną wizę, wsiadł bez niej do samolotu lecącego do Anglii — i po przybyciu został natychmiast aresztowany. Tym razem więziono go krótko, a po zwolnieniu mógł nawet wstąpić — jak Slavek —

do wojska (co prawda tylko do saperów). Od tego momentu Koestler pozostanie na dobre w Anglii i mimo czteroletniego interludium (po wojnie mieszka częściowo w Stanach Zjednoczonych i we Francji) uważać się będzie za pisarza angielskiego i Anglika z wyboru.

Z chwilą osiedlenia się w Anglii „zewnątrzna” biografia Koestlera przestaje być powieścią awanturniczą, ale nie oznacza to, że w jego życiu nic już się odtąd nie dzieje. Przeciwnie, od tego momentu zaczyna się jego jeszcze intensywniejsza działalność pisarska, a także społeczna w tym sensie, że sprawom, o które walczy na papierze stara się często nadać formę organizacyjną. Jest m.in. jednym z animatorów i organizatorów Funduszu Wolności Kultury, międzynarodowej organizacji mającej za zadanie pomaganie indywidualnym uchodźcom-intelektualistom ze Wschodniej Europy i wspieranie działalności kulturalnej środowisk emigracyjnych.

W związku z tą sprawą Koestler wspomina jeden z dziwniejszych żartów losu, jakich stał się uczestnikiem: w chwili gdy Fundusz dopiero „ruszał z miejsca”, a planowane wsparcie pisarzy zachodnich okazało się nader nikłe, Koestler przekazał na ten cel wszystkie honoraria, jakie miał otrzymać za sceniczną przeróbkę „Ciemności w południe” — nie przewidując, jak otwarcie przyznaje, sukcesu jaki spotka tę sztukę (grano ją na Broadwayu przez półtora roku). Ok. 90 % wydatków fundacji w pierwszym okresie pochodziło w ten sposób z jego kieszeni, ale największą ironią losu było nie to, że sam Koestler w tym czasie był w tarapatkach gotówkowych, lecz że — jak się później okazało — amerykańska CIA ze swoją przysłowiową niezręcznością wybrała to stowarzyszenie jako jeden ze swych kanałów pieniężnego stymulowania działalności antykomunistycznej. W ten sposób Koestler, oskarżony przez komunistów w okresie zimnej wojny o „pobieranie żołdu od CIA” w istocie rzeczy *dofinansowywał* tę organizację, nic o tym nie wiedząc. Było to zapewne dodatkowym bodźcem do zmiany powołania — jak to określa Koestler — czyli do rozpoczęcia nowej fazy intelektualnej, która w omawianej książce nazywa się „poszukiwaniem syntezy”. Główną rolę grał tu nie tyle jednak moment zawodu czy rozczarowania, ile stwierdzenie, że działalność polityczna stwarza śmiertelne niebezpieczeństwo pisarskie: powtarzania się. W istocie nie oznaczało to („to”, czyli odejście od polityki bieżącej) ani zupełnego zerwania ze sprawami i akcjami aktualnymi (np. Koestler poświęcił wiele czasu i atrymentu sprawie zniesienia kary śmierci, zwłaszcza w Anglii, por. jego *Réflexions sur la peine capitale*, 1957 [w wyd. francuskim] i próbom uczulenia opinii angielskiej na pierwsze objawy anarchii i nieodpowiedzialności

ruchu syndykalistycznego w tym kraju, por. *Suicide of a Nation, Encounter*, July 1963), ani też nie było zajęciem się zupełnie nową dziedziną: Koestler nawet w swej fazie politycznej starał się nie tracić kontaktu z różnymi dziedzinami nauki i jego obecne zainteresowania i działalność pisarska (przypominająca St. Le-ma w jego twórczości niebeletrystycznej) są raczej rozwijaniem jego *drugiego*, a nie nowego powołania.

Samo wyliczenie dziedzin, w których działał Koestler w ciągu ostatnich trzydziestu lat jest zadaniem, przekraczającym ramy tego i tak już przydługiego artykułu, a dodać należy, że jego „amatorska” działalność na takich terenach jak psychologia, biologia, historia nauki i historia *tout court* brana jest w świecie naukowym poważnie, o czym świadczy długa lista świetnych uniwersytetów, na które zapraszano go bądź jako prelegenta, bądź jako współpracownika.

Typ jego działalności można określić jako bardzo poważną i odpowiedzialną popularyzację naukową, wkraczającą częściowo na teren filozofii nauki; część jego książek z tej dziedziny została też włączona do podręcznikowych serii uniwersyteckich (np. jego historia koncepcji kosmologicznych, która ukazała się pod tytułem *The Sleepwalkers*, 1960, z doskonałymi biografiami Kopernika, Galileusza, Keplera i Newtona). Sam Koestler uważa się raczej za „syntetyzatora”, odkrywcę powiązań między pozornie odległymi dziedzinami wiedzy czy szerzej — działalności ludzkiej. Punktem wyjścia była tu jego teoria komizmu (na tyle oryginalna, że właśnie jego zaproszono do napisania odpowiedniego hasła w *Encyclopaedia Britannica*). Jej punktem kluczowym jest pojęcie *bisocjacji*, tj. uchwycenia momentu wspólnego dwóch całości należących do różnych porządków rzeczy. Termin ten i ukryty za nim mechanizm psychologiczny wyłonił się w jego umyśle jeszcze przed wojną, kiedy to w pewnym towarzystwie dyskutowano istotę dowcipu, przytoczonego przez Bergsona w jego znanym dziele o śmiechu. Dowcip ten w skrócie brzmi tak: zapytany, dlaczego nosi 36 identycznych medali za zasługi, minister dworu w Monako odpowiedział — bardzo proste, dostałem jeden od wielkiego księcia, postawiłem na ruletce i numer wyszedł; Zdaniem Koestlera komizm tej anegdoty polega na tym, że „bisocjuje się” tu odmienne i normalnie osobne porządki zjawisk: zasługę i hazard, kompromitując je wzajemnie. Pojęcie to zastosował Koestler też w późniejszych pracach (szczególnie w książce *The Act of Creation*, 1964; fr. *Le cri d'Archimede*, 1965) do wyjaśnienia mechanizmu twórczości naukowej i artystycznej. Różnego typu powiązania między dotychczas izolowanymi zjawiskami powodują różne typy przeżyć: „przeżycie ha-ha”

(czyli komizm), „aha” (zrozumienie, odkrycie naukowe) i „ah...” (przeżycie artystyczne, np. olśnienie trafną metaforą).

Zainteresowania „interdyscyplinarne” Koestlera zaprowadziły go także na tereny ocierające się o parapsychologię (por. *The Roots of Coincidence*, 1972) i mistycyzm w wydaniu orientalnym (fr. *Le Lotus et le robot*, 1961). Ta ostatnia eksploracja była próbą ustalenia zawartości (i wartości) dwóch głównych odmian wschodnich wtajemniczeń na użytek zachodni: indyjskiej jogi (nie jako gimnastyki, lecz jako metafizyki) i japońskiego zenu. Jako zdecydowany przeciwnik tych kierunków chce tu — mimo braku miejsca — odnotować z dużą satysfakcją rozczarowanie Koestlera zarówno „głębią” hinduizmu (który autor ten uważa za jałowy, egocentryczny, destrukcyjny społecznie i nieczuły na cierpienie i krzywdę) jak i zenem. Ten ostatni Koestler ocenia trafnie jako rodzaj surrealizmu czy dadaizmu, który pełnił użyteczną niegdyś rolę w superskonwencjonalizowanym życiu japońskim jako reakcja na zbyt silne skrępowania umysłu i zachowania tysiącami drobiazgowych reguł; w obecnych warunkach *zachodnich* (aż nadto dużego rozprężenia) zen z jego gloryfikacją nonsensu, „spontanizacji” i nieodpowiedzialności stanowi coś w rodzaju teoretycznego uzasadnienia nihilizmu i zapewne nie jest przypadkiem, że rozpowszechnił się w tym samym czasie i w tych samych kręgach co heroina, LSD i hippizm. Krytyczne uwagi Koestlera o Gandhim i jego dziedzictwie duchowym *nota bene* zbiegają się zdumiewająco z oceną sytuacji w Indiach innego ważnego autora angielskiego, V. S. Naipaula, a dodać jeszcze należy, że „Lotos i robot” jest książką zabronioną w Indiach, co Koestler uważa za swoiste wyróżnienie — większość jego utworów poruszających kwestie aktualne jest dotknięta taką czy inną cenzurą.

Sprawą, która z technicznych powodów nie mogła spowodować „cofnięcia debitu”, jak się nazywa eufemistycznie zakaz kolportażu niemiłych utworów, ale która wywołała dużą dyskusję było stanowisko Koestlera w kwestii żydowskiej. Ten niedoszły pionier palestyński i znawca sceny izraelskiej (po pobycie w latach 1927-29 Koestler przebywał tam jako dziennikarz jeszcze trzykrotnie, w 1938, 1945 i 1948) w wielu publikacjach (a zwłaszcza w eseju *Analyse d'un Miracle. Naissance d'Israel*, 1949) zajmuje stanowisko nader radykalne wobec diaspory żydowskiej: albo wyjazd do Palestyny, albo asymilacja w miejscu zamieszkania. Koestler traktuje żydowskość jako sprawę wyłącznie religijną, a sam mozaizm z kolei uważa za wyznanie wąskie, etniczno-terytorialne, którego rozgałęzienia nostalgiczno-mesjanistyczne straciły sens w momencie powstania państwa żydowskiego. Dla podbudowania argumentami swej tezy, że „żydowskość”

w wydaniu współczesnym nie jest sprawą rasową, zainteresował się historią państwa Chazarów — ludu pochodzenia tureckiego, który zorganizował na północnym wybrzeżu Morza Kaspijskiego państwo, kwitujące we wczesnym średniowieczu, później podupadłe i rozbite ostatecznie przez najazd Mongołów; religią tego państwa był mozaizm. W pracy pt. „Trzynaste plemię” (fr. *La treizième tribu*, 1976) Koestler podejmuje wysuwaną już wcześniej hipotezę, że *gros* ludności żydowskiej, jaka pojawiła się w Europie wschodniej w XIII wieku to potomkowie Chazarów — a więc ludzie pochodzenia nie-semickiego. Gdyby ta hipoteza była słuszna (a są za nią poważne argumenty) — zauważa Koestler — to hitlerowski holokaust okazałby się okrutnym żartem historii, gdyż „winą” jego ofiar nie była rasa, tylko przywiązanie do tradycji — i to zapożyczonych. Podtrzymywanie palestyńskiej tradycji — obcej i wyobcowującej na terenach pozapalestyńskich — uważa Koestler za narażanie następnych pokoleń (dowolnej „rasy”) na ewentualność nowego holokaustu. Z tej też racji zajmuje tak dziwne u niego stanowisko „albo... albo...”.

Artykuły sprawozdawcze nigdy nie zastępują lektury oryginałów (w wypadku Koestlera zadanie to jest zresztą trudne: całość jego twórczości oblicza on sam na ok. 9 tys. stron), ale niekiedy udaje się w nich zawrzeć ogólny obraz całości dzieła. W danym wypadku to się nie udało, gdyż zbyt wiele tematów i dziedzin (już i tak skondensowanych) w tych zaiste babilońskich „Ceglach” trzeba było pominąć. Recenzja ta jest więc tylko zachętą do lektury. Koestlera *warto* czytać, nie tylko dla ogromnej ilości wiedzy faktycznej zawartej w jego pracach i to wiedzy podanej w sposób niezwykle atrakcyjny (jego „Somnambulików” czyta się jak dreszczowiec), ale i z uwagi na co krok spotykane *odkrycia* psychologiczne i inne; za takie odkrycie uważam np. jego twierdzenie, że zbiorowa agresywność ludzka (wyrażająca się w wojnach i rewolucjach) wynika w istocie ze zbyt *małej* agresywności jednostek, ze zbyt *niżej* potulności wobec dziedzicznych lub narzucanych doktryn, ideologii i postaw. Pokojowość Ameryki jako państwa i krwiożerczość Azji, Afryki i Europy (w przeszłości) zdaje się świadczyć o trafności tej obserwacji, zważywszy różnice ideału jednostki tu i tam.

Bezkrtyczny zachwyt dla poglądów jakichkolwiek *maitres à penser* wydaje się jednym z cięższych grzechów przeciw duchowi całościowej działalności Koestlera, ale stwierdzić też trzeba, że świat myśli współczesnej bez niego byłby uboższy w sposób istotny: być może nie o tyle a tyle „prawd absolutnych”, ale z pewnością o sporą ilość wolt stymulacji umysłowej.

M. BRONSKI

De Staël

„Tumult i widma” — wybór moich wspomnień dotyczących nie malarstwa, ale wędrowek po Ameryce oraz literackich i ludzkich wspomnień — ukazał się właśnie w „Bibliotece Kultury”. W Polsce ma wyjść 2-gi tom „Oka” — wybór artykułów o malarstwie, wydanych również przez „Bibliotekę Kultury” w roku 1960, z dodatkiem tekstów napisanych później oraz paru esejów bezpośrednio z malarstwem nie związanych.

Nagle poczułem się ogołocoony: co wiedziałem, to powiedziałem! Co dalej?

Ale życie się nie zatrzymuje, napływają nowe przeżycia, wywołują jakby nowe spojrzenie na tematy wielokrotnie przeze mnie poruszane, nie tylko — następuje nowe widzenie rzeczy ale i potrzeba, konieczność wypowiedzenia się o nich.

Wielka wystawa obrazów de Staëla — około 120 płócien w Grand Palais tego lata, odkryła mi, po raz któryś, czym dla człowieka może być sztuka. Znałem de Staëla przeważnie z reprodukcji. Ta wystawa dała mi rewelację, że wbrew długim latom już poza mną, sztuka może wciąż jeszcze narzucić przeżycie tak silne, tak nowe, i jakby całkiem innej materii. Wbrew nieszczęściu, wbrew wykańczaniu się sił, przeżycie szczęśliwe, innego słowa znaleźć nie umiem.

Więc cóż ona daje, co nie jest zaczepione o żaden wiek: przeżycie poza czasem? Co jedynie różnić by powinno doznanie starego człowieka to może większa świadomość i samokontrola, ale i tego nie jestem pewien.

Przypomina mi się Flaubert już bliski śmierci; zabierał się do książki o Termopilach i czuć już musiał w sobie jej kształt. Napisał wówczas do przyjaciela: *Je pleure, je pleure comme à quinze ans.*

O de Staëlu pisałem parokrotnie. Nie tylko jego malarstwo,

ale on sam fascynował mnie; jakże starałem się dociec dlaczego odebrał sobie życie; po jakichś dziesięciu latach, podczas których namalował setki i setki obrazów, przeszedł przez skrajną nędzę, która miała spowodować śmierć jego pierwszej żony i przeżył nagle zawrotny sukces w Ameryce. Wówczas dopiero dziesiątki galerii z całego świata zgłaszać się zaczęły z zamiarem kupienia jego obrazów. „Czego oni ode mnie chcą” — mawiał z irytacją!

Znany był jako malarz czystej abstrakcji, był już sławny i nagle odkrywać zaczął, jakby po raz pierwszy, świeżym okiem, przedmioty, naturę, dalekie perspektywy, morza północne, Sycylię, Agrigente, Honfleur, kobiety i kwiaty.

W świetnie zorganizowanej jego wystawie, o której wspominał, robiło to wrażenie niezwykle. Gdy wszedł w malarstwo poprzez abstrakcję, na wielkich płótnach rozkładał farby pędzlem, szczotkami, kielnią i nawet stalową płytą, górowała tam szarość najprzeróżniejszych odcieni i form, przeróżnej gęstości położenia, które przechodziły poprzez najdelikatniejsze biele, niebieskawe czy złote, ku rzadkim jeszcze akcentom cynobru czy krwawych czerwieni. Na wystawie z sali abstrakcyjnej przechodziliśmy przez okrągłą, dosyć zaciemnioną salę, gdzie zawieszono jego wielkie rysunki, dalej wąskim przejściem do innej, podwójnej wielkiej sali, gdzie już przy wejściu utkwiał mi pejzaż morski z Honfleur: nad błyskiem domów za taflą morską wisi długa, obła, prawie kwadratowa czarna chmura. Stamtąd, z tego progu wybuchały obrazy figuratywne czy półfiguratywne, od już sławnych walk futbolistów w nocy w Parc des Princes, gdzie nie tylko biło w nas uczucie pędu i ruchu, ale i orgia kolorów, gam brutalnych — gdzie czernie i biele przechodziły w ostre żółcie i powtarzający się krzyk cynobrów. W tej sali od sławnych już obrazów nocnego futbolu w Parc des Princes, od wielkich rozmiarów „orkiestry”, wielokrotnie już reprodukowanej, docieramy dalej do martwych natur przeróżnych rozmiarów: butelki czarne i białe ustawione na tle granatowo-czarnej przestrzeni piwnicy, potem martwe natury mniejsze, jak ta safata w salaterce, biel zaledwie muśnięta zielenią na tle czystej czerni — albo całkiem szara martwa, z chlebem zaledwie dotkniętym jasnym ugrem, mająca u podstawy dwa geometryczne kwadraty różnych odcieni czerni, ustawione jako kontrast dla tych rzadkich szarości, obraz wielkich mew lecących nad szarym morzem aż po płótno pokrywające całą ścianę, ogromne, gdzie na tle gładkiej krwawej czerwieni stoi czarny fortepian, wał kajetów muzycznych i ogromna wiolonczela, prędej do wielkiej gruszki podobna.

Szukam określenia, które by nie powtarzało superlatywów, jakimi można by określić wiele obrazów wielu artystów. Chodzi tu może o tę dziką błyskawiczność, bezpośredniość przekazu wizji, jakby jednym tchem z siebie wyrzuconej z jaką pewnością i trafnością położeń, które realizował techniką coraz to inną. Bo de Staël przechodzi od pracy na płótnie, które pokrywał

szczotkami i kielnią aż po okres pracy, gdzie zamiast pędzli używać zaczął waty owiniętej w gazę; żadna technika nie była u de Staëla definitywna, odkrywał szczęśliwie coraz to nowe, bardziej dla nowych kompozycji odpowiednie techniki!

Parę lat temu, po obejrzeniu — również w Grand Palais — stu picassów, *dation* rodziny dla Francji, napisałem pod pierwszym wrażeniem artykuł przeciw sztuce Picassa, artykuł, którego gwałtowność mnie samego zdziwiła. Ileż razy w ciągu lat pisałem o nim z większym lub mniejszym uznaniem, czy nawet zachwytem, nigdy jednak tak gwałtownej nie miałem potrzeby o nim mówić, i dzisiaj myśląc o tamtym artykule mam wyrzuty sumienia, że naświetliłem wielką, przecie wielką twórczość tego artysty zbyt jednostronnie, jako wyraz jedynie pychy, pragnienia by być ponad wszystkich pierwszym, gasząc nieustannymi efektami twórców głębszych niż on.

Nie wolno mi było zapominać, że i w nim tkwił dziki nacisk twórczy, nie darmo sam mówił, że malarstwo to nie tylko malarstwo, ale „reguła życia”, że i dla niego były słowa Goethego *stirb und werde*, że ta niesłychana proliferacja jego malarstwa była właśnie wewnętrzną koniecznością, jego regułą życia?

Dopiero teraz, patrząc na dzieła de Staëla, zrozumiałem, o co mi wówczas chodziło.

Epoka mojej i może następnej po mnie generacji stała pod znakiem, między innymi — ale chyba przede wszystkim — tego *musée imaginaire*, które dali nam Picasso i także Malraux, Malraux historyk sztuki (nie autor świetnych powieści); odkrywając cały świat sztuki nie tylko przeszłych wieków, ale tyśiącleci, Malraux pisał o niej, ilustrując tysiącami przykładów, gdy równoległe Picasso te niezliczone dzieła transponował, przetwarzał poprzez przeliczne inkarnacje cudzych wier preróżnych i coraz to sobie przeciwnych, przetwarzając jeszcze w nową i nową maszkę samego Picassa, to fascynująca to jedynie zastanawiająca, czy tylko w nową niespodziankę formalną.

Teraz, patrząc na sale de Staëla, odczułem nagle, że mnie uwalnia ostatecznie z tego potoku rwącego i mętnego, w którym płynęliśmy wszyscy, potoku który niósł ze sobą skarby ale i płaskie, tysiączne powtórki i płaskie deformacje dzieł dawnych. I nagle wolny, odczułem w de Staëlu czyste źródło natchnienia — jak górski potok czysty i krystaliczny. To przeżycie nie było chwilowym nastrojem ale pewnością, wobec którego te wirtuozyczne popisy, wielosłowie i wątpliwe mity na miejscu stwarzane o sztuce, która, ogarniając wszystkie wieki, miała nam służyć jako jakaś neoreligia (Malraux), wszystko to przestawało istnieć

wobec sztuki de Staëla, olśniewającej i zawsze (abstrakcyjnej czy figuratywnej) sobie wiernej.

Wracam do de Staëla-człowieka, który tak okrutnie życie swoje zakończył, rzucając się do morza przez *porte-fenêtre* swej potężnej pracowni w Antibes.

Dlaczego? Z jakiego powodu?

Nigdy już tego nie zbadamy. Psycholodzy śledzący problem samobójstwa twierdzą, że ta decyzja rodzi się zawsze z wielu czynników, ale że ten gest ostateczny jest przeważnie całkiem dla samego samobójcy nieoczekiwany. Jedno jest pewne, że te dziesięć lat nie tylko wysiłku, ale jakby nieustającego porywu i natchnienia, o którym sam pisał w listach do przyjaciół, wracając ciągle do słowa *joie, quelle joie*, nie mogło nie stworzyć w pewnej chwili równie silnej reakcji negatywnej. Co znaczy to zdanie rzucone w liście do Dubourga we wrześniu 53 roku (niecały rok przed śmiercią): *Mon inévitable besoin de tout casser quand la machine semble tourner trop rond. Que faire?*

Czy los wybrał dla niego tę śmierć, czy on sam wybrał dla siebie ten los — śmierć Van Gogha?

Józef CZAPSKI

30 września 1981

PIOTR WOŹNIAK

ZAPLUTY KARZEŁ REAKCJI

(Wspomnienia AK-owca z więzień w PRL)

Autor — żołnierz ZWZ i AK (szef II oddziału Okręgu Tarnopolskiego) w latach 1941-1944 i komendant Okręgu NOW na terenie COP-u 1945-48.

Wspomnienia obejmują okres 1948/56 kiedy P. Woźniak był więźniem Rzeszowskiego UB, Głównego Zarządu Informacji WP w Warszawie i Wroniek.

Jest to jedno z nielicznych świadectw pokazujących powojenną epopeę żołnierzy AK w rządzonej przez komunistów Polsce.

Zamówienia oraz wpłaty na fundusz wydawniczy prosimy kierować na adres:

Editions SPOTKANIA

64, Av. Jean-Moulin 75014 Paris

Cena egzemplarza F. 30 (\$ 6, £ 3).

Wiersze

Jan Nepomucen RZECKI

POEMAT PRZEDPOTOPOWY

(Abo Sen)

Pradziadowi mojemu dedykuję

I

*Sniło mi się, panowie i panie,
że byłem w fabryce czasu
na nocnej zmianie,
akurat anioł złaził z igły kompasu.
Kiepska tutaj kanalizacja —
rura pękła w dziewiętnastym wieku —
czas wycieka, zacieka,
każdej nocy ośmiogodzinna inflacja,
kapie i kapie.*

*Mówię, trzeba wprowadzić
dalsze ograniczenia czasu,
termostatyczną terapię.
Są już kartki na zegarki,
tytoń z domieszką siarki,
pigułki na sen z moczopędnym wirusem.*

A tu nic, tylko kapie i kapie.

*Anioł Astrolab ma magnes kosmiczny,
przyciąga konstelację Skorpiona
w stronę Oriona,
niby że dowcip — de revolutionibus —*

*a jak tu zaplanować mapę nieba od dołu,
od tego padotu czasu,
bo czasu zostało niewiele,
Astrolabie aniele.*

II

*Ja pracuję, proszę towarzyszy,
od północy aż do samego rana
przy kranach.
Ciecze to paskudztwo,
smród, smuta, myszy z czasów Mieszka
poroście mchem.*

*Przez mikrofon drze się naczelnik,
kaszel ma w gardle całkiem szczery:
Bracia, towarzysze, panowie,
ja wam do jasnej cholery
zrobię taki dialektyczny rozdzielnik,
że wam łupież wyrośnie na głowie.*

*Kaszle i drze się dalej:
Śmierć kapitalistycznym zegarom,
tej feudalnej zakale!
Kto to słyszał, sześćdziesiąt minut roboczych
na jednego czasopiję-godzinę.
On bije, a cyferblat jęczy,
sekundy już są za stare
na rewolucję.*

*Pojutrze każdy będzie miał czas z rurki.
A kto czasu nie wypije,
tego we dwa kije,
łupu-cupu, łupu-cupu,
jak dają cholery, niech pije!*

*Przerwał, lecz kabel trzymał, wszystkim się zdawało,
że on wciąż trąbił, a to radio grało.*

III

*Naraz przychodzi wycieczka
i dwóch siwawych z delegacji.*

*Dostaję od dyrekcji latarkę i teczkę.
Oprawdaj
i sekretów nie zdradzaj,
bo oni pewnie z Sarmacji,
a ty od kranów.*

*Jest u was czas, pytam.
Jeśli jest, ile na głowę?
A ten od delegacji: Był, mówi, ukradli połowę,
a co zostało, na eksport się wystąpiło,
z czego wynika, że gra statystyka.
Ale widzę, towarzyszu-przewodniku, u was też kapie.*

*Ja im na to jak łopata
do głowy przez mikrofon:
Towarzysze, panowie i panie,
w tym kanale na dole
było powstanie —
nie w odpowiednim czasie —
tylko woda dopisała, spłynęły kanałem ciała
na Charonowej trasie.*

*Tutaj na prawo marszałek w stanie spoczynku
zrobił pod zegarem na rynku
zamach.
A wieszcz, co był za młodu poetą,
obwieścił nie bez racji,
że to
ostatni zajazd w Sarmacji.*

*Dechu załapałem
i tak im zaśpiewałem:
Wojenko, wojenko,
cóżes ty za pani,
idą chłopcy, każdy śliczny,
sami malowani, dochodzą przegrani,
zaliczą im czas historyczny
do pośmiertnej pensji.*

*Schowałem latarkę do teczki.
Cześć, czołem! koniec wycieczki,
wracam pod krany,
a z kranów ciecze.*

IV

Pod koniec nocnej zmiany
wielki zamęt i lament w fabryce.
Zwolnili z miejsca wszystkich zegarmistrzów —
dość tego nakręcania —
potem wylali naczelnika,
za dużo cykał.
A mnie dali rozdzielnik i tablicę —
czas się upłynnia, pęcznieje bania —
niech ja to wszystko z godzin na hektolitry przeliczę
póki jest pora.

To już nie sen, ale zmore,
państwo szanowni,
ja po to śnię na jawie,
żeby było ciekawie.

Aż tu wiadomość nad ranem
teleksem wprost z Wyrzutowni
na górze Athos:
Dr von Geist-Demonov
wystrzelił bombę rakiety.
Oświadczył: dojdzie do Nieba.
Nie doszła.
Wybuchła zaraz za Ptolomejską Zoną,
na piątej orbicie czasu.
Aniołowie ze służby granicznej
akurat grali w piłkę z piór.
Odlamek jeden rozwalił im metę,
ostał się jeno magnetyczny mur.
I piłka z piór.

V

Anioł Astrolab, smutny widok,
lewe skrzydło ma w gipsie,
przyleciał na zapasowym silniku.
Patrzy, a tu remanent na całego
w Apokalipsie,
znaczy że znowu kradną.

Nie bawcie się, dziatki,
powiada,

w Apokalipsę — i to w żadną,
ani w tę dużą, ani w tę małą,
bo bardzo a bardzo niebezpieczne.
Macie od Boga jedno tylko ciało:
jak wam wybuchnie,
nie pozbieracie.
A tu już przedmuchują trąby.
Po dechu poznać,
że ostateczne.

I Anioł dalej sypie monologiem
spod tego skrzydła w gipsie.
Rozmawiałem, mówi, z pewnym teologiem,
który za życia
siedział sześćdziesiąt sześć lat w Kurii —
teraz siedzi w Podkomisji Sanitarnej.
Podkomisja przedwczoraj orzekła:
trzeba zaprosić
wytrenowaną kadrę z Piekła,
bo tylko ich komandosi
Czyściciel oczyścić potrafią.
A tam tłok, zaduch, sami mafiosi,
brak nawet miejsc stojących,
ogólny zastój grozi.
Raz trzeba skończyć z tą mafią,
żłoby wyłobić, wymyć wychodki,
przepraszam, powiedział, toalety.

Tu Anioł chrząknął dwuznacznie
i rzecze:
wiadomość smutna, niestety,
wkrótce Exodus się zacznie
człowieczy.

VI

Ja że przy kurkach wciąż kręcę,
stucham, patrzę i czekam,
ręce mi cierpną, rozcieram ręce.
Wygląda na to, że mnie wrobią
na ostatniego człowieka.

Ni z tego ni z owego —
 a tu jak kapie tak kapie —
 podchodzi do mnie syn Noego.
 Będzie potop.
 Wam mówię, bo was znam.

A ty sam, kto ty siaki owaki?
 On grzecznie odpowiada:
 Cham.

Jan Napomucen RZECKI

Lothar HERBST

*
 **

Jesteśmy coraz bardziej nerwowi,
 niespokojni, łączymy się przy
 pustych stołach, patrzymy z nadzieją
 w szary ekran telewizora, i mówimy,
 że tam kłamią i nas szmacą,
 i jesteśmy przeciwko „Prawdzie”
 za Prawdą, i jesteśmy za życiem
 i za śmiercią,
 i prawie nikt z obcych tego nie chce
 zrozumieć, że nie po to wstaliśmy
 na nogi, aby umierać na klęcząco.

IV, 81

Lothar HERBST

Z tomu: PISANE NADZIEJĄ

Henryk GRYNBERG

WRÓCIŁEM

Wróciłem lecz nikt mnie nie czekał
 dziewczyna się zestarzała
 miasto urosło przerosło
 czas odszedł

ulica którą tak dobrze znam
 wcale mnie nie zauważa
 jakbym w czapce-niewidce
 albo po śmierci wrócił

i plaża nic nie pamięta
 chociaż zupełnie tam sama
 z tym samym brzegiem gdzie wielki
 Hłasko się wylegiwał
 gdzie jesteś Hłasko frajerze
 poeto wiecznej młodości
 gdzie jesteś — wołam dziewczynę
 po której nie ma już śladu

czas wszystko wykradł tu podczas
 mej krótkiej nieobecności
 i tak jak zawsze nie fair
 skrada mi się za plecami
 bo to wszystko jest krótsze od życia
 i nigdzie nie można powrócić
 nie moje miasto
 nie mój czas
 i nie ja tu wróciłem

umarłem jeszcze za życia

Tel-Awiv, 24 czerwca 1981

POCZTÓWKA Z PARYŻA

Redaktorowi Giedroyciowi

Boleśniej tu czas z piersi wycieka
 jak fontanna luksemburskiego ogrodu
 gdzie zakochałem się miłością Fausta
 w przepięknej Małgorzacie z kamienia
 (D'Angoulême)
 głęboko do samych łez
 choć o cztery i pół wieku za późno

a tłoczono tu codziennie u królów
 na przyjęciach w Luwrze i Wersalu
 bo każdy chce zdążyć być
 i oczy kobiet szeroko otwarte

na każdą umykającą chwilę
za którą nie można nadążyć
bo Paryża jest stanowczo za wiele
na jedno jedyne życie
(wystarczyłaby odrobina)

i po co tutaj aż tyle
skamieniałych człowiekogodzin
pędzel zakrzepł odpadło dłuto
i wysiłek zastygł jak spazm
pod sklepieniem katedry
gdzie zawisa wołanie śmiertelnych
i ręce ich wyciągnięte
ku gotyckiemu niebu

dosyć przecież w Maisons-Laffitte
bibliotecznej ciszy i róż
po Mickiewiczu Szopenie
i po nas

Henryk GRYNBERG

Paryż, 11 lipca 1981

Archiwum polityczne

Polska i Europa

Milan Kundera nie uznaje określenia „Europa wschodnia”. Zamiast niego używa określenia „Europa środkowa”, znajdując na to dowody w historii kultury europejskiej. Gdy pisze, że po drugiej wojnie światowej zostaliśmy oderwani od cywilizacji, do której należeliśmy przez całe tysiąclecie, ma rację, świętą rację; tylko że niezależnie od terminologicznego uczulenia Kundery Europa wschodnia istnieje jako pojęcie politologiczne, które powstało i utrwaliło się po drugiej wojnie światowej. Poza tym nie jest to tylko kwestia terminologii, jest to problem podziału w Europie. Na przykład my, Czesi, pod względem historycznym i kulturalnym nie należymy ani do wschodniej ani do środkowej, ale po prostu do Europy. W książce „Rosja i Europa” T. G. Masaryka żadne takie podziały ani określenia nie istniały. Dla Masaryka istniała tylko Europa, a obok niej, albo w kontakcie z nią, najczęściej pełnym napięciem, była Rosja; dziś powiedzielibyśmy Związek Sowiecki, czyli kulturalne i historyczne przemieszanie Europy i Azji, mocarstwo, które dzięki temu przemieszaniu tak bardzo się od Europy różni.

Ale co to jest właściwie Europa wschodnia? Co rozumiemy pod tym pojęciem? Rozumiemy tę część Europy, którą Sowiety w wyniku konferencji w Jałcie zaczęły uważać za część swego imperium i którą przy pomocy wojska i tajnej policji, a także swych agentów pracujących w kierowniczych organach partii komunistycznych, zamieniły w obszar uległości i postuszeństwa. W ramach tak pojmowanej Europy wschodniej mieszczą się Czechosłowacja, Polska, Węgry i Niemcy Wschodnie, chociaż są to kraje, które pod względem historycznym, kulturalnym i geograficznym należą do zupełnie innej sfery. Praga, Warszawa, Berlin czy Budapeszt są ośrodkami kultury należącymi do sfery hellenisko-chrześcijańskiej, czyli do tej, która kształtowała się zupełnie inaczej niż Bizancjum czy carska Rosja.

Przy powierzchniowej obserwacji Europy wschodniej mogłoby

się na pozór wydawać, że jest to monolit jednolicie kierowany. Takie twierdzenie miało pewne cechy prawdopodobieństwa w początkowej fazie rodzenia się bloku sowieckiego, tj. w ostatnich latach życia Stalina, na początku lat pięćdziesiątych. Ekipom rządzącym mogło się wtedy wydawać, że ich władza jest wieczna. Ich podwładni byli początkowo zaszokowani agresywną ofensywą siły, w pewnym stopniu byli nią zafascynowani. Tak więc i rządzieli mogli ulec złudzeniu, że to co istnieje jest wieczne i nienaruszalne. Po doświadczeniach kilku dziesięcioleci wiemy już, że we wszystkich krajach Europy wschodniej prędzej czy później wypłynęła na powierzchnię przeszłość narodowa, na przykład wszystkim dążeniom nowych władz, aby tę przeszłość sparyalizować, albo przynajmniej zdeformować w oczach narodu, podporządkowując ją po odpowiednim spreparowaniu własnym propagandowym celem.

Jeszcze raz, jak już wiele razy w historii, potwierdziła się stara prawda, że przeszłość jest w pewnym sensie silniejsza od terażniejszości, a terażniejszość nigdy nie może przekreślić tego co było; historia w końcu zawsze pochłonie współczesność. Integralną częścią przeszłości każdego narodu w Europie wschodniej są określone pojęcia o wolności narodowej i niepodległości państwowej, a jednocześnie wyobrażenia o tym, jak ma właściwie wyglądać wspólnota interesów poszczególnych grup społecznych i narodowościowych: w Czechosłowacji na przykład interesy narodowościowe Słowaków, ale także i Czechów, grup socjalnych jak na przykład robotników i rolników (nie mówiąc już o inteligencji) jak również grup powiązanych wspólnymi zainteresowaniami kulturalnymi. Wszystko to zostało zdeformowane, rozbite, na miejsce naturalnych związków stworzono siłą nowe, sztuczne, nie odpowiadające wymaganiom i potrzebom społeczeństwa.

Rodzące się w naszych krajach nastroje patriotyczne, połączone z pewną gloryfikacją przeszłości nie są niczym innym jak reakcją na narzuconą rzeczywistość. Nastroje te obejmują wszystkie warstwy społeczne we wszystkich krajach z tzw. ograniczoną suwerennością. Nie są one obce nawet warstwom rządzącym, które swoją egzystencję zawdzięczają wyłącznie Moskwie. Stan tego niezwykłego rozdwojenia psychologicznego skomentował kiedyś przed laty dowcipnie sekretarz Kadara, mówiąc, że pierwszy sekretarz rano i wieczorem modli się gorliwie w kierunku wschodnim, a w ciągu dnia intensywnie pracuje dla dobra swego kraju. W szerokich warstwach społecznych rodzi się i rośnie nacjonalizm jako reakcja na brak wolności, na ograniczoną suwerenność, na podlizywanie się rządzącym Kremłowi, na rusefikację życia kulturalnego i w ogóle jakiegokolwiek życia duchowego narodu.

Rezultatem takiego stanu rzeczy jest to, że kraje wschodnioeuropejskie przeżywają nieustający kryzys totalitarny, który z braku jakiegokolwiek ujęcia przemienia się od czasu do czasu w wybuchy niezadowolenia, prowadzące nieuchronnie do wrze-

nia całego społeczeństwa. Władza totalitarna z reguły opanowuje je we własnym zakresie, kiedy jednak nie potrafi poradzić sobie sama z buntownikami — na scenę wkracza supernadzorca — armia sowiecka. Tak było w roku 1953 w NRD, do pewnego stopnia w Polsce w roku 1956, a szczególnie brutalnie w tym samym roku na Węgrzech i następnie w 1968 w Czechosłowacji; od lata 1980 nadzorca socjalizmu stoi w pogotowiu u granic nieposłusznej Polski.

Użyłem określenia nieustający kryzys. Trwa on właściwie od początku istnienia narzuconych siłą reżymów, zdecydowanie od lat 50-tych, kiedy nastąpił pierwszy wybuch. Ale to nie tylko permanentny kryzys, to również kryzys totalny obejmujący wszystkie dziedziny życia politycznego, gospodarczego, kulturalnego, a przede wszystkim duchowego. Propaganda marksizmu-leninizmu, oficjalnej doktryny Moskwy, obraca swe młyńskie koła w próżni.

Jednym z największych wydarzeń w Europie wschodniej po drugiej wojnie światowej jest to, co się stało w Polsce latem 1980. Z punktu widzenia interesów sowieckich wydarzenia polskie są o wiele niebezpieczniejsze niż węgierskie w roku 56, o wiele ważniejsze niż czechosłowackie w roku 68. W Czechosłowacji nastąpił kryzys wewnątrz partii komunistycznej, jego rozwiązania szukano w reformie systemu totalitarnego; partia komunistyczna nie wystąpiła z żadnym programem demokratycznym; jedyna próba powołania do życia niezależnego związku zawodowego maszynistów kolejowych (Federace lokomotivních čet) została w końcu potępiona przez kierownictwo partii.

Protagonistą polskich wydarzeń nie jest partia komunistyczna, jak to było w Czechosłowacji, ale klasa robotnicza, która stworzyła żywiłowo niezależną, samorządną organizację związkową; to samo udało się rolnikom. Polska organizacja związkowa „Solidarność” nie dąży do reformy systemu totalitarnego, lecz walczy o swoje wyzwolenie. Polska klasa robotnicza nie prosi o wyzwolenie, bierze je sama w imieniu i w interesie całego narodu. Doświadczenia roku 1956 nauczyły ją, że nie można wierzyć żadnym obietnicom władców komunistycznych. Doświadczenia te uczą również, że klasa robotnicza może zmusić partię komunistyczną do ustępstw siłą, zorganizowaną siłą robotniczą, popartą przez rolników i inteligencję.

Przywódcy „Solidarności” wykazali swą mądrość i rozwagę w wielu węzłowych momentach ostatniego roku, szczególnie wtedy, gdy zdołali utrzymać w karchach dyscypliny milionowe zbuntowane masy, nie dopuścili do wyjścia na ulicę, do rozruchów i zamieszek, lecz przeciwnie, główny ciężar wydarzeń przenieśli do zakładów pracy, zamieniając je na bastiony robotniczego oporu. Uszanowali przy tym geopolityczną rzeczywistość Polski, uznając, że w obecnej sytuacji należy uznać kierowniczą rolę partii. Powstanie i rozwój niezależnych samorządnych związków „Solidarność” doprowadziły jednak do pewnych zmian w życiu i strukturze partii.

Proces odnowy w Polsce trwa, jest to długi proces. Niektórzy obserwatorzy myślą się często, oceniając pewne momenty tego procesu; na przykład wielu sądziło, że gdańskie porozumienie z końca sierpnia 1980 oznaczało zdecydowany zwrot w dotychczasowych wydarzeniach, tymczasem oznaczało ono jedynie koniec prologu rozpoczynającego się dopiero wielkiego dramatu, którego świadkami jesteśmy jeszcze jesienią 1981 roku.

Doświadczenia historyczne uczą nas, że nie wolno mieć żadnych złudzeń co do demokratyczności jakiegokolwiek partii komunistycznej, a szczególnie takiej, która zdobyła władzę. Byłoby naiwnością podtrzymywać iluzje o demokratycznym charakterze dubczkowskiego kierownictwa partii w Czechosłowacji. Słabość i humanistyczne, gołosłowne deklaracje nie oznaczają jeszcze demokratycznego programu i demokratycznej polityki. Nie można też mieć złudzeń co do profilu i zamierzeń polskiej partii komunistycznej. Konfrontacja sił i poglądów między społeczeństwem polskim, reprezentowanym przez „Solidarność”, i partią komunistyczną trwa nadal. Jest to walka, która do pewnego stopnia zadecyduje o przyszłości nie tylko obszaru, nazywanego Europą wschodnią, ale o przyszłości całej Europy, kontynentu posiadającego wspólne wartości kulturalne i wspólną cywilizację. Polska stała się nadzieją Europy. Wielką nadzieją. A nie jest przypadkiem, że właśnie Polska. Historia narodu polskiego predestynuje go do roli specjalnej, do roli, której nie może odegrać np. naród czeski. Wyjątkowość Polski jest sprawą czysto historyczną. Powstańcze tradycje oraz wyjątkowa rola Kościoła katolickiego są tymi czynnikami historycznymi, które sprawiają, że Polska jest tym czym jest, że przez wszystkie lata powojenne była najślabszym ogniwem bloku sowieckiego.

Nie jest też rzeczą przypadku, że właśnie w stosunku do Polski Związek Sowiecki okazuje wyraźne niezdecydowanie. W roku 1968 w Czechosłowacji proces odnowy nie miał tak niebezpiecznego — z punktu widzenia Moskwy — charakteru, a przeciwieństwo do Czechosłowacji wtargnęły „braterskie” armie. To prawda, że sytuacja światowa jest w roku 1980/81 inna niż w roku 1968, ale istnieją inne jeszcze ważne czynniki powstrzymujące Moskwę od podjęcia ostatecznego kroku. Przede wszystkim trwa wciąż skomplikowana i niebezpieczna operacja w Afganistanie. Poza tym Polska to nie Czechosłowacja, można twierdzić, z całą pewnością, że Polacy z bronią w ręku walczyliby przeciwko okupantowi, ze wszystkimi komplikacjami w całej Europie i w Stanach Zjednoczonych. Osobiście przypuszczam, że jeden z głównych powodów wyczekiwania tkwi w sowieckiej kalkulacji i strategii. Głównym strategicznym planem Związku Sowieckiego jest osłabienie, a w rezultacie nawet rozbitcie sojuszu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Europą Zachodnią. Dyplomacja sowiecka bez przerwy nad tym pracuje, głównym zaś elementem jej taktyki jest ciche ale stałe rozbudowywanie potencjału wojskowego konwencjonalnego i atomowego. Związek Sowiecki nie chce wbrew pozorom otwartej wojny, trzeciej wojny światowej, ale

przecież zbrojenie na tak ogromną skalę, przygotowywanie tak wielkich armii nie może mieć charakteru defensywnego. Czemu więc ma służyć ten kolosalny potencjał militarny? Ani obrona, ani atak, więc co? Silna armia stała się częścią składową sowieckiej dyplomacji, obliczonej na sparaliżowanie Zachodu, na zastraszenie masową zagładą ludzi pragnących żyć w spokoju i dobrobycie. Strach ten trafia niestety zbyt często na dobry, nieprawdopodobnie naiwny grunt. A Sowiety dobrze wiedzą, że inwazja Polski umocniłaby sojusz Europy zachodniej ze Stanami Zjednoczonymi, co nie leży przecież w ich interesie. Inwazja mogłaby pogrzebać sowieckie nadzieje na sparaliżowanie i neutralizowanie Europy zachodniej, na rozbitcie zachodnich sojuszków.

Zwiększając i unowocześniając swój potencjał militarny Sowiety prowadzą jednocześnie zakrojoną na wielką skalę propagandę pokojową, która ma służyć jako zasłona dymna ukrywająca przed światem prawdziwe przygotowania do imperialistycznej ekspansji.

Czy Polska ma jakiegokolwiek szanse w obliczu tej drapieżnej i bezwzględnej siły? Ma. Właśnie dlatego, że Polacy to inny naród, tak bardzo różniący się od pozostałych narodów w Europie wschodniej. I ma szanse dlatego, że „szczęśliwym” zbiegiem okoliczności zniszczenie Polski nie leży w strategicznych, na długą metę obliczonych planach Związku Sowieckiego w stosunku do Europy zachodniej.

Walka o nową Polskę toczy się jak dotąd w granicach tego kraju, jest to walka między „Solidarnością” i partią komunistyczną, między organizacją robotniczą prawdziwą i organizacją uzurpującą sobie tytuł robotniczej. Dotychczasowy bieg wypadków pozwala przypuszczać, że „Solidarność” zmusi w końcu partię do kompromisu. W tym kompromisie tkwi cała nadzieja społeczeństwa polskiego.

Jeśli się ta nadzieja urzeczywistni, za dziesięć lat Europa wschodnia nie będzie już tym, czym jest obecnie. Nic więc dziwnego, że wydarzenia w Polsce budzą zainteresowanie we wszystkich krajach wschodnioeuropejskich, a właściwie w całej Europie. Uczą one Europejczyków, co można osiągnąć dzięki solidarnej i dobrze zorganizowanej walce społecznej.

Jiří LEDERER

Korespondencja z Rzymu

W TRZECIĄ ROCZNICĘ PONTYFIKATU

16 października przypada trzecia rocznica elekcji Jana Pawła II. Co najbardziej uderza obserwatorów watykańskich róż-

nych nacji w tym pontyfikacie? Przeprowadziłem błyskawiczną ankietę wśród kolegów „watykanistów”, akredytowanych przy biurze prasowym Stolicy Apostolskiej. Niemal wszyscy słyszeli o *Kulturze*, zareagowali skwapliwie, a z licznych możliwych odpowiedzi musiałem zrezygnować z uwagi na ograniczone rozmiary mojej korespondencji. Oto wypowiedzi interpelowanych:

Luigi Accatoli, „Corriere della Sera”, Mediolan:

„Jan Paweł II nie zapomina, tak jak jego włoscy poprzednicy, kraju swojego pochodzenia, nie usiłuje wyzuc się ze swej formacji kulturalnej, po to aby być 'tylko' biskupem Rzymu. Nawet więcej: ze swego pochodzenia narodowego i polskiego doświadczenia pastoralnego czyni program rządów i posłannictwa Kościoła Powszechnego. W skali światowej ma to dwie konsekwencje: przestawia na Wschód punkt ciężkości Kościoła (dotąd eurocentryczny i atlantycki) i rzutuje go w kierunku 'trzeciego świata'. Ta opcja nie zależy jedynie od tego, że większość katolików żyje na obszarach trzeciego świata. Jest również wynikiem troski polskiego Papieża (Polska stanowi w pewnym sensie 'trzeci świat' pomiędzy blokiem komunistycznym i światem kapitalistycznym) o to, by młode społeczeństwa Ameryki Łacińskiej, Afryki i Azji mogły pozostać wierne własnej tożsamości kulturalnej, nie dając się pociągnąć ani 'sekularyzmowi' zachodniemu, ani 'ideologicznemu ateizmowi' Wschodu”.

Père Joseph Vandrisse, „Le Figaro”, Paryż:

„Dwa wydarzenia tkwią w mej pamięci, kiedy próbuję dokonać bilansu trzech lat tego pontyfikatu: apel Papieża o jedność Europy chrześcijańskiej, rzucony w Gnieźnie 3. 6. 1979 roku, i jego spotkanie ekumeniczne w Istambule 30. 10. 1979 roku z Dimitriosem I ('trzeba nauczyć się na nowo oddychać w pełni oboma płucami, zachodnim i wschodnim'). Papież-Słowianin poszerza horyzonty Kościołów lokalnych 'Dalekiego Zachodu', które identyfikowały Kościół z samymi sobą tylko, zapominając o istotnej części własnego jestestwa: o swej duszy wschodniej. Papież, uczony i myśliciel, przywrócił etyce jej szlachetną treść, pokazując jak może integrować wszystkie składniki osoby ludzkiej. Definicja człowieka jako 'podmiotu' przekształca się dla chrześcijan w program akcji przywrócenia człowiekowi jego praw. Jak jego nowatorskie nauczanie przejmują Kościoły lokalne i ich środki przekazu? Jest to niepokojąca kwestia dla dziennikarza katolickiego trzy lata po elekcji Jana Pawła II. Jest to problem transmisji, którego — jak mi się wydaje — Stolica Apostolska i Konferencje episkopalne nie biorą wystarczająco pod uwagę”.

Alceste Santini, „L'Unità”, organ PCI (włoskiej partii komunistycznej):

„Jan Paweł II, krocząc wprawdzie po szlaku wytyczonym przez

jego poprzedników i Sobór Watykański Drugi, ma własną 'osobowość' i własną wolę jako aktywny rozmówca we wszelkich kontekstach historycznych. Poprzedni papież troszczyli się w zasadzie o obalenie przegród ideologicznych i dyplomatycznych aby umożliwić dialog Kościoła ze światem współczesnym. Papież Wojtyła natomiast kładzie nacisk na to, co Kościół ma dziś do powiedzenia, podejmując dialog z innymi religiami, różnymi kulturami i realiami historycznymi. A ponieważ Kościół nie ma własnego projektu modelu społeczno-politycznego dla różnych sytuacji na świecie, Jan Paweł II uważa, że człowiek jest jedyną drogą Kościoła (encyklika *Redemptor Hominis*). W encyklice zaś *Laborem Exercens* precyzuje, że ten człowiek jest człowiekiem-pracownikiem-twórcą, który nie chce być dłużej narzędziem, lecz podmiotem procesu produkcyjnego. W tej optyce Jan Paweł II nie tylko zmierza do odrobienia opóźnień, jakie ma Kościół katolicki w stosunku do pewnych zdobyczy socjalnych międzynarodowego ruchu robotniczego, podejmując opcję na rzecz uspołecznienia, którego ośrodkiem jest człowiek. Przesuwa także ós światowego umiejscowienia Stolicy Apostolskiej, która nabiera siły moralnej i duchowej dla zjednoczenia całej Europy i budowy światowego ładu, w którym tylko pokój stanowi fundament i gwarancję upowszechnienia sprawiedliwości społecznej”.

Joan F. Lewis, „The National Catholic Register”, Los Angeles:

„Jan Paweł II jest człowiekiem o ogromnej prostocie i równocześnie wielowymiarowym. Dla wielu milionów katolików jest po prostu pasterzem, *ich pasterzem*. W niezmiernie ruchliwym pontyfikacie uporczywie poszukiwanie przez Papieża ludzkich kontaktów wydaje się *raison d'être* samego pontyfikatu. Pomimo sztywnego stanowiska Papieża w tradycyjnych sprawach wiary i moralności oraz konserwatywnego podejścia do pewnych zapalnych kwestii, którym Kościół musi stawić czoła, Jan Paweł II pociąga za sobą tłumy i zmusza je do myślenia i reagowania w taki czy inny sposób. Kiedy przemawia, świat go słucha, niezależnie od tego czy wszyscy zgadzają się czy też nie z treścią tego co mówi. Wydaje się, że nowe poczucie świadomości zastąpiło dotychczasowe poczucie letargu i apatii. Ten Papież o bezsprzecywnym magnetyzmie utwierdził się jako dominująca osobistość światowa, jako uniwersalny rzecznik pokoju, sprawiedliwości i moralności na świecie, tak dramatycznie wyzuty z tych trzech dobrodziejstw”.

Valentina Alazraki, radio i telewizja, Meksyk:

„Nie było rzeczą przypadkową, że Jan Paweł II zainaugurował swoje posłannictwo apostolskie w świecie podróżą do Meksyku z okazji konferencji episkopatów Ameryki Łacińskiej. W ciągu trzech lat wykazał, że nie jest tylko Papieżem ze Wschodu, lecz również miarodajnym głosem milionów ludzi, którzy żyją na

kontynencie latyno-amerykańskim. W czasie swych podróży do Meksyku i Brazylii, bardziej jeszcze niż w swoich pierwszych encyklikach, wszedł w problematykę świata pracy, bezmiernych różnic społecznych i niesprawiedliwości oraz bezgranicznej władzy klas rządzących. Jego doświadczenie życiowe, zdolność przenikania w każde środowisko i sytuację, czynią zeń człowieka uniwersalnego, wrażliwego na problemy i konflikty każdego człowieka. Jan Paweł II jest przede wszystkim człowiekiem bezpośrednim i odważnym, który potrafił zyskać sobie posłuch i poparcie milionów ludzi w Ameryce Łacińskiej, znużonych obietnicami i demagogią. Jego charyzmatyczny autorytet, ufność w wartości ludzkie, pewność z jaką wyraża swe przekonania, również te które są dla wielu nieprzyjemne, czynią z niego dziś przywódcę państwowego najbardziej szanowanego na świecie. W ciągu trzech lat potrafił personifikować nadzieję w świecie zagrożonym wojnami, wyścigiem zbrojeń, rosnącymi nierównościami społecznymi, wzmagającym się łamaniem praw człowieka. Jako nadzieja przede wszystkim tych ludzi, którzy nie mogą nic zdziałać, znajdują w Nim najlepszego rzecznika".

Benny Lai, „La Nazione”, Florencja, „Resto del Carlino”, Bolonia:

„Wydaje mi się, że potwierdziła się analogia z pontyfikatem Leona XIII, widoczna już w pierwszych aktach pontyfikatu Jana Pawła II. Oczywiście, biorąc pod uwagę różnice narodowości, temperamentu, formacji kulturalnej i przede wszystkim kontekstu historycznego. Niezwłocznie po wyborze Leon XIII powiedział: 'Pragnę prowadzić wielką politykę'. I dziś wiemy, że jego projekt polegał na przywróceniu Kościołowi funkcji przywódczej poprzez giętką akcję, która, zdaniem Leona XIII, miała doprowadzić Kościół do zdobycia świata nowoczesnego. Analogia staje się jeszcze bardziej wyraźna, jeśli przypomnimy zainteresowanie Leona XIII wobec świata słowiańskiego. W swej encyklice *Grande Munus* (Wielki Dar) z 1880 roku, dotyczącej świętych Cyryla i Metodego, ujawnił to zainteresowanie, kontynuowane później uporczywie dla sprawy zjednoczenia Kościoła Zachodniego i Wschodniego. Porównanie oczywiście z tym, który został pierwszym Papieżem-Słowianinem. Można dalej snuć wątek analogii, mając na uwadze również wysiłek ku odnowie kultury religijnej, podejmowany w czasie pontyfikatu Leona XIII oraz jedną z głównych jego linii działania, jaką stanowiło 'rozszerzanie wszędzie sfery wpływów katolicyzmu'. Powtórzmy te słowa Leona XIII wyrażone w dokumentach, w których oświadczał, że Kościół nie stawia granic uznaniu jakiegokolwiek formy rządów, pod warunkiem by była mu zapewniona wolność działania. Konkluzyja: trzeba postawić sobie jednak pytanie: w 1903 roku, kiedy zmarł Leon XIII, wszyscy zastanawiali się nad tym, co pozostanie z tej jego 'wielkiej polityki'? Odpowiedzią był wybór następcy: Piusa X. Dzisiaj pamięta się o Leonie XIII tylko ze względu na encyklikę *Rerum Novarum*, nie z powodu 'wielkiej polityki'".

Hiroshi Miyahira, „Catholic Graph” i „Kosei Shimbun”, Tokio:

„Historyczna podróż Jana Pawła II do Japonii w lutym br. przyniosła drobnej mniejszości katolickiej pełnię obywatelstwa, pobudzając zarazem rozpoczęty już za Pawła VI dialog ze światem niechrześcijańskim. Prasa i państwowa telewizja zmobilizowały się wokół niemal całkowicie nieznannej postaci Papieża. Nic podobnego nigdy się w japońskim społeczeństwie nie zdarzyło. Jan Paweł II podszedł do społeczeństwa japońskiego z dużą zręcznością, czyniąc sympatyczny i bardzo skuteczny gest: przemawiał po japońsku co wywołało wielki entuzjazm. Papież przemawiał tak w Hiroszimie, jakby chciał nadać głębszą treść swym gestom kurtuazji. Kto do tej pory cierpi następstwa bomb atomowych i kto niepokoi się poważnie możliwościami wojny nuklearnej, ten znalazł w Papieżu sojusznika o statusie międzynarodowym. To co uderzyło najbardziej społeczeństwo japońskie w Papieżu, to na pewno jego polskie pochodzenie oraz ciężar gatunkowy jaki reprezentuje w skali światowej. Jego 'przemówienie do Chin' było tego dowodem. Wizyta Papieża w Japonii, łącznie z późniejszą wizytą Lecha Wałęsy, wywołała jako uboczny efekt znaczny wzrost zainteresowania społeczeństwa dla 'sprawy polskiej'".

Wasz korespondent rzymski:

Nie zamierzam konkurować z takimi „wygami” jak Lai, Accatoli, Vandrisse czy Santini, którzy mają za sobą staż watykański ponad 20-, a nawet 30-letni. Moje bezpośrednie doświadczenie watykańskie nie przekracza 6 lat. Podzielał oczywiście wiele ocen moich kolegów. Szczególnie trafne wydają mi się spostrzeżenia korespondentów *Le Figaro* i *Corriere della Sera*. Na pewno pobudzająca do refleksji jest sceptyczna, dość przewrotna wypowiedź Lai'a. Wydaje mi się jednak, że wszyscy ci rozmówcy przykładają nadmierną wagę do osobowości i działań samego Papieża, koncentrując uwagę na tym, niewątpliwie zasadniczym, personalnym aspekcie pontyfikatu. Zbyt małą wagę natomiast przykładają do tego, czego On się od ludzi spodziewa, do czego ich nakłania, wręcz prowokuje. Ten pontyfikat, w odróżnieniu od poprzednich (lub przynajmniej silniej od nich), nastawiony jest przeciw na recepcję treści papieskiego *Magisterium*, tzn. wyposażenie w podmiotowość, uaktywnienie tych co mają go odbierać. Przychodzi mi tu na myśl znakomita ankieta *Więzi*, opublikowana po wizycie Papieża w kraju. Nacisk był tam postawiony na „wyzwanie”, na uzdatnienie ludzi do rozważnych, odpowiedzialnych działań. Ta recepcja w Polsce „zagrała”, podobnie jak, w znacznej mierze, również w pewnych krajach czy kręgach społecznych Ameryki Łacińskiej i Afryki.

Wydaje mi się, że Jan Paweł II przy całym optymizmie, jakim promieniuje, ma w gruncie rzeczy pesymistyczny obraz dzisiejszego świata (i może dlatego właśnie tym bardziej stara się na-

ctnąć ludzi nadzieją). Ocenia prawdopodobnie bez złudzeń rzeczywistość na świecie wstrząsanym konwulsjami nienawiści, fanatyzmu i przemocy. Ten świat, oparty na „równowadze strachu i terroru”, uchyla się coraz bardziej od racjonalnej interwencji człowieka, wymyka się spod kontroli. Przypomina jakby drzewo, z którego wicher odrywa gałęzie i roznosi je na wszystkie strony. Rządzący nim politycy przypominają z kolei niby zdżbła kłębiące się i podrzucane w powietrznym wirze. Papież wyznacza Kościołowi Powszechnemu, w najszerszym znaczeniu słowa „powszechny” funkcję wzmocnienia tego drzewa od korzeni. By je uodpornić na poddmuchy wichrów, to znaczy złych podszeptów skażonej natury ludzkiej. Kościół otwarty, pluralistyczny, odbiurokratyzowany (opory w Kurii Rzymskiej!) i zdecentralizowany (stała troska Papieża o zrewaloryzowanie Kościołów lokalnych) ma zapobiegać niekontrolowanym, irracjonalnym odruchom i działaniom. Nie tylko katolików, wyznawców wszelkich religii, chrześcijańskich i niechrześcijańskich, lecz również „wszystkich ludzi dobrej woli”, do których także skierował swą ostatnią encyklikę o pracy ludzkiej.

Dominik MORAWSKI

Pisane 11 października 1981

— NOWOŚCI WYDAWNICZE —

BIBLIOTEKA « KULTURY »

♦
TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

♦
TOM 335 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

(1978 - 1979)

Zapisy pamiętnikarskie o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 256.

Cena F. 75,00.

Sąsiedzi

Rozmowa z Aleksandrem Zinowiewem

(wrzesień 1981)

M. Broński: — Może zaczniemy naszą rozmowę od wypadków w Polsce. Jak Pan je ocenia?

Aleksander Zinowiew: — Wypowiadałem się już na ten temat i moje stanowisko nie zmieniło się. Odróżniam w moim podejściu do sytuacji w Polsce stanowisko moje jako specjalisty i teoretyka społeczeństw tego typu od stanowiska psychologicznego, osobistego. Psychologicznie biorąc, rozpatruję wypadki w Polsce jako powstanie przeciw reżymowi; przeciw sowietyzmowi, protest przeciw reżymowi komunistycznemu w ogóle; i z tego punktu widzenia witam je z zadowoleniem. Powiedziałem kiedyś [w wystąpieniu w telewizji francuskiej], że gdyby wypadki te miały przerodzić się w wojnę domową i walkę o niepodległość narodową w Polsce, udałbym się tam żeby walczyć jako ochotnik. To nie żart ani demagogia — jeśli coś podobnego zajdzie, dotrzymam słowa.

Jeśli chodzi o moje stanowisko teoretyczne, to nie wierzę w jakąkolwiek trzecią drogę. Niezależnie od tego kto by objął w tej chwili władzę w Polsce, o ile zachowana zostanie socjalistyczna (czy też: komunistyczna) podstawa systemu, czyli wspólna własność środków produkcji, po kilku latach wszystko wróci do tego co było. Może w nieco łagodniejszej formie, ale istota rzeczy pozostanie ta sama. Znajdujemy się niestety u progu nowej ery w dziejach i ludzkość zmuszona będzie przejść wszystkie kręgi piekła, zanim wywalczy sobie na nowo demokrację i inne zdobycze zachodniej cywilizacji.

Los polski jest szczególnie, gdyż dochodzi tu jeszcze kwestia narodowa. Polska była przez wieki ofiarą innych państw: Niemiec i Rosji, a Związku Sowieckiego w szczególności... Toteż

uwazam, że mimo iż nie ma perspektyw, to jednak z uwagi na — powiedzmy — historię i na poczucie godności, polskie wypadki winny przekształcić się w walkę o narodową niepodległość. Cokolwiek by się miało zdarzyć w Polsce, w socjalistycznej Polsce, jej niepodległość będzie zdobyczą dla Polaków — i dla Rosjan. Podkreślam, że mówię to jako Rosjanin. Pod tym względem całkowicie podzielam zdanie przedrewolucyjnego Lenina, który powiedział, że nie może być wolnym naród uciskający inne narody. Wolna Polska miałaby ogromne znaczenie właśnie dla Rosji, dla rozwoju demokracji w Rosji.

M.B.: — Czy sądzi Pan, że ludność w Związku Sowieckim myśli podobnie jak Pan?

A.Z.: — Niestety nie. Liczba ludzi patrzących na te sprawy tak jak ja jest znikoma. Ludność sowiecka w swej ogromnej większości odnosi się do wypadków w Polsce albo całkowicie obojętnie, albo popiera pozycję władz.

M.B.: — Dlaczego?

A.Z.: — To złożony problem. Wymienię tylko niektóre punkty wyjaśnienia tego pozornie dziwnego zjawiska. Ludzie sowieccy mają do dyspozycji cały system ideologicznego samousprawiedliwienia. Uważają, że Związek Sowiecki w czasie wojny Polskę wyswobodził czy też podbił (co na jedno wychodzi) i w związku z tym traktują Polskę jako *swoje* terytorium: „to nasze!”. A jedną z zasad ideologii rozpowszechnionej wśród ludności sowieckiej jest, że wszyscy winni w jednakowym stopniu dźwigać ciężary nakładane przez historię. Ludność sowiecka patrzy na obecne wypadki w Polsce nie jak na walkę o niepodległość, lecz jak na walkę o *specjalne przywileje* w obozie sowieckim.

M.B.: — Więc to nie „polski bunt”, tylko „bunt”?

A.Z.: — Po prostu „bunt”. Tak samo patrzono na bunt węgierski i czechosłowacki. Ludność sowiecka sądzi, że „my żyjemy źle, po świńsku, więc wszyscy powinni tak żyć”.

M.B.: — To bardzo pesymistyczny punkt widzenia. Więc nie ma co liczyć na zrozumienie czy poparcie ze strony rosyjskiej?

A.Z.: — To nie pesymizm, tylko trzeźwe spojrzenie. Ja po prostu podchodzę do tematu z uwzględnieniem czynnika czasu. W Rosji są ludzie, którzy całkowicie biorą stronę Polski. Ja na przykład całe życie sympatyzowałem z Polakami i pod wieloma względami mój światopogląd kształtował się pod wpływem polskiej kultury. I tacy ludzie jak ja w Rosji istnieją. Ale na to, by zebrało się ich tylu, aby mogli wyrzucić wpływ na bieg spraw

w Rosji trzeba czasu. Na wszystko w ogóle trzeba czasu. Człowiek normalnie chciałby, żeby wszystko było zaraz; psychologicznie to rozumiałe. Ale na wszystko potrzebny jest czas. W danym wypadku też: trzeba ofiar, trzeba czasu. Ja jestem optymistą w tym sensie, że stwierdzam, iż walka zaczęła się i będzie się toczyła nadal... Polska stała się w tej dziedzinie najsilniejszym argumentem za tym, że walka o lepsze życie jest w warunkach komunizmu możliwa. I że walka taka może być uwieńczona sukcesem. W określonych granicach, naturalnie.

M.B.: — To jest optymizm na długą metę. Na krótszą, w granicach ludzkiego życia, uważa Pan jednak, że nic się nie zmieni?

A.Z.: — Ja nie patrzę na życie w ten sposób, że koniecznie należy osiągnąć jakiś pożądany cel. Patrzę na życie jako na walkę. I na to życie jest wystarczająco długie. Może jest za krótkie, by osiągnąć rezultaty, ale dość długie, by wziąć udział w walce. Takie jest moje stanowisko psychologiczne i z tego punktu widzenia jestem optymistą: wystarczy wziąć udział w bitwie. A dalej poprowadzą ją następne pokolenia. Uważam, że gdyby wszystkie problemy udawało się rozwiązywać od razu, byłoby okropnie nudno. Dobrze, że można walczyć...

M.B.: — Tak, ale w obecnej polskiej sytuacji tych problemów jest nieco za dużo...

A.Z.: — Przyznaję, że polska sytuacja jest złożona. Powiem nawet, że z socjologicznego punktu widzenia jest niesłychanie złożona. Ale Polska była ojczyzną konkretnej socjologii, dała światu wielu wybitnych socjologów, wielu ich jeszcze posiada: oni lepiej ode mnie potrafią tę sytuację zanalizować. Co do mnie uważam jednak, że niezależnie od stopnia komplikacji specyficznej sytuacji, istnieją pewne prawidłowości ogólne — prawa organizacji wielkich mas ludzkich — i odnoszą się one także do Polski.

M.B.: — Mój sąsiad w Kulturze, Brukselczyk, sformułował niedawno taki pogląd: „nikomu jeszcze nie udało się określić granic elastyczności systemu sowieckiego”. Innymi słowy: nikt nie może z góry przepowiedzieć, ile Związek Sowiecki jest w stanie przełknąć. Może np. potrafi się pogodzić z tym, że obecny, bardziej liberalny kurs polityczny w Polsce utrzyma się i stworzy nową formę współistnienia?

A.Z.: — Nie zgadzam się z tym poglądem co do granic, bo żadne określone granice tego systemu nie są mi znane; sądzę, że dość dużo napisałem na ten temat w moich książkach. A co do tego, ile potrafi przełknąć czy znieść? Związek Sowiecki ma w tej dziedzinie duże doświadczenie: niech Pan sobie przypomni NEP!

Pozwolili? Tak, ale tylko chwilowo. Ten system może znieść wiele: może na przykład pozwolić na dwie partie, czemu nie; może dopuścić do władzy „Solidarność”, zgodzić się na prywatną własność na wsi — tak, ale tylko chwilowo, do czasu. Zgodzimy się, już na drugi dzień będzie starał się to wszystko unicestwić, ponieważ wszystkie takie ustępstwa przeczą jego istocie.

M.B.: — Istnieją jednak rachuby na to, że ludzie na Kremlu zmieniają może z czasem swój stosunek do krajów satelickich i — dla obopólnej wygody — pozwolą, by np. Polska, Węgry czy Czechostowacja uzyskały status przypominający pozycję Finlandii.

A.Z.: — To całkowicie wykluczone. Powtarzam, należy brać pod uwagę czynnik czasu i ogólne położenie na świecie. Los sowieckich satelitów nie zależy od takich czy innych przywódców na Kremlu: wszyscy oni będą robili to samo. Świat obecnie kłoni się ku wojnie. Tak jest. I już choćby ten wzgląd — gotowość bloku sowieckiego do wojny, jego jedność w obliczu przyszłych wypadków — to wszystko wyklucza jakąkolwiek dalej idącą liberalizację reżymu. To raczej Finlandia może zostać zmuszona do ewolucji w kierunku obecnej sytuacji Polski, Czech czy Węgier, niż odwrotnie. Niestety nie mogę tu dokładniej uzasadnić tych poglądów, ale dla mnie, który od lat zajmuję się konstrukcją socjologicznej teorii tego systemu — teorii opartej na zasadach logiki formalnej — to jasne jak twierdzenie matematyczne. Abstrakcyjnie można rozważać różne warianty — abstrakcyjnie, tzn. nie biorąc pod uwagę praw systemu i konkretnej sytuacji w świecie — ale przy uwzględnieniu wspomnianych czynników nie należy spodziewać się zbyt wiele.

M.B.: — Oczywiście, wszystko na świecie jest tylko czasowe, więc czasowe mogą być i ustępstwa. Ale w ludzkiej skali, jeśli pewna sytuacja utrzymuje się dłużej czas, staje się „trwałą”. Na przykład Stalin wyraźnie dążył do wcielenia satelitów do Związku jako republik sowieckich — więc wówczas ich odrębny status był tylko chwilowym ustępstwem. Stalin nie zdążył, a jego obecnym następcom trudniej już przyszłoby to zrealizować. Więc jeśli np. obecna sytuacja w Polsce utrzyma się dostatecznie długo...

A.Z.: — Należy rozróżnić dwa podejścia: polityczne i socjologiczne. Pan mówi o tych sprawach w aspekcie politycznym, a ja cały czas — socjologicznym. Niezależnie od sytuacji ludzie muszą żyć: jeść, ubierać się, budować domy. Muszą zatem pracować w fabrykach, przedsiębiorstwach itd. A we wszystkich tych instytucjach organizują się według tych samych zasad i podlegają prawom tej samej organizacji. Dlatego też nawet Zachód ewoluuje w kierunku modelu kolektywistycznego czy też komu-

nistycznego. Tu także można spotkać zjawiska tamtego systemu. Przyjrzyjmy się dokładniej Akademii Francuskiej czy niemieckim towarzystwom naukowym, a znajdziemy i w nich te wszystkie elementy, które tak bujnie rozwinęły się w Związku Sowieckim. Niestety, tendencja komunistyczna jest obecnie najsilniejszą tendencją historii. A co do aspektu politycznego? Naturalnie, są pewne różnice, ale np. Jugosławia jest niezależna od Związku Sowieckiego, a czy sytuacja w niej jest lepsza? Bynajmniej nie lepsza.

M.B.: — Nie całkiem rozumiem Pański determinizm. Pan uważa komunizm za zwycięstwo tendencji kolektywistycznej, a tę — za przedłużenie najgorszych cech ludzkiej natury: lenistwa, zawiści, chęci pasożytowania na innych. Ale przecież ludzka natura jest wszędzie taka sama, a systemy na świecie są różne.

A.Z.: — Nie jestem deterministą. To nie determinizm, tylko stwierdzenie pewnej prawidłowości procesu historycznego.

M.B.: — Ale np. w Stanach Zjednoczonych tendencja ta nie zwyciężyła. Tam jest liberalizm gospodarczy, kapitalizm... Od czego to zależy?

A.Z.: — Od warunków historycznych. Wszystko pojawia się gdzieś po raz pierwszy. Człowiek też pojawił się tylko raz, a potem powstała ludzkość. W Rosji ta raz powstała tendencja ewolucji znalazła dla siebie podatną glebę, umocniła się i walczy teraz o byt. Jeśli nie uda się jej zlikwidować tam gdzie rozkwitła — podbije cały świat. Problem wygląda tak: albo ją się zniszczy, albo ona zniszczy świat.

M.B.: — Czytając Pańskie książki odnosi się wrażenie, że to już niemożliwe, bo system ten tak głęboko wrósł w ludzi, że nie da się oddzielić „złej władzy” od „dobrego narodu”.

A.Z.: — Znow to samo: czas, czas, czas... Wszystko można zniszczyć: ziemię, system słoneczny... Nawet galaktyka nie będzie trwała wiecznie.

M.B.: — Ale w takim razie zniszczenie systemu komunistycznego równałoby się zagładzie dużej części świata?

A.Z.: — Nie, mówiąc o zniszczeniu tego systemu nie mam na myśli tego, że wszyscy ludzie w nim muszą zginąć. Zakładam tylko, że rozpadnie się jego organizacja. A co powstanie na jej miejscu, nie wiadomo. Może małe kraje, w rodzaju Szwajcarii czy Belgii... Nie wiadomo.

M.B.: — W swej książce „Komunizm jako rzeczywistość” koń-

czy Pan podobne rozważania słowami: „...może jeszcze coś gorzego od systemu sowieckiego”.

A.Z.: — Może coś gorszego. To zupełnie możliwe. Wie Pan, historia sowiecka w okresie porewolucyjnym jest oświetlana w krytycznej literaturze bardzo jednostronnie. Całkowicie pomija się fakt, że w okresie kiedy jeszcze nie było centralnych organów ucisku, ucisk ten już istniał w poszczególnych kolektywach — ludzie *sami* prześladowali się nawzajem. I co było gorsze? Powiedzieć tedy można, że centralizacja ucisku w organach państwowych z pewnego punktu widzenia była dla ludzi dobrem, poprawą sytuacji. To co istnieje teraz w Związku Sowieckim nie jest po prostu wynikiem „złej woli” — to rezultat długiego doświadczenia historycznego, poszukiwania rozwiązań. Istnieją przykłady, jak to w wypadku powstawania autonomicznych komun, samorządzących się grup, władzę w nich bardzo prędko przechwytywała mafia, terroryzująca ludzi i praktycznie biorąc już w ogóle nie można było w nich żyć. Czy coś takiego może znów zająć po ewentualnym upadku systemu sowieckiego, trudno powiedzieć. Ja w każdym razie nie podejmuję się układania takich przepowiedni.

(Rozmawiał M. BRONSKI)

“Sowieckij naród”

MOSKIEWSKI PLAN KONSOLIDACJI SPOŁECZEŃSTWA I UMOCNIEŃ POTĘGI PAŃSTWA

Do opinii publicznej na Zachodzie tylko sporadycznie dochodzą informacje o zabiegach Moskwy wokół stworzenia *homo sovieticus*. Tymczasem pod hasłem „zwiększania zasięgu i doskonalenia języka rosyjskiego” cel ten realizowany jest wielkimi nakładami materialnymi i ludzkimi niezwykle konsekwentnie.

Już na XXII zjeździe KPZS w roku 1961 Nikita Chruszczow stwierdził, że w Związku Sowieckim powstała nowa wspólnota narodów, *sowieckij naród*, przy czym nie wiadomo było dokładnie, co tę wspólnotę stanowi. To jednak było pewne, że akcent spoczął już nie na „rozkwiecie narodów”, lecz na ich „zbliżaniu”. I już wtedy zdefiniowano dwie funkcje języka rosyjskiego:

- 1) miał on stać się nie tylko środkiem porozumienia między poszczególnymi narodami, lecz „drugim językiem ojczystym” każdego obywatela sowieckiego;

- 2) miał być dla tegoż jedyną drogą do międzynarodowego dorobku kultury i techniki.

Dziesięć lat później, w 1971 roku, Leonid Breżniew oświadczył na XXIV zjeździe KPZS prawie to samo:

„W latach socjalistycznej rozbudowy powstała w naszym kraju nowa historyczna wspólnota ludzka, naród sowiecki. We wspólnej pracy, w walce o socjalizm i jego utrzymanie wytworzyły się nowe harmonijne stosunki między klasami, grupami społecznymi i narodami, stosunki przyjaźni i współpracy”.

Po wystąpieniu Breżniewa rozgorzała w ZSSR dyskusja nad znaczeniem pojęcia „naród sowiecki” i jego praktycznymi konsekwencjami dla polityki narodowościowej. Wobec zapowiedzi ustanowienia na najbliższym zjeździe partii nowej konstytucji, którą w październiku 1977 miała zatwierdzić Rada Najwyższa, spory stawały się coraz bardziej zaciekłe. Po opracowaniu projektu konstytucji miała miejsce „publiczna dyskusja”, w trakcie której przeróżne orientacje usiłowały wywrzeć wpływ na obrót sprawy. Dały o sobie znać siły prawicowe, które już od śmierci Stalina starały się okroić lub znieść narodowe prawa republik. Niezwykle aktywne przedstawiciele tej orientacji postawili tezę, że powstanie Związku Sowieckiego oznacza *de facto* kontynuację imperium rosyjskiego. Za jeden z wielu możliwych przykładów takiej argumentacji niech posłużą słowa M. A. Andrejewa:

„Za początek tworzenia i kształtowania się narodu sowieckiego przyjąć można czas terytorialnego powiększania się państwa rosyjskiego i jego przekształcanie się w państwo wielonarodowościowe. Już wtedy zarysowało się jednolite terytorium, powstał język komunikacji między narodami, kształtowała się świadomość jednolitej wielonarodowej wspólnoty, już wtedy umacniała się przyjaźń narodów Rosji”.

Drugim punktem sporów była interpretacja słowa „zbliżanie” narodów. Prawica podkreślała fakt, że w całym ZSSR panuje ta sama kultura i socjalistyczna gospodarka, ta sama marksistowsko-leninowska ideologia i że wszystko zmierza do powstania jednolitego socjalistycznego narodu sowieckiego. Eksperci i funkcjonariusze partyjni bronili tej tezy w złagodzonej formie twierdząc, że powstaje nowa etniczna wspólnota jako stadium przejściowe komunistycznego już społeczeństwa. Pewna mniej liczna zresztą grupa ostrzegała jednak przed niedocenianiem problemów i praw narodowościowych.

Wynikłe ze sporu napięcie przypominało sytuację tuż po śmierci Stalina, gdy — jak relacjonuje dysydent Agurskij — powstała silna, neofaszystowska grupa, która na dłuższy czas opanowała organ komsomołu *Mołodaja Gwardia*. Jej poparcie ze strony wpływowych aparatczyków wykorzystali prawicowi ekstremiści i opublikowali szereg antysemitkich artykułów, książek i broszur.

Partia zareagowała dopiero wtedy, gdy przekroczone zostały granice wszelkiego umiaru i gdy działalność owej grupy wywoływać zaczęła silne reakcje ludności. Po raz pierwszy dał wówczas znać o sobie rosyjski ruch demokratyczny z takimi osobistościami na czele jak profesor Sacharow. Umocniła się także naródowa opozycja w republikach nierosyjskich. W przededniu przyjęcia nowej konstytucji partia wycofała się na pozycje bardziej umiarkowane. Rosyjscy neofaszyści próbowali wnieść do nowej konstytucji opracowany przez siebie program. 4 października 1977 na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR Breżniew poinformował opinię publiczną dość szczegółowo o tym programie, który żądał między innymi: wprowadzenia do konstytucji pojęcia jednolitego narodu sowieckiego; rozwiązania autonomicznych republik sowieckich, a przynajmniej ograniczenia ich suwerenności; cofnięcia im prawa do wystąpienia ze Związku Sowieckiego oraz prawa do nawiązywania zagranicznych stosunków; zniesienia Rady Narodowościowej i ograniczenia Rady Najwyższej do jednej izby.

Breżniew odniósł się z rezerwą do tych żądań i skarcił zwolenników powyższego programu za wyciąganie niewłaściwych wniosków z pojęcia „naród sowiecki”. Zganił próby sztucznego forsowania obiektywnego procesu zbliżania narodów, które wiąże niezlomna przyjaźń.

Wszyscy komentatorzy byli zgodni, że centralny punkt nowej konstytucji nie tylko potwierdza powstanie narodu sowieckiego, lecz również wyraźnie wzmacnia centralizm. Wprawdzie konstytucja nadal uznaje prawo każdego narodu do rozwoju swego języka i swej kultury, ale podkreśla jednocześnie „zbliżanie narodów w ramach jednej, nowej, wielonarodowościowej wspólnoty” oraz że kierowniczą i wiodącą siłą społeczeństwa sowieckiego, jądrem jego systemu politycznego, państwowych organów i społecznych organizacji jest Komunistyczna Partia Związku Sowieckiego. Ona odpowiedzialna jest za „zbliżanie” i „internacjonalizację” i tylko ona może ustanowić metody ich realizacji „bez naruszania praw poszczególnych narodów”.

W roku szkolnym 1977/78 przeprowadzono w wybranych szkołach jedenastu republik eksperyment, który miał wykazać, o ile zwiększyć można ilość godzin lekcyjnych języka rosyjskiego i jakie metody jego nauczania są najskuteczniejsze. 13 października 1978 Rada Ministrów ZSSR podjęła (co było najbrutalniejszym posunięciem wobec szkolnictwa w republikach nierosyjskich) decyzję o reformie nauczania na rok 1979, według której przedmioty wykładane dotychczas w językach narodowych miały być od teraz nauczane w języku rosyjskim.

By polityce narodowościowej nadać „naukowy charakter”, polecono naukowcom i pedagogom opracowanie wytycznych. Kierownictwo partyjne było jednomyślne w podstawowej kwestii: rusyfikacja szkolnictwa jest jedyną drogą do konsolidacji społeczeństwa i umocnienia potęgi państwa sowieckiego. Na konferencji taszkienckiej w maju 1979 roku naukowcy i pedagodzy dysku-

towali nad możliwością realizacji tego zadania bez wywołania konfliktów z ludnością nierosyjską. Konferencja, której przyświecało hasło „zwiększania zasięgu i doskonalenia języka rosyjskiego” (z dodatkiem „język rosyjski językiem współpracy i przyjaźni narodów Związku Sowieckiego”) miała nadrobić zaistniałe na tym polu zaległości i rozjaśnić ideologiczne oraz naukowe tło zagadnienia. Konferencja ta przebiegała pod znakiem gloryfikacji języka rosyjskiego; ilustrują to słowa organizatora imprezy I sekretarza KC Komunistycznej Partii Uzbekistanu, S. R. Rasizidowa:

„Język rosyjski to język wielkiego Lenina, język gigantycznego narodu, który szczyty się najbardziej demokratycznymi i rewolucyjnymi tradycjami i największą kulturą. Jest językiem budowniczych nowego społeczeństwa, o jakim od stuleci marzyli najmądrsi ludzie. Jest językiem nowoczesnej nauki, techniki i kultury. Słowo rosyjskie łączy nas, członków olbrzymiego, wielonarodowego państwa, z ludźmi całej planety. Słowo rosyjskie jest głosem namiętnego nawoływania o równość, braterstwo i przyjaźń narodów, o łączenie sił w imię pokoju i społecznego postępu”.

Efektem konferencji taszkienckiej i wielu innych, nie wymienianych w tej pracy przedsięwzięć polityki rusyfikacyjnej było wprowadzenie tzw. dwujęzykowości do całego systemu kształcenia, od przedszkola aż po uniwersytet. Niewinnym słówkiem „dwujęzykowość” osłaniało się wielkie „dokonanie” roku szkolnego 1980/81: wprowadzenie już do przedszkoli republik nierosyjskich, szczególnie środkowoazjatyckich, języka rosyjskiego. Przywódcy sowieccy w zgodnym chórze z pedagogami zapewniają wprawdzie, że języki narodowe nie są przez to wypierane, ale zapewnienia te mają na celu tylko uspokojenie rodziców i łudzenie opinii publicznej krajowej i zagranicznej. Szowiniści rosyjscy „odkryli”, że rusyfikację najlepiej zaczynać już w przedszkolu, gdyż w tym wieku nauka języka przychodzi dziecku najłatwiej, a poza tym nie ma ono jeszcze rozwiniętego poczucia tożsamości narodowej. „Dwujęzykowość” kontynuowana jest w szkołach średnich i wyższych; zakłamanie i brutalność reżymu ukazują się na tym poziomie jeszcze wyraźniej. Tylko język ojczysty, literatura i sfałszowana zresztą historia wykładane są w języku narodowym. Mogą się nim posługiwać jeszcze szkoły, które specjalistycznie zajmują się rodzimą sztuką, tańcem ludowym itp. W szkole średniej zajęcia z matematyki, fizyki i przedmiotów technicznych prowadzi się wyłącznie w języku rosyjskim, przy czym szczególnie nacisk kładzie się na przyswojenie uczniom terminologii naukowej. Podobnie w szkołach wyższych, na uniwersytetach i w akademiach nauk wszystkich 14 republik nierosyjskich obowiązuje nauczanie przedmiotów technicznych w języku rosyjskim.

Nie ulega kwestii, że mamy tu do czynienia z dobrze obmyślnym planem rusyfikacji całego systemu szkolnictwa, choć so-

wieccy przywódcy pojęcie rusyfikacji uważają za „wrogą, imperialistyczną propagandę”. A liczne i poważne publikacje stawiają pytanie: jak można mówić o rusyfikacji, jeśli konstytucja sowiecka przyznaje każdemu obywatelowi prawo wychowywania swoich dzieci w wybranym przez siebie języku?

Tymczasem nasilenie polityki rusyfikacyjnej datuje się już od lat sześćdziesiątych. W 1959 roku akademii nauk Ukrainiejskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej wydawała 15 czasopism w języku ukraińskim, a tylko trzy w rosyjskim. Dziś ukazują się 32 czasopisma w rosyjskim, tylko 8 w ukraińskim i 2 w obu językach. Akademia nauk Białoruskiej RS publikuje obecnie 11 czasopism lub też „serii”, w tym 3 w języku białoruskim, za to 8 w rosyjskim.

W republikach nierosyjskich rusyfikacja wywołuje protest naukowców, którzy przypominają, że wszystkie narody republik mają własny język narodowy i naukowy, a Moskwa jeszcze przed kilkoma laty chwaliła wkład naukowy poszczególnych republik, przede wszystkim ukraińskiej, gruzińskiej, estońskiej. Bariery językowe nie istniały, gdyż pozycja, która była interesująca dla całego ZSSR, mogła być natychmiast i bez trudu przetłumaczona. Ukraińcy są szczególnie dumni ze swojej dwutomowej, wydanej w 1973 roku „Encyklopedii Cybernetyki”, która w języku rosyjskim została opublikowana zaledwie w rok później. Twierdzenie, że narody nierosyjskie w swoim własnym interesie powinny zrezygnować z ojczystego języka naukowego, gdyż tylko posługiwanie się rosyjskim zapewni im osiągnięcie światowego poziomu, jest oczywistym kłamstwem. Kierownictwo partyjne podkreśla, że język rosyjski obok angielskiego, francuskiego i niemieckiego należy do czterech światowych języków nauki (zalicza się do nich poza tym chiński, hiszpański i arabski), przy czym pojęcie światowego języka wyraźnie się tu mitologizuje. Obejmuje ono przede wszystkim terminologię naukową, uskarżając się eksperci rosyjscy. Przeprowadza się w związku z tym rusyfikację terminów angielskich; na przykład zamiast „cybernetyka” używa się określenia *teoria uprawlenia*, gdy tymczasem nawet Japończycy, którzy w wielu dziedzinach prześcignęli nawet Amerykanów i osiągnęli poziom, o jakim Rosjanie długo jeszcze nie będą mogli marzyć, posługują się angielską terminologią. Ukraińcy, którzy jeszcze przed rewolucją wiedli prym w takich dziedzinach jak matematyka i chemia, widzą rozwój narodowego języka naukowego tylko w kontakcie z międzynarodową terminologią. Już w 1958 roku chemik A. M. Hołub sugerował: „Terminologia naukowa powinna zawierać krótkie, proste, jednosylabowe terminy. W dzisiejszej rosyjskiej nomenklaturze chemii nieorganicznej istnieje wiele przestarzałych terminów, które nie odpowiadają już duchowi współczesnej nauki”. Hołub przypomniał również, że ukraiński chemik Horbaczewski zalecał w roku 1920, aby w chemii nieorganicznej stosować się do przyjętej w 1892 roku nomenklatury genewskiej, bowiem ukraiński język chemiczny musi się rozwijać na bazie terminologii międzynarodowej.

W technice musimy się dziś posługiwać językiem sztucznym, który nie ma nic wspólnego z angielskim, rosyjskim czy arabskim, lecz który jest dalece zmatematyzowany i składa się ze znaków i symboli. Nawet w naukach ekonomicznych i filozofii proces matematyzacji nomenklatury postępuje szybko.

Usiłowania rusyfikacyjne wspierane są środkami określanymi mianem „internacjonalizacji”: przede wszystkim migracją Rosjan do republik nierosyjskich, popieraniem małżeństw mieszanych, „internacjonalizacją kultury i socjalistycznego stylu życia” oraz walką przeciw „archaicznym przesądom, obyczajom i religii”.

Rachunek za rusyfikację płacą przede wszystkim Rosjanie. Udział procentowy narodowości rosyjskiej w ZSSR zmniejsza się z roku na rok. W 1959 roku wynosił 54,7 %, w 1970 — 53,4 %, a narodowy spis powszechny w 1979 wykazał 52,4 %. Przyczyna tego leży w szybkim przyroście naturalnym narodów środkowoazjatyckich jak również w sztucznie forsowanej migracji Rosjan, szczególnie do Ukrainy, do republik nadbałtyckich i środkowoazjatyckich. Sowieccy eksperci obliczyli, że od 1960 do 1971 roku przeciętnie opuszczało Rosyjską Socjalistyczną Republikę Sowiecką 150 tys. osób rocznie, kierując się na Ukrainę lub do Środkowej Azji, przez co rezerwy siły roboczej RSFSR znacznie zmalały. Sowieccy demografowie, a wśród nich uczeni światowej rangi jak Urlanis, Sonin i inni ostrzegali już przed kilkoma laty przed negatywnymi skutkami polityki wyludniania, która bierze się stąd, że przywódcy sowieccy nie mogą sprostać problemom gospodarczym wschodniej i zachodniej Syberii, gdzie znajdują się wielkie złoża ropy naftowej, gazu ziemnego i węgla kamiennego.

Na XXVI zjeździe partii w bież. roku Breżniew zapowiedział podjęcie środków, które nie wróżą niczego dobrego: „W Azji Środkowej oraz na wielu obszarach Kaukazu siły roboczej jest w nadmiarze, szczególnie na wsiach. Trzeba więc bardziej zaangażować tę część ludności w otwieraniu dla kraju nowych terytoriów do zagospodarowania”.

MASOWE PROTESTY LUDNOŚCI NIEROSYJSKIEJ

Szczególnie ważna jest tu postawa ludności nierosyjskiej. Liczne dyskusje wykazały, że także niektórzy naukowcy pochodzenia rosyjskiego wątpią w słuszność obecnej polityki narodowościowej. Opozycja ujawnia się w formie protestów. Tak np. 365 Gruzinów wystosowało do Breżniewa i I sekretarza KC Gruzjińskiej Partii Komunistycznej list broniący prawa do używania swego języka ojczystego. Wśród owych 365 nazwisk znajdują się podpisy znanych naukowców i pisarzy.

W Tbilisi miała miejsce demonstracja uliczna studentów i profesorów, w której łącznie wzięło udział 1.000 osób. Demon-

stranci domagali się przywrócenia języka gruzińskiego do szkół podstawowych i średnich jako języka wykładowego. Gruzini kierownictwo partii nie odważyło się użyć do akcji przeciw demonstrantom milicji.

Znany jest list 5.000 Litwinów protestujących przeciw językowi rosyjskiemu w przedszkolach i szkołach ogólnokształcących.

List z republiki estońskiej opisuje nader przekonująco wrogą wobec Estończyków politykę Rosjan.

Naukowiec ukraiński Jurij Badzio, który przeciw polityce rusyfikacyjnej protestował w formie książki a potem otwartego listu, skazany został w Kijowie 25 grudnia 1979 roku na 7 lat więzienia i 5 lat zsyłki.

Jest niewielka nadzieja, że władze sowieckie wstrzymają lub złagodzą opisaną tu ofensywę. Przemawiałoby za tym wiele, przede wszystkim fakt, że ZSSR grozi kryzys demograficzny. Demografowie sowieccy szacują, że udział Rosjan w ludności ZSSR wyniesie w 2000 roku 46-47%, a procent młodzieży w wieku produkcyjnym (do 24 lat) będzie systematycznie spadał, przy jednoczesnym wzroście liczby ludności w wieku emerytalnym. Najistotniejszy jest przy tym militarny aspekt zagadnienia: według fachowców większość rekrutów pochodzić będzie w następnych latach z narodów azjatyckich, gdy tymczasem współczesna technika wojskowa wymaga doskonałej znajomości języka rosyjskiego.

Kampania rusyfikacyjna połączona jest ze wzmoczoną akcją propagandową na rzecz języka rosyjskiego oraz „zbliżania” i „internacjonalizacji” także w ramach krajów RWPG. Niemal każde źródło fachowe podaje wzrastającą liczbę ludzi posługujących się językiem rosyjskim w krajach RWPG. W Bułgarii, Czechosłowacji i NRD założono instytuty, które specjalizują się w doskonaleniu metod nauczania rosyjskiego. Jest on językiem urzędowym RWPG i Układu Warszawskiego. Istnieje nawet compendium zadań, jakie Moskwa chce zrealizować w obrębie RWPG. Fachowa literatura w języku rosyjskim ma być nie tylko czytana przez współpartnerów, lecz także tłumaczona na ich języki ojczyste. Socjalistyczni partnerzy ZSSR mają prowadzić korespondencję po rosyjsku i rozumieć wszystkie dokumenty. Dotyczy to przede wszystkim zakładów pracy i instytucji związanych kooperacją z krajami RWPG. We wspomnianym compendium można m.in. przeczytać: „Język rosyjski przejmuje stopniowo funkcję języka starosłowiańskiego, który był pierwszym językiem politycznym i kulturalnym Słowian”.

Duży nacisk kładzie się na wzmoczoną współpracę ze słowiańskimi partnerami: Bułgarią, Czechosłowacją, Polską a także NRD, gdzie język rosyjski jest dość znany. Po ostatnich wydarzeniach w Polsce Rosjanie spojrzą może trochę bardziej sceptycznie na swą strategię i może umiarkują swoje plany. Szowinizm w dziedzinie kultury osłabł na początku tego roku, ale partia nie

zarzuca tezy: „Naród sowiecki będzie odgrywać wiodącą rolę na całym świecie”.

Borys LEWYCKYJ

(Tłumaczył z niemieckiego Grzegorz DŁUBAK)

W sowieckiej prasie

Zakończenie zjazdu „Solidarności” zamyka kolejny etap w antypolskiej strategii Moskwy. Minęła faza oszołomienia i nadziei na „odwrócenie biegu wydarzeń” poprzez zmianę składu Biura Politycznego i straszenie interwencją. Wydarzenia w Polsce biegły własnym torem, przeradzając się w rewolucję, której ogromne znaczenie zwiększa jeszcze jej pokojowy charakter. Teraz można już niemal z pewnością powiedzieć, że zamknie się „jesienne okno”, o którym pisał niedawno amerykański dziennikarz i znawca historii ZSSR Harrison E. Salisbury. Uważając, że ze względu na warunki klimatyczne działania wojenne są w Europie Wschodniej możliwe tylko w ściśle określonych porach roku, Salisbury doszedł do wniosku, że „jeśli Warszawa dotrwa do 1 listopada nie doczekawszy się Armii Czerwonej, można będzie odetchnąć z ulgą mniej więcej do maja 1982 roku”.

Komentarze do gdańskiego zjazdu prasa sowiecka umieszczała w rubryce „Położenie w Polsce”. Tytuł rubryki uprzedzał czytelnika z góry: w Polsce jest „położenie”, tzn. nienormalne położenie. Komentarze były niepodpisane, pochodziły od TASS-a, i cała prasa przedrukowywała je bez najmniejszych zmian. Sowieccy propagandziści przede wszystkim powtarzali po raz tysięczny to samo. Tak jak pół roku temu pisząc o „Solidarności” ujmowano w cudzysłowach słowa „związek zawodowy”, tak teraz w cudzysłowach ujmowano „zjazd”. 7 października obywatele sowieccy przeczytali, że „w Gdańsku kończy się wielodniowy spęd polityczny, który kierownictwo „Solidarności” zdołało przedstawić polskiej i zagranicznej opinii publicznej jako 'zjazd' związku zawodowego”.

Sowieccy propagandziści nie mają już wątpliwości co do celów „Solidarności”: chodzi o likwidację socjalizmu i ustanowienie nowego ustroju. W Moskwie wiedzą dokładnie, że „Solidarności” nie życzy sobie istniejącego w Polsce ustroju, natomiast nie umieją wyjaśnić czego „Solidarności” sobie życzy. Cytując *Żołnierza Wolności*, *Prawda* donosi 8 października: „Propagowana forma władzy państwowej zawiera burżuazyjne, liberalne, anarchistyczne, kosmopolityczne, religijne i inne elementy”. Dla czy-

telnika jest oczywiste, że jest to wroga forma państwowości, gdyż wszystkie wyliczone przymiotniki są synonimami słowa „wróg”.

Charakterystyczne jest, że we wszystkich komentarzach partia — nie mówiąc już o jej kierownictwie — świeci zupełną niemal nieobecnością. Jeśli się ją wspomina to tylko wtedy, gdy jest mowa o konieczności czystki. Dla poparcia wywodów korespondentów TASS-a cytuje się tylko dwie polskie gazety: *Zołnierza Wolności* i *Rzeczywistość*. Taktyka Moskwy na danym etapie sprowadza się do dwu kluczowych zdań, powtarzanych bez najmniejszych zmian: Zdanie pierwsze: „Uwierzywszy w swą bezkarność, wrogowie socjalistycznej Polski...”. Zdanie drugie: „Podjąć rzucone nam wyzwanie polityczne”.

Wyjście jest jasne. Sukcesy „Solidarności” tłumaczy się tylko brakiem oporu. Pora podjąć walkę. Chcąc uspokoić sowiecki lud pracujący, który zebrał się na masówkach i chciałby wiedzieć, jakie są rezultaty jego akcji, sowieccy propagandziści twierdzą, że w Polsce istnieją siły zdolne zaprowadzić porządek. Gdański zjazd nazywają „spędem”, bo — zdaniem sowieckiej prasy — nie było na nim robotników. Domyślać się z tego należy, że polska klasa robotnicza jest przeciw „Solidarności”. Nie ma komentarza o zjeździe, który by nie powtarzał, że na ręce PZPR i rządu PRL wpływają listy i rezolucje, w których „prawdziwi patrioci domagają się, żeby wreszcie zaprowadzić w kraju porządek, skończyć z anarchią i bronić zdobyczy socjalizmu”.

Z materiałów prasy sowieckiej można zatem wysnuć wniosek, że Moskwa zamierza w najbliższym czasie wykorzystać ekonomiczne trudności Polski i wewnętrzne tarcia w „Solidarności” i użyć dla „zaprowadzenia porządku” wewnętrznych sił związanych z *Zołnierzem Wolności* i *Rzeczywistością*.

Uznawszy rozwiązanie KOR-u za „manewr” mający na celu „przeniknięcie do Solidarności”, sowiecka prasa zaczęła atakować „ekstremistycznych działaczy Solidarności”, z naciskiem oszczędzając innych. W przeddzień wyborów przewodniczącego „Solidarności” kierownik wydziału informacji międzynarodowej Zamiatin i jego zastępca Falin udzielili wywiadu tygodnikowi *Stern*. Dawno już zauważono, że przed wszelkimi ważnymi wyborami na Zachodzie — w USA, Francji, RFN itp. — Moskwa ogłasza, który kandydat jej odpowiada, na którego „głosuje”. Podczas ostatnich wyborów prezydenckich w USA i Francji np. Moskwa głosowała na Cartera i Giscarda. I przegrała. W przeddzień wyborów w Gdańsku Moskwa oddała swój głos na Wałęsę. Otwarcie go popierając, sowieccy propagandziści chcieli go przede wszystkim skompromitować i wzmoc w ten sposób spory w kierownictwie związku. „Naturalnie — zauważył Zamiatin — są w Solidarności ludzie, którzy nie zajmują pozycji antysocjalistycznych. Do tego związku należy ostatecznie około miliona członków partii... Na tym zjeździe Wałęsa miał też trudności. On zajmuje pozycję środkową i jest ściśle związany z Kościołem katolickim. Stał się on niewygodny dla tego rodzaju ekstremis-

tów jak np. Gwiazda, Rulewski lub półfaszysta Bujak*”. Tych towarzyszy Zamiatin dobrze zna: „Nie są to ludzie wywodzący się z klasy robotniczej”. Tak jakby on sam, który w życiu nie widział robotnika, wsiadając do „Czajki” wychodził z szybu.

Moskwa zdecydowała przedłużyć oczekiwanie. Nie znaczy to oczywiście, że pogodziła się ze zmianami w Polsce. Sowieccy przywódcy wierzą, że czas pracuje dla nich. I wierzą, że czasu mają dużo. Gdański zjazd zebrał się niemal równo dwadzieścia lat po XXII zjeździe KPZS. Warto go wspomnieć chociażby dlatego, że jest to jeden z nielicznych zjazdów KPZS, o których nie chcą wspominać w Moskwie.

Na XXII zjeździe, ostatnim któremu przewodniczył Chruszczow, przyjęto nowy, trzeci program partii. Był on podobny do dwu pierwszych (1903 i 1919): rozgadany, mętny, pełen patosu i zapewniający, że jest „w pełni naukowy”. Zawierał jednak jeden szczegół, który sprawiał, że był szalenie interesujący. Program partii był — jak i poprzednie — programem budowy „światlanego gmachu komunizmu”, ale Nikita Chruszczow wymienił dokładną datę objęcia nowych apartamentów, czyli dojsca do celu. „Kierujemy się — oświadczył uroczyście — ściśle naukowymi obliczeniami. Obliczenia zaś pokazują, że za 20 lat społeczeństwo komunistyczne będzie w zasadzie zbudowane”.

XXII Zjazd odbył się między 17 a 31 października 1961 roku. Możemy dziś porównać obietnice z rzeczywistością. Chruszczow twierdził: „Widzimy, jak bardzo jest konieczne, abyśmy zbudowali świetlany gmach komunizmu, widzimy, jak będzie wyglądał z zewnątrz i od wewnątrz, jacy ludzie w nim będą mieszkali i co będą robić...”. Chruszczow popełnił niewybaczalny błąd, podając termin wykonania „światlanego gmachu”. Pominiemy już obietnicę zbudowania przez 20 lat „człowieka społeczeństwa komunistycznego”, którego będzie cechowała „wysoka ideowość, rozległa wiedza, moralna czystość i absolutna sprawność fizyczna”. W tej dziedzinie literatura i sztuka sowiecka (malarstwo, kino) dają nam istniejący żywy przykład, Leonida Iljicza Breżniewa. Ale Chruszczow zapomniał, że w 1981 roku „Związek Radziecki pod względem poziomu gospodarczego prześcignie najbardziej rozwinięte kraje kapitalistyczne i zajmie pierwsze miejsce w produkcji na głowę ludności” oraz „zapewni ludziom najwyższy poziom życia w świecie”.

Można przypuszczać, że podanie dokładnego terminu realizacji tego celu było jedną z głównych przyczyn upadku Chruszczowa. Dzisiaj jego obietnice wyglądają na kpiny: jedynie dzięki amerykańskiemu zbożu ZSSR udaje się uniknąć głodu. Nic dziwnego, że XXVI zjazd partii w 1981 roku postanowił zmienić program KPZS. Niewątpliwie zmiany polegać będą między innymi na usunięciu dokładnej daty dojsca do celu.

Konstanty Czernienko, członek Politbiura i sekretarz KC

* Cytujemy za *Kulturą* warszawską z 11 października 1981.

KPZS, 70-letni spadkobierca Breżniewa, twardo oznajmił we wrześniu 1981 roku: „Nasz główny cel, komunizm — przed nami”. Droga jeszcze daleka, czasu nie brak. Artykuł Czernienki ogłoszony w *Komunistcie* nr 13 przynosi pierwszą „teoretyczną” analizę polskiej lekcji. Tytuł artykułu brzmi: „Leninowska strategia przywództwa”. Podtytuł: „O niektórych zagadnieniach działania partii w warunkach rozwiniętego socjalizmu”. Autor pyta: „Jak rozwiązuje się dziś zadanie spójni naukowego socjalizmu z masowym ruchem robotniczym? Jak mają się do siebie partia i państwo w politycznym systemie rozwiniętego socjalizmu? Jakimi drogami umacniać więzy między przodującą partią a masami? Jakie miejsce zajmują krytyka i samokrytyka w kierowniczej działalności partii?”.

Czernienko nie ukrywa, dlaczego napisał artykuł. Powołując się na Lenina, który domagał się „umocnienia więzów partii z masami”, Czernienko twierdzi: „Równocześnie przekonaliśmy się z własnego doświadczenia i doświadczeń innych krajów socjalistycznych, że prawdziwie trwała, mogąca się oprzeć wszelkim próbom więz z masami nie może zostać ustanowiona raz na zawsze”. Po 1956, 1968 i 1970 roku kierownictwo sowieckie zrozumiało, że „masa” może się ocknąć i zerwać więz z partią. Teoretyk Czernienko całkiem słusznie nie zagłębia się w powody zerwania więzi. Proponuje za to receptę, czarodziejski środek: umacniać kierowniczą rolę partii. Artykuł Czernienki zajmuje bitych 16 stron gazety i na każdej stronie powtarza co najmniej dwukrotnie: „rola partii w społeczeństwie wzrasta”, „przywódcza, kierownicza rola partii wzrasta”, i jeszcze raz, i jeszcze raz i *da capo*. Tak brzmi odpowiedź na postawione pytania. Polityka partii „kierunkowskazem dla organów państwa i organizacji społecznych”, w miarę jak „wzrasta dojrzałość socjalizmu” partia powinna „skupiać uwagę na opracowaniu strategii rozwoju społecznego”, ale „komitety partyjne nie mogą wyzrec się codziennego kierowania działaniem państwowych, rolniczych i społecznych organizacji”. Wszędzie i zawsze partia. Nie mówiąc już o tym — przypomina autor — że wszędzie istnieją komuniści, dla których „uchwała partii jest prawem”.

Byłoby niesprawiedliwe, gdybyśmy nie docenili wkładu K. U. Czernienki w marksizm-leninizm. Wprowadza on pojęcie „funkcji obronnej” związków zawodowych w warunkach rozwiniętego socjalizmu. Czernienko zdaje sobie sprawę z własnej zuchwałości i przewiduje powątpiewające pytania: „Obrona przed kim, jeśli partia i państwo za swe pierwsze i główne zadanie uważają służbę interesom narodu?”. Pisząc artykuł w pierwszej rocznicy powstania „Solidarności”, sekretarz KC KPZS zmuszony jest nazwać po imieniu tych, wobec których przejawiać się ma „obronna funkcja” związków zawodowych. Czernienko udało się zliczyć czterech wrogów: 1) biurokratów, którzy spoza gór papieru nie dostrzegają człowieka; 2) pragmatycznych administratorów, dla których człowiek jest tylko środkiem do wypełnienia planu; 3) formalistów, patrzących nie na człowieka, a na papier; 4) pi-

jaków i próżniaków, którzy tylko udają, że pracują. Sekretarz KC jest przekonany, że przy pomocy partii związki zawodowe zdołają obronić lud pracujący przed wyżej wymienionymi wrogami.

Wszystkie pozostałe niedociągnięcia (autor przyznaje, że jest ich sporo) zostaną rozwiązane przy pomocy „usunięcia niedociągnięć w propagandzie i agitacji” oraz „podwyższenia poziomu wiedzy i umiejętności zawodowych”.

Teoretycznie wszystkie problemy rozwiązują się łatwo. W praktyce wszystko jest bardziej skomplikowane. Ale, jak słusznie zauważył któryś z ojców marksizmu, teoria bez praktyki jest martwa. W kolejnym, 14-tym numerze *Komunisty* Semion Cwигun, zastępca szefa KGB, opublikował obszerny artykuł o praktycznym wykonywaniu zadań partii.

Generał Cwигun donosi, że zdławiono ruch dysydencki w ZSSR. Generał ma się czym pochwalić. Ruch, któremu nadano nazwę dysydenctwa, zrodzony wkrótce po śmierci Stalina i który najpierw przyjął formę walki o prawa człowieka a potem walki o przestrzeganie umów helsińskich — rozbito. Przy pomocy represji, więzień, łagrów, szpitali psychiatrycznych i emigracji, jako formy banicji „wrogich elementów”, KGB rozgromiło pierwszy od czasu wojny domowej poważny ruch, walczący o rozszerzenie ram totalitaryzmu.

Pierwszym sygnałem zwycięstwa KGB było zesłanie Andrieja Sacharowa do Gorkiego w styczniu 1980 roku. Następnym znakiem był nieludzki wyrok na Anatola Marczenkę we wrześniu 1981 roku. Los akademika Sacharowa i robotnika Marczenki to los ruchu dysydenckiego z jego wzlotami, nadziejami, rozczarowaniami i wreszcie porażką. Mniej więcej w tym samym czasie — w latach sześćdziesiątych — otwały się oczy wybitnemu uczoneму, twórcy bomby wodorowej, i młodemu robotnikowi, który dostał się do obozu za próbę ucieczki z ZSSR. Andriej Sacharow przystąpił do walki w 1968 roku artykułem „Rozważania o postępie, pokojowym współistnieniu i wolności intelektualnej”. Jako motto artykułu wybrał słowa Goethego: „Ten tylko godzien życia i wolności, kto dzień w dzień toczy o nie bój”. Anatolij Marczenko zyskał sławę w samizdacie dzięki książce „Moje świadectwo”, w której relacjonuje życie w post-stalinowskich obozach. Jest to jedna z najstraszniejszych i najszczerzych książek o obozach sowieckich. Ani Marczenko ani Sacharowowi nie przebaczone. Światowa sława Sacharowa przez długi czas go chroniła. Marczenko takiej osłony nie miał: wyrok z września 1981 jest szóstym z kolei. Odsiedział już 15 lat w łagrach. Nowy wyrok — dziesięć lat obozu obostrzonego reżymu i 5 lat zesłania. 43-letni pisarz — podstawą aktu oskarżenia była jego druga książka, poświęcona zesłaniu („Od Tarysy do Czuny”) i artykuły, w tym i apel w obronie Sacharowa — jest ciężko chory. KGB zdecydowało unicestwić Marczenkę, który nigdy nie przestał czuć się wolnym w ZSSR.

Generał Cwign jest dumny ze zwycięstwa: antysocjalistyczne elementy „działające pod przykrywką obrońców praw człowieka” i „obrońców demokracji” zostały zdemaskowane, a najbardziej aktywni spośród nich „pociągnięci do odpowiedzialności karnej”. Jak wiadomo, na przestrzeni całej epoki post-stalinowskiej ruch dysydencki zawsze podkreślał, że przestrzega sowieckiego ustawodawstwa. Znana jest tylko jedna próba stworzenia nielegalnej organizacji — Wszechrosyjskiego Socjal-Chrześcijańskiego Związku Wyzwolenia Narodu. Jej założyciel, Jurij Ogurcow, skazany na 15 lat, wciąż jeszcze znajduje się w łagrze. To, że dysydenci nie chcieli działać w konspiracji Cwign także uważa za zasługę KGB: „W wyniku środków zastosowanych przez KGB w ścisłej zgodzie z prawem i pod kierownictwem partii, niezależnie od znacznego materialnego i moralnego poparcia Zachodu, nie udało się im (tj. dysydentom) stworzyć zwartej organizacji na bazie antysowietyzmu”.

KGB a przede wszystkim partia, dowodząca tajną policją, mogą być dumne ze zwycięstwa. Można też nie wątpić, że wkrótce powstanie nowy ruch, którego formy trudno w tej chwili przewidzieć. Świadczy o tym chociażby to, że na rozbiście jawnego, pilnie śledzonego ruchu wyzwolenczego KGB potrzeba było około 15 lat. Planowa walka z dysydenctwem zaczęła się po dojściu Breżniewa do władzy w październiku 1964 roku a nawiązała szczególnie po 1967 roku, kiedy na czele „organów” stanął J. Andropow.

Nie spieszyć się i nie odstępować, póki wróg nie zostanie unicestwiony — oto dewiza przywódcy KPZS, człowieka, który decyduje o strategii tej partii i którego sowiecka prasa nazywa dziś ni mniej ni więcej tylko „budowniczym pokoju” — L. I. Breżniewa.

Zakończona właśnie epopeja Aleksandra Czakowskiego pod tytułem „Zwycięstwo”, poświęcona konferencji w Poczdamie, na której Stalin położył podwaliny pod zwycięstwo Związku Sowieckiego, oraz konferencji w Helsinkach, na której Breżniew umocnił owo zwycięstwo, wzbudza pełne zachwyty odgłosy w prasie sowieckiej. Brat Czakowskiego po piórze, Sawwa Dangułow, w swej recenzji (*Izwiestia* z 7 października br.) przede wszystkim zauważa, z jak przekonującą siłą Czakowski stawia towarzysza Stalina; główne mistrzostwo autora polega jednak na tym, jak pokazał tego, który ucieleśnia ideę współczesnego świata. Sawwę Dangułowa głęboko poruszył „wizerunek człowieka, robotnika i syna robotnika, żołnierza wielkiej armii antyfaszystowskiej, który stanął u steru Kraju Rad”.

Wzorem dla Czakowskiego był opis „wizerunku” (nie mówi się już „oblicze” tylko „wizerunek”, jak na ikonach!) innego wodza: „Człowieka z głową uczonego, twarzą robotnika, w mundurze prostego żołnierza”. To Henri Barbusse, zachwycający się Stalinem w roku 1934.

Mijają lata, mijają wizerunki, zostaje zasada. Ze wszystkich domów ogromnego Związku Sowieckiego woła napis: „Partia — naszym sternikiem!”.

Adam KRUCZEK

13 października 1981

Kronika niemiecka

Norbert Blüm, chadecki poseł do *Bundestagu*, opowiedział się za przyznaniem Lechowi Wałęsie *Nagrody Pokojowej Nobla*. ■ Z inicjatywy nieznaney z nazwiska lekarki-pediatry z Frankfurtu nad Menem, przekazano do szpitali dziecięcych w Łodzi, Warszawie i Lublinie lekarstwa i odżywki o łącznej wartości 300 tys. marek. Akcji, która trwa nadal, patronuje *Międzynarodowe Towarzystwo Obrony Praw Człowieka* z siedzibą w Frankfurturcie n/M. (Kaiserstr. 40). ■ Dwunastu młodych Polaków uprowadziło do Berlina Zachodniego czwarty już w tym roku samolot pasażerski *PLL LOT*. Kilku obywateli polskich i innych narodowości skorzystało z okazji i pozostało w Berlinie Zachodnim. Porywacze oczekują w areszcie na proces. ■ Marion hr. Dönhoff wystąpiła na łamach hamburskiego *Die Zeit* z apelem do *EWG*: „czy nie mogłaby raz uczynić czegoś niezwykłego, czegoś całkiem niebiurokratycznego i jako zadatek za węgiel, który będzie dostarczony w przyszłości, dostarczyć masła i mięsa prosto do polskiego zagłębia węglowego? (...) Coś musi się stać natychmiast — inaczej istnieje niebezpieczeństwo, że osiągnięte zdobycze znowu przepadną wskutek strajków i buntów”. ■ Szeroka pomoc materialna społeczeństwa zachodniemieckiego płynąca do Polski została skomentowana przez Edmunda Męclewskiego w *Sztandarze Młodych* następująco: „Toć to już rzymski poeta Wergiliusz pisał *Timeo Danaos, et dona ferentes* — czyli obawiam się Danaid, nawet gdy niosą dary... Tu nie obawiam się, ale czasem — wybaczenie — podejrzewam”. Widocznie posłowi na Sejm z ramienia „komuno-endecji” zależy bardzo na wstrzymaniu RFN-owskiej pomocy. ■ W PRL przebywała delegacja *Akcji Pokuty* z Berlina Zachodniego: bp Kościół ewangelickiego Kurt Scharf, przewodniczący tego Kościoła Helmut Hild oraz szef frakcji *SPD* w *Izbie Deputowanych* Berlina Zachodniego Hans-Jochen Vogel. Delegację przyjął wiceminister Spraw Zagranicznych Marian Dobrosielski (ostatnio desygnowany na stanowisko ambasadora PRL w RFN). ■ W ub. roku o azyl w RFN poprosiło 2.090 obywateli PRL; do końca lipca br. zarejestrowano 2.415 przybyszów z Polski starających się o azyl. Bonn liczy się, że w najbliższym czasie strumień starających się o azyl obywateli PRL wzrośnie szczególnie silnie. ■ Kanclerz RFN Helmut Schmidt, przebywający z oficjalną wizytą we Włoszech, przyjęty został w Castel Gandolfo przez papieża Jana Pawła II. W rozmowie poruszone zostały problemy Wschód-Zachód, a szczególnie Polski. ■ Janusz Moszczeński w *Trybunie Ludu* i Edmund Męclewski w *Expressie Wieczornym* twierdzą zgodnie, że w Polsce nie istnieje „mniejszość niemiecka”, ba, w ogóle nie ma Niemców w naszym kraju... Jednocześnie dane oficjalne są następujące: od 1956 roku Polskę opuściło 612 tys. „osób pochodzenia niemieckiego”; w ciągu dziewięciu miesięcy br. do RFN przeniosło się ok. 40 tys.

przesiedleńców z Polski. A więc są Niemcy, czy ich nie ma? ■ Na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku odbyła się konferencja prasowa na temat procesów emigracji, reemigracji i konieczności ponownego ustalenia regulujących je przepisów prawnych. St. Jałowicki (przewodniczący ZR Śląska Opolskiego): „Wielkość emigracji (głównie do RFN) przekracza przyrost naturalny; po wojnie emigrowali ludzie starsi, teraz emigruje głównie średnie pokolenie”. Jan Waszkiewicz (Region Dolnośląski): „W moim regionie emigracja inspirowana była przez władze; np. wsie leżące na terenach URM-u były celowo wysiedlane; ułatwiano Mazurom wyjazd do RFN, a ci, którzy zostali byli szykanowani przez władze administracyjne (szacuje się liczbę gospodarstw opuszczonych w ten sposób na 1300)”. St. Jałowicki: „Dyskryminowano Kaszubów, Mazurów i Ślązaków, np. na terenie Śląska Opolskiego ani jeden Ślązak nie był naczelnikiem gminy. Lewandowska (rzecznik prasowy Regionu Mazursko-Warmińskiego): „Władze PRL w ciągu 30 lat dokonały tego, czego nie udało się Niemcom w ich polityce germanizacyjnej; przekonały Mazurów, że ich polskość jest wątpliwa”. ■ *Polska, miłość, tęsknota* — pod taką nazwą otwarto w Warszawie wystawę fotografii Uwe Ahrensa z Hamburga. Większość fotogramów pochodzi z kolekcji zakwalifikowanej do albumu o Polsce, który ma się ukazać w roku przyszłym nakładem monachijskiego wydawnictwa *Süddeutscher Verlag*. ■ W Toruniu bawiła delegacja zachodnioniemieckiej Fundacji im. Alexandra von Humboldta. W okresie od 1953 roku ze stypendiów Fundacji skorzystało m.in. 400 Polaków; 13 spośród b. stypendystów pracuje obecnie naukowo na Uniwersytecie im. Kopernika w Toruniu. Fundacja im. Humboldta dostarcza im bezpłatnie literaturę naukową i sprzęt badawczy (np. mikroskopy elektronowe). ■ W Lubecie wystawiono sztukę Tadeusza Różewicza *Przyrost naturalny* w opracowaniu i inscenizacji Kazimierza Brauna i wykonaniu zespołu aktorów Teatru Wrocławskiego. ■ W Berlinie Zachodnim czynna jest wielka wystawa Prusy — *Próba bilansu*; jeden z działów wystawy w *Gropius-Bau* zatytułowany jest *Wschód i Zachód w historii Prus*, przy czym *Wschód* odnosi się głównie do kwestii stosunków między Polską a Prusami; szereg dokumentów mówi wyraźnie, że w XIX-wiecznej Polsce zaczęła się kształtować świadomość narodowa i że Polacy byli obiektem polityki ucisku, a okresowo również germanizacji ze strony państwa pruskiego. ■ *Trybuna Ludu* o prywatnych akcjach wysyłania żywności z RFN do Polski: „Szyta grubymi niemi pseudo-akcja paczkowa” służy w gruncie rzeczy wywoływaniu nastrojów antykomunistycznych, do wzniecania pogardy do naszego społeczeństwa, do lekceważenia i rzucania fałszywego światła na nas, na ustrój socjalistyczny...”. ■ Od 5 kwietnia do 15 sierpnia 1981 roku *Polski Czerwony Krzyż* otrzymał z RFN do rozdziału: odżywki dla niemowląt — 93 tys. kg; odżywki mięsne — 39 tys. kg; konserwy mięsno-jarzynowe 26 tys. kg; tłuszcze roślinne — 33 tys. kg; kakao — 4 tys. kg; artykuły sypkie — 59 tys. kg; sery — 13 tys. kg; słodycze — 29 tys. kg; mleko skondensowane — 9.446 kg; herbata, kawa — 604 kg; odżywki firmy Hipp — 762 tys. kg; miód-syrop — 1.540 kg; środki do prania — 11.746 kg; odzież — 2 tys. kg. Wymienione dary zostały przekazane do Polski przez Niemiecki Czerwony Krzyż. ■ Zachodnioniemiecka telewizja (ZDF) zaprezentowała — poprzedzając wprowadzającą audycję — dwa filmy Andrzeja Wajdy: *Człowiek z marmuru* i *Człowiek z żelaza*. Recenzje prasowe bardzo pochlebne. ■ W Norymberdze śpiewał pieśni z Majdanka jedyny pozostały przy życiu *bard kacetów* — Aleksander Kulisiewicz. Z okazji pobytu Kulisiewicza w RFN telewizja zachodnioniemiecka nadała specjalny pokaz filmu *Die Alex* — *Geschichte*, zrealizowany o pieśniarzu w Krakowie na wiosnę 1981 r. ■ Janusz Moszczeński został odwołany do Warszawy, nowym korespondentem *Trybuny Ludu* w Bonn został Ryszard Drecki, jeden z najbardziej zagorzałych przeciwników procesu odnowy w

naszym kraju. ■ Wiktor Woroszyński miał wieczór autorski na *Uniwersytecie Ukraińskim* w Monachium. Na spotkanie z polskim pisarzem przybyło także sporo miejscowych Polaków. Woroszyński: „Harmonii polsko-ukraińskiej przyglądałem się z miłym zdziwieniem”. ■ Kolońska *Akcja Katolicka* wysłała do Krakowa kolejną ciężarówkę z ładunkiem proszku do prania, olejem, masłem i 3 tonami specjalnych odżywek dla niemowląt (wartość ok. 50 tys. marek). ■ W RFN zmarł: Kazimierz Odrobny, prezes Związku Polskich Uchodźców w Niemczech i jednocześnie prezes Stronnictwa Narodowego w Niemczech oraz ppłk Jan Majewski, prezes Związku Żołnierzy Kresowych z siedzibą w Itzstedt k/Hamburga; wydawał biuletyn *Kresowiak*. ■ W 19 numerze niemieckiego wydania kwartalnika *Kontinent* (redakcja: Cornelia I. Gerstenmaier i Krzysztof Hyla) ukazały się m.in. dwa obszernie artykuły polskich autorów — Andrzeja Drawicza: *Rosjanie poza granicami kraju. Ludzie, książki, czasopisma i idee* oraz Jana Kiełanowskiego: *Czy w Polsce powinna istnieć niezależna opozycja?* ■ W Zachodnim Berlinie wydano (*Verlag Duncker und Humblot*) pracę Petera Miklissa pt. *Deutscher un polnischer Adel im Vergleiche* (Niemiecka i polska arystokracja. Studium porównawcze). ■ *Verlag Otto Sagner* w Monachium opublikował książkę Juliusa Mrosika pt. *Das polnische Bauerntum im Werk Eliza Orzeszkowas* (Stan chłopski w dziełach Elizy Orzeszkowej). ■ W czterech polskich miastach czynna będzie wystawa książek wydanych w RFN, zorganizowana przez *Niemiecką Gildię Wydawców i Księgarzy* z siedzibą we Frankfurcie n/Menem. Na wystawie zgromadzono 3.500 tytułów z dziedziny sztuki, literatury, techniki, planowania miast i nauk ścisłych. Ekspozycja doszła do skutku po pięcioletnich pertraktacjach. ■ *Życie Warszawy*: „Wschodnia granica NRD stała się znowu bardziej szczerą. Więcej jest dziś prawdopodobnie Polaków przejeżdżających przez NRD tranzytem do RFN czy Berlina Zachodniego (na co surowe przepisy dają 12 godzin) niż tych, którzy zatrzymują się między Odrą a Łabą. Bywają i tacy, których podróż kończy się już na Odrą. Ze znacznikiem *Solidarności* wpiętym w klapę marynarki nie ma co liczyć na przekroczenie granicy. W dyskusjach z władzami granicznymi i celnymi NRD turysta z Polski stoi na straconej pozycji”. ■ Po wprowadzeniu przez władze NRD opłat pobieranych od Polaków za towary przewożone samochodami do kraju z RFN lub Berlina Zachodniego w markach zachodnioniemieckich — komentarz w *Prawie i Życiu*: „W świetle przepisów międzynarodowych (...) pobieranie opłat od osób przejeżdżających tranzytem i to opłat w walucie zachodniej nie znajduje ani prawnego, ani faktycznego uzasadnienia. Mówiąc nawiasem, nie jest to pierwszy przypadek niewłaściwego odnośnienia się przez służby celne NRD do polskich turystów”. ■ Kontrolowany przez reżym Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej obiecuje bezrobotnej młodzieży pracę w Sovietach, Czechosłowacji i NRD, ponieważ „zwiększyła się liczba (...) ludzi młodych, którzy wyjeżdżają za granicę w poszukiwaniu pracy” (*Słowo Powszechne*). ZSMP czyni starania o wyśnięcie do NRD ok. 10 tys. tegorocznych absolwentów szkół zawodowych rozmaitego typu do pracy w fabrykach. Podobno władze NRD gotowe są zatrudnić zaledwie 5 tys. osób, i to wyłącznie członków ZSMP. ■ Udo Albrecht, neonazista z RFN, któremu podczas wizji lokalnej na granicy niemiecko-niemieckiej udało się zbiec do... NRD (29 lipca br.) nie został dotąd wydany w ręce władz zachodnioniemieckich. ■ Harry Tisch, przewodniczący wschodnioniemieckich „związków zawodowych” (w nazwie mają słowo „wolne”!), stwierdził że omawiany w Gdańsku program *Solidarności* jest w rzeczywistości „programem zniszczenia Polski, a cała organizacja wolnych związków zawodowych politycznym fałszerstwem”. ■ Dr Klaus Staemmler, znany tłumacz literatury polskiej, obchodził 60-tą rocznicę urodzin. Klaus Staemmler urodził się i wychował w Bydgoszczy. Ukończył studia i doktoryzował się na *Uniwersytecie w Getyndze*. Obecnie jest wy-

kładowcą w szkole księgarzy we Frankfurcie n/Menem. Jego dorobek translatorski wyraża się liczbą 60 książek polskich autorów przetłumaczonych na język niemiecki i wydanych w RFN. Przetłumaczył m.in. *Disneyland* Stanisława Dygata, *Przed nieznanym trybunałem* Jana Józefa Szczepańskiego, *Króla obojga Sycylii* Andrzeja Kuśniewicza, *Zapis* Marka Nowakowskiego i *Kłopoty z panią Walewską* Mariana Brandysa. ■ Lothar Herbst, prezes wrocławskiego oddziału ZLP, adiunkt Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego wystąpił z odczytem w kolońskim Bundesinstitut für ostwissenschaftliche und internationale Studien (Federalny Instytut Badań Spraw Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych) na temat sytuacji społeczno-politycznej i kulturalnej w Polsce po powstaniu NSZZ Solidarność oraz celów i metod działania związku. Wziął udział w rosyjskim programie radia *Deutsche Welle* poświęconym przebiegowi drugiej tury Zjazdu NSZZ Solidarność. Herbst omówił sytuację w kraju i w Solidarności po liście przywódców sowieckich, poruszył problematykę gospodarczą oraz perspektywy zmian, jakie mogą i powinny nastąpić po zjeździe Solidarności. Miał on ponadto spotkanie ze studentami i wykładowcami slawistyki w Bochum; mówił na temat aktualnej sytuacji w Solidarności. Następnie udzielił wywiadu rozgłośni *Norddeutscher Rundfunk* w Bremie, w którym szczegółowo omówił sytuację w literaturze i niezależnym ruchu wydawniczym. W Bremie wygłosił także odczyt (*Powstanie niezależnej kultury i niezależnego ruchu społecznego w dzisiejszej Polsce*), zorganizowany dzięki staraniom Uniwersytetu w Bremie i tamtejszego oddziału Towarzystwa Niemiecko-Polskiego. Na podobny temat Herbst dyskutował w siedzibie Związku Pisarzy w Bremie. ■ Wykładowi Stefana Kisielewskiego w Federalnym Instytucie Badań Spraw Wschodnich w Kolonii (temat: *Polska i jej sąsiedzi*) przysłuchiwali się czelowi badacze spraw wschodnich i pracownicy bońskiego *Auswärtiges Amt*. Udział w dyskusji na podobny temat przed mikrofonami rosyjskiego programu *Deutsche Welle* — wspólnie z dr. Alexandrem Uschakowem — został odnotowany w depeszach agencji *Associated Press*: Zdaniem Kisielewskiego polski model ma szanse powodzenia; Rosjanie są dobrymi szachistami i rozumieją, podobnie jak prezydent Reagan i Jan Paweł II, że interwencja w Polsce nie leży w interesie ZSSR; proces odnowy w PRL stanowi sygnał dla całej wschodniej Europy; finlandyzacja Polski byłaby zapewne także dla Związku Sowieckiego ciekawym eksperymentem; naszą misją jest wskazanie państwom KDL-ów, że sojusz z ZSSR mógłby być oparty na szerszej pojętych zasadach, nawet gdyby zaistniały różnice w systemach politycznych. ■ Na scenie norymberskiego Schauspielhaus krakowski teatr Cricot-2 zaprezentował przedstawienie Tadeusza Kantora — *Wielopole, Wielopole*. Jednocześnie w Instytucie Sztuki Nowoczesnej czynna była wystawa poświęcona pracy teatralnej Tadeusza Kantora. ■ W Bremie odbyło się polsko-niemieckie spotkanie naukowców poświęcone zagadnieniom ekologii i ochrony przyrody w obu krajach. ■ 6-tygodniowe seminarium poświęcone aktualnej sytuacji w Polsce i roli Solidarności w procesie odnowy zostało przeprowadzone na Uniwersytecie Ludowym w Düsseldorfie. Wykłady prowadził znany publicysta z Kolonii Reinhold Vetter. ■ Lubelskie przedstawicielki NSZZ Solidarność spotkały się z działaczkami ruchu kobiecego z RFN; szczególne zainteresowanie wzbudził u Niemek aktywny udział polskich kobiet w działalności nowych związków zawodowych. Panie z RFN zadeklarowały w Lublinie udzielenie poparcia i przyjeździe z pomocą pracującym kobietom polskim. ■ Pod redakcją F. Grube i G. Richtera ukazała się w wydawnictwie Hoffmann und Campe w Hamburgu praca zbiorowa pt. *Freiheitskampf der Polen. Dokumentation. Analyse (Polaków walka o wolność. Dokumentacja i analiza)*. Z bardziej znanych autorów wymienić należy: Christiana Schmidt-Häuera, Andrzeja Micewskiego, Iringa Fetschera, Heinricha Machowskiego, Klaus Bednarza, Leszka Kołakowskiego i Mieczysława Rakowskiego. ■ Rząd

boński odroczył na cztery lata spłatę 647 mln marek długu, która miała być uiszczona w bankach zachodniemieckich w bież. roku. Kredyty w tej wysokości były objęte gwarancją rządową. ■ Kraków i Norymberga podpisały wreszcie umowę o współpracy. Prezydent miasta Krakowa, Józef Gajewicz, zabrał ze sobą do kraju podpisaną uroczystość w sali ratuszowej umowę o współpracy, a także bardzo praktyczny prezent władz miejskich Norymbergi. Jest to nowoczesna maszyna budowlana — pogłębiarka, która zostanie użyta przy pracach nad odnową zabytkowych ulic starego Krakowa. ■ 18 zachodniemieckich komitetów *Solidarität mit Solidarność* utworzyło we Frankfurcie n/Menem wspólną Komisję Porozumiewawczą w celu skłonięcia central związkowców niemieckich do oficjalnego uznania NSZZ Solidarność, jako jedyne reprezentanta „interesów polskiej klasy robotniczej” — i z tej racji udzielania Solidarności pomocy technicznej i materialnej. W skład Komisji wchodzi przeważnie trockiści, m.in. Jacob Moneta, Winfried Wolf i Heinz Brandt (6000 Frankfurt/Main, Postfach 11 20 51). ■ *Mistyfikacja*: zachodniemiecka organizacja komunistyczna w kieszonkowym wydaniu — KPD/ML (wydaje się, że ostatnio na albańskim garnuszku) zorganizowała w Bonn konferencję prasową, na której rozdawano odezwę do polskich robotników, zatytułowaną po polsku — *My pozdrawiamy waszą walkę!*, rzekomo wydaną w Niemczech Wschodnich przez kierownictwo tamtejszej KPD/ML... ■ Willy Brandt, b. kanclerz RFN, wypowiedział szereg krytycznych uwag pod adresem Zjazdu NSZZ Solidarność. Jego zdaniem błędem było wysłanie przez Zjazd Postania do robotników „bratnich krajów”, a w ogóle to Polacy powinni zabrać się do pracy... ■ *Westdeutscher Rundfunk* w Kolonii organizuje pomoc żywnościową dla dzieci i rodzin nisko uposażonych pracowników *Polskiego Radia i TV*. ■ Dr Tomasz Niewodniczański, zamieszkały w Bitburgu (RFN), urządził w *Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego* wystawę pn. *Imago Poloniae* z okazji 350-lecia utworzenia pierwszej katedry geodezji w Polsce. Znany kolekcjoner pokazał na wystawie ponad 300 rysunków z widokami Krakowa i starych map pochodzących z własnych zbiorów; najciekawszym obiektem była kolorowa mapa Europy Środkowej Mikołaja Kuzy (rok 1507).

Andrzej J. CHILECKI

Kronika białoruska

Zarząd Główny Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w Białymstoku wystosował 25 listopada ub. roku memorandum do Pierwszego Sekretarza KC PZPR Stanisława Kani, w którym uskarża się na prowadzoną przez władze administracyjne PRL politykę wynaradawiania Białorusinów na Białostoczczyźnie. W memorandum podane są wymowne fakty tłumienia przejawów białoruskiego życia społeczno-kulturalnego, szczególnie w dziedzinie szkolnictwa i wydawnictwa literatury pięknej i prac naukowych, oraz wyrażona jest prośba „o normalizację sytuacji białoruskiej ludności Białostoczczyzny w kierunku rzeczywistego jej równouprawnienia, zwłaszcza w dziedzinie oświaty i kultury”.

W czasopiśmie *Soviet Jewish Affairs* (nr 2/1980) zamieszczony został artykuł Evereta M. Jacobsa o liczbie Żydów w komunistycznej partii Białorusi. W 1978 roku na ogólną liczbę 542.501 członków partii było 17.900 Żydów. Ogólna liczba ludności żydowskiej w 1979 roku wynosiła 135 tysięcy.

Angielski biuletyn informacyjny *Keston News Service* w nrze 113 z dnia 6. 1. 1981 podał wiadomość o wizycie w Londynie metropolity mińskiego i białoruskiego Filareta, egzarchy patriarchy moskiewskiego. Metropolita Filaret, który bawił w Londynie 10 dni, miał spotkanie z arcybiskupem Canterbury i z innymi religijnymi przywódcami. Na konferencji prasowej poinformował zebranych o życiu religijnym na Białorusi, gdzie według niego istnieje 370 prawosławnych parafii, obsługiwanych przez 383 kapłanów. Zakonników jest zaledwie 15, zakonnice — 33. Oprócz prawosławnych istnieje 104 parafie rzymsko-katolickie, z których najnowsza powstała niedawno w Mińsku. Jako kościół służy tej parafii kaplica cmentarna na miejskim cmentarzu. Metropolita Filaret nie powiedział, co się stało z okazałymi kościołami mińskimi, np. że kościół przy głównej arterii miasta, popularnie zwany Czerwonym, został zamieniony na teatr dla młodzieży.

Na Białorusi istnieje również 100 bractw baptystycznych, bractwa pięćdziesiątników (zielonoświątkowców), adwentystów, gmina żydowska (synagoga w Mińsku) i pewna liczba muzułmanów (głównie w okolicy Grodna). Są też staroobrzędowcy (starowiery), lecz liczba ich jest niewielka. Żyją rozproszeni, z dala od ich dużego skupiska w Homlu.

Metropolita Filaret, który *nota bene* ani słówkiem nie wspominał o likwidacji w roku 1963 przez władze sowieckie jedyne na Białorusi prawosławne Mińskiego Seminarium Duchownego w Żyrowicach k/Słonima, stwierdził, że seminaria duchowne w ZSSR kształcą niewystarczającą ilość kandydatów do stanu kapłańskiego. Wobec tego szeroko praktykuje się wyświęcanie kandydatów spośród wiernych. Bardziej aktywnych parafian szkolą więcej diakoni, którzy potem proponują ich swemu biskupowi jako kandydatów na kapłanów. Po zatwierdzeniu kandydatury przez biskupa kandydat musi zdać egzamin „z zasadniczego minimum wiedzy teologicznej” — jak powiedział metropolita Filaret. Po zdaniu egzaminu kandydat zostaje wyświęcony na diakona. Proponuje mu się wówczas, aby się zapisał na kursy korespondencyjne teologii. Liczba kandydatów na te kursy przekracza ilość miejsc. Z tego powodu spośród 15-tu kandydatów z Białorusi przyjętych zostało w 1980 roku zaledwie pięciu.

Metropolita Filaret mówił o oddaniu wiernych Cerkwi, o ogromnej liczbie chrztów dzieci, o zamawianych nabożeństwach, zwłaszcza żałobnych. Mówił też o problemach stojących przed Cerkwią. Wyznał, że działalność Cerkwi jest ograniczona ustawami, a życie religijne, sprowadzone jedynie do liturgii, toczy się wyłącznie w murach cerkwi. Powiedział, że Cerkiew nie może prowadzić żadnej pracy społecznej i dlatego koncentruje się na prawdach prawosławia.

Na pytanie jednego z obecnych o naukę religii — czym, jak wiadomo, Cerkiew się nie zajmuje — Filaret odpowiedział, że sprawa ta jest jedną z trudności, przed którymi stoi Cerkiew, ponieważ nauczanie religii pozostawiono wyłącznie rodzicom. Metropolita powiedział, że proponuje on swym kapłanom, aby zbierali w cerkwi przed mszą św. wszystkie dzieci, które przychodzą do komunii i prowadzili z nimi pogadankę religijną.

Informacje metropolity Filareta o życiu religijnym na Białorusi nie są zgodne z wiadomościami o prześladowaniu religii w Związku Sowieckim, zamknięciu świątyni itp., które drogą nieoficjalną przenikają na Zachód. Memorandum Zjednoczenia Białorusko-Amerykańskiego z 8 września 1980 r.,

opublikowane w oficjalnej publikacji Senatu USA (*Congressional Record of the 96-th Congress, 2nd session, Report No. 9601016, 16. 10. 1980*) podaje, że na Białorusi było w 1970 roku 142 duszpasterzy prawosławnych i 22 katolickich. Liczba księży stopniowo się zmniejsza wskutek aresztów bardziej aktywnych i wymierania starych kapłanów. Liczby księży i parafii katolickich, podane przez metropolitę Filareta, nie są również zgodne z danymi statystycznymi, jakie prof. Thomas Bird podał w swym raporcie dla amerykańskiej komisji rządowej 21 maja 1980 roku (zob. *Hearings before the Commission on Security and Cooperation in Europe. 96th Congress. Second Session on Implementation of the Helsinki Accords. Vol. XIV, p. 65.*). Prof. Bird przytoczył dane, opublikowane w 1979 roku przez Keston College w Londynie: według nich na Białorusi było w 1979 roku 65 parafii rzymsko-katolickich i 65 księży.

Wydawnictwo nowojorskiej gazety *Bielarus* przygotowuje do druku pracę jej niedawno zmarłego redaktora naczelnego, wybitnego krytyka literackiego i publicysty dr. Stanisława Stankiewicza pt. „Janka Kupała. W stulecie urodzin”. Praca, którą autor skończył w ostatnich dniach życia, demaskuje sowieckie fałszerstwa na temat poety i jego twórczości.

Nowojorska *Bielarus* zamieściła w numerach 287 i 288 obszerny artykuł emigracyjnego historyka białoruskiego V. Siankiewicza pt. „W sprawie nazw geograficznych Białorusi”, w którym pisze on o szkodliwej tendencji obcych władz administracyjnych (w przeszłości polskich i rosyjskich a obecnie sowieckich) do przeimaczania, zniekształcania i przemianowywania białoruskich nazw miejscowości, rzek i jezior, a także nadawania obco brzmiących nazw nowym osiedlom. W rezultacie oficjalne nazwy wielu miejscowości pisane są i brzmią inaczej niż je nazywa rdzenna ludność. W sowieckiej prasie białoruskiej nieraz była poruszana kwestia nazw geograficznych. Wskazywano na palącą potrzebę wydania słownika geograficznego i proponowano powołanie w tym celu pełnomocnej komisji, złożonej nie tylko z pracowników administracyjnych, lecz również z cieszących się autorytetem lingwistów, historyków, toponimistów. Początek dał Auhien Rapanovič, wydając w 1978 roku „Słownik nazw osiedli obwodu witebskiego”, a później „Słownik nazw osiedli obwodu brzeskiego”. Jak dotychczas, czynniki rządowe BSSR ignorują inicjatywę i propozycje białoruskich naukowców.

W numerze 288 *Bielarus* zamieściła też artykuł pt. „Niszczenie kultury białoruskiej w Polsce”, w którym podaje treść memorandum Zarządu Głównego Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, wystosowanego 25 listopada ub. roku do I Sekretarza KC PZPR Stanisława Kani, którego tekst niedawno trafił na Zachód. W memorandum wyszczególnione są zarządzenia władz PRL z okresu minionego dziesięciolecia, ograniczające społeczno-kulturalne życie Białorusinów w Polsce.

Białostocki biuletyn informacyjny NSZZ „Solidarność” (nr 17 z 24. 3. 1981) zamieścił w rubryce „Moim zdaniem” artykuł tamtejszego pisarza białoruskiego Sokrata Janowicza pt. „Czy Pan Bóg nie rozumie po białorusku?”. Autor rozpoczyna swój artykuł słowami Jana Pawła II: „Darahija Bielarusy! Wiasiołych i Radasnych Kaladnych Śviatau!”, w których papież wygłosił życzenia pod adresem Białorusinów-katolików z okazji Świąt Bożego Narodzenia. I dalej pisze: „Kościół katolicki na obszarach białoruskoje-

zycznych Białostoczczyzny nie czuje żadnej potrzeby liczenia się z ich specyfiką kulturową. (Dotyczy to również i cerkwi prawosławnej...). A potrzeba takiego liczenia się to zadanie nie tyle wymuszane przez jakieś twarde okoliczności, co posiadające altruistycznie uniwersalny wymiar. Chodzi bowiem o odgruzowywanie człowieka białoruskiego z nawałisk różnych ekspansji, które nawarstwiały się nań kiedyś i nawarstwiają się dziś; ukazanie mu po stuleciach jego własnych, a nie łaskawie pożyczonych wartości i własnych korzeni”.

Białoruska *Gazeta Współczesna* w nrze 69 (9326) zamieściła artykuł tegoż autora pt. „Nasi Białorusini”, w którym występuje on w obronie likwidowanych przez władze PRL białoruskiego szkolnictwa i białoruskich instytucji kulturalnych na Białostoczczyźnie.

W dniach 14-15 kwietnia br. odbył się w Mińsku VIII Zjazd Pisarzy Białorusi. Większość z tych pisarzy, którzy zabierali głos, narzekała na niedostateczną objętość czasopism i domagała się jej powiększenia. Prezes Związku Pisarzy BSSR Maksim Tank w swoim referacie zaznaczył, że w ciągu ostatnich pięciu lat zostało przyjętych do Związku ponad 70 osób. Na szczególną uwagę zasługuje wystąpienie najwybitniejszego pisarza białoruskiego Vasila Bykova, który mówił o stagnacji w dzisiejszej literaturze białoruskiej w BSSR, „gdy wszystko się ustabilizowało, brak poszukiwań i co gorsza — brak najmniejszego ryzyka”, i o doniosłości dla narodu jedynego języka literackiego, który powinniśmy wszechstronnie szanować, strzec, bardzo starannie rozwijać i udoskonalać”. Bykova poparł Uładzimir Karatkievič, który nazwał pisarstwo większości literatów BSSR „szarym i nieinteresującym”. „Wzbudza niepokój to — powiedział on — że nasze utwory coraz mniej wywołują sporów. Zdarza się niestety również tak, że utwory, które mogłyby wzruszyć, zmusić do myślenia, toczenia sporu, są sztucznie przytępiane, lub nie wydawane w ogóle przez zbytnią ‘ostrożność’ niektórych redaktorów”.

Niedawno trafił na Zachód nowy dokument o prześladowaniu białoruskiego dysydenta Michała Kukabaki. Jest to informacja Moskiewskiej Grupy Współdziałania w wykonaniu uchwał helsińskich w ZSSR, podpisana przez Elenę Bonner, żonę zesłanego do miasta Gorkij akademika Andrieja Sacharowa. Nowojorska *Białorus* zamieściła w nrze 289 pełny tekst tego dokumentu pod wymownym tytułem „Michał Kukabaka: ‘Tutaj warunki nieludzkie’” (słowa z listu Kukabaki obrazujące warunki obozowe). 19 października 1978 roku Kukabaka został ponownie aresztowany w Bobrujsku, gdzie pracował w fabryce. 21 czerwca 1978 roku sąd obwodowy w Mohylowie skazał go „za rozpowszechnianie zniesławiających ustrojów sowieckich wiadomości” na 3 lata łagrów. W łagrze morzą go głodem. Dają mu specjalnie taką robotę, żeby nie był w stanie wykonać normy. Różnymi sposobami ograniczają jego korespondencję. Niejednokrotnie był wtrącany do łagrowego więzienia. W ostatnim swym liście powiadomił, że od 11 listopada ub. roku znów znajduje się w PKT (więzienie obozowe), ponieważ w czasie rewizji osobistej znaleziono u niego list adresowany do Niny Niekapiełowej, żony znanego dysydenta rosyjskiego Wiktora Niekapiełowa, w którym prosił ją, aby zaskarżyła samowolne postępowanie cenzury obozowej lub podała jej poczynania do publicznej wiadomości.

Białostocki tygodnik białoruski *Niva* zamieścił w nrze 27 (1323) z lipca bież. roku artykuł o zasłużonej działaczce nauki, prof. dr hab. nauk filologicznych Antoninie Obremskiej-Jabłońskiej, założycielce i b. długoletniej kierownicze katedry filologii białoruskiej na Uniwersytecie Warszawskim i jej dorobku naukowym z okazji jej 80-lecia.

W lipcu bież. roku odwiedził skupiska emigracji białoruskiej i jej ośrodki w Stanach Zjednoczonych dr Aleksander Barszczewski, literat białoruski, kierownik katedry filologii białoruskiej na Uniwersytecie Warszawskim.

Prof. Barszczewski jest znany również jako poeta białoruski pisujący pod pseudonimem Aleś Barski. Jest on członkiem Zrzeszenia Literatów Białoruskich „Bieławieža” i Związku Literatów Polskich.

Wśród białoruskich pracowników radia „Swoboda” w Monachium od dłuższego czasu panowało niezadowolenie z powodu zbyt dużego cenzurowania białoruskich audycji radiowych przez kierownika sekcji ukraińskiej radia Herusa, zbyt gorliwego służbistę. Jemu podlegają pracownicy białoruskiej sekcji radia. Z Herusa są niezadowoleni również ukraińscy pracownicy radia „Swoboda”.

Niedawno wyszedł z druku nr 3-4 *The Journal of Byelorussian Studies* (London, vol. IV — years XV-XVI), zawierający studium i artykuły: „*The Byelorussian impact on Karait and Yiddish*” — by P. Wexler (Professor on Linguistic, University of Tel-Aviv); „*German lexical borrowings in the Chronicle of Barkutabawa and the Memoirs of Theodore JeutaŠeuskii*” — by R. J. Patry-Tamushanski (Byelorussian broadcaster, Vatican Radio); „*The influence of nonlinguistic factors on the rise and fall of the Old Byelorussian literary language*” — by A. G. Waring (Senior Lecturer in Charge of the Department of Russian and Slavonic Studies, University of Sheffield); „*Some recent Soviet publications on Francisk Skaryna*” — by J. Dingley (Senior Lecturer and Head of the Department of Russian, University of Reading); „*The Chairman's Annual Report for the years 1978-1979 and 1979-1980; Reviews and Selected Bibliography on Byelorussia, 1978-1979*”.

4 października br. zmarł nagle w Londynie w wieku 66 lat ks. biskup Časław (Czesław) Sipovič, Wizytator Apostolski dla Białorusinów-katolików, publicysta, członek Towarzystwa Anglo-Białoruskiego i Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku, zasłużony działacz społeczno-kulturalny. Zmarły pochodził z Dzisieńszczyzny w ziemi Połockiej.

Włodzimierz BRYLEWSKI

Kraj**O pełny wymiar wolności Kościoła**

Chciałbym podzielić się pewnymi refleksjami na temat pełnego wymiaru wolności Kościoła. Są to refleksje, które nasuwają się na tle obecnej sytuacji w naszym narodzie, sytuacji, która rzutuje na sytuację Kościoła a także i naszego Ruchu w ramach Kościoła w Polsce.

Musimy postawić sobie pytanie, co się właściwie stało, co się dokonało w ostatnich tygodniach i miesiącach w naszym kraju i jakie z tego należy wysnuć wnioski dla dalszego działania naszego Ruchu.

To co się stało, to na pewno największy przewrót, jaki się dokonał, nie tylko w Polsce, ale w całym tak zwanym bloku wschodnim czy komunistycznym od początku istnienia tej sytuacji, która została ustabilizowana po drugiej wojnie światowej. Trudno jeszcze ogarnąć cały sens i zasięg tych wszystkich przemian, które się dokonały. Wydaje mi się, że najkrócej a zarazem sięgając do określeń najistotniejszych można by scharakteryzować to co się stało, nawiązując do słów Chrystusa: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. To cośmy przeżyli, to jakieś nowe potwierdzenie tych słów Chrystusa. To co się dokonało ma swoje źródło w tym, że znalazła się w naszym kraju grupa ludzi, którzy zaczęli odważnie i otwarcie mówić prawdę, którzy bez względu na konsekwencje, z jakimi się musieli liczyć, zaczęli mówić o sytuacji w Polsce bez liczenia się z względami tak zwanej dyplomacji, bez kierowania się tak zwanym realizmem politycznym. Dla nich po prostu naczelną rolę zaczęła odgrywać realizm. W prawdziwym sensie tego słowa czyli po prostu stwierdzenie faktycznego stanu rzeczy. Ludzie z KSS KOR-u czy innych podobnych ugrupowań w sposób, który trzeba nazwać sposobem bohaterskim, zaczęli mówić prawdę bez osłonek. Okazało się, że ta mała garstka ludzi wyzwoliła przez to mówienie prawdy taki

ferment, taki ruch, który w końcu wyraził się w tej wielkiej rewolucji społecznej jaka się dokonała. Okazało się, że oni udeżyli rzeczywistości w czułą strunę, że niczego tak bardzo nie było potrzeba społeczeństwu jak właśnie tego mówienia prawdy. Wszyscy byli już do ostateczności udręczeni sytuacją potwornego zakłamania. W tych wszystkich ruchach ostatnich tygodni, miesięcy, objawiło się jakieś żywiołowe pragnienie prawdy, wołanie o prawdę. To wołanie o prawdę było silniejsze niż wołanie o chleb powszedni. Okazało się, że względy gospodarcze, materialne mimo wszystko były na drugim planie, a przede wszystkim chodziło ludziom o wyzwolenie się ze straszliwego jarzma kłamstwa i zakłamania. Był to jakiś krzyk natury ludzkiej, która jest stworzona dla prawdy i która żyje i rozwija się dopiero w prawdzie, która jest fundamentem wolności. To wszystko zostało niewątpliwie wyzwolone między innymi przez odważne świadectwo tej niewielkiej garstki ludzi z różnych tak zwanych opozycyjnych ugrupowań. Jaki jest wynik tego wielkiego zrywu wolnościowego, który przede wszystkim podjęli robotnicy, którego nośnikiem, podmiotem stała się rzeczywistość klasa robotnicza? W dalszym ciągu szukamy odpowiedzi na pytanie, co się stało, jaka jest istota tych przemian, które się niewątpliwie dokonały?

Otóż pierwsza rzecz, która została przełamana w skali społecznej, masowej, to bariera strachu. Prawda wyzwala człowieka wtedy, kiedy człowiek ma odwagę mówić, wyznawać prawdę i poddać wymaganiu prawdy życie. Na przeszkodzie do tego stoi lęk. Lęk nie pozwala nam mówić prawdy, nie pozwala nam zdobywać konsekwencji życiowych z prawdy. Dlatego wyzwolenie od lęku jest kluczowym zadaniem w całym problemie wyzwolenia człowieka. Otóż prawda, która się teraz przebiła poprzez ten cały narzucony system zakłamania, mogła się przebić dzięki temu, że przykład odwagi pewnej grupy ludzi doprowadził do przełamania bariery strachu. Ludzie po prostu przestali się bać i to się stało zjawiskiem masowym. Przedtem pewne jednostki odważne dawały świadectwo, przełamując lęk i przyjmując na siebie konsekwencje: więzienie, różne szykany, tortury. Teraz ta postawa udzieliła się szerokim masom i to przełamanie bariery strachu w skali społecznej, to jest chyba rzecz najistotniejsza, jaka się dokonała. Można by użyć tutaj pewnego porównania w nawiązaniu do Biblii. Coś podobnego stało się w Polsce, jak wtedy w epoce Sędziów, kiedy Samsonowi obcięto włosy i Samson stracił całą swoją moc. Jeżeli tym Samsonem jest ten mocarz, który nad nami dotychczas panował, to w pewnym momencie ktoś mu obciął włosy i nagle okazało się, że ten mocarz już nie jest taki groźny, i przestano się go bać.

Odpowiadając w dalszym ciągu na pytanie, co się właściwie stało — trzeba powiedzieć, że dokonało się przełamanie pewnego „tabu”. Cały ten system, który został nam narzucony, działał głównie dzięki stworzeniu jakiegoś terroru, zastraszenia. Wytworzono też sferę pewnego „tabu”; były pewne problemy, których nie wolno było tykać, nie wolno było o nich mówić. Wszyscy

wiedzieli, że to tak jest i tak powinno się te rzeczy nazywać po imieniu, ale mówiło się szeptem, oglądając się w prawo i w lewo, albo po prostu przyjęło się, że są pewne sprawy, których nie ma sensu ruszać, o których nie można mówić bo to jest nierealne itp. W tej chwili zostało to przełamane. Mówi się otwarcie, stawia się postulaty, nazywa się rzeczy po imieniu, i to znowu w skali masowej. „Tabu” zostało przełamane i to stwarza rzeczywistość jakąś nową sytuację.

To co dotychczas mówiłem, to są pewne przemiany psychologiczne. Oczywiście istotne, bo przemiana musi się zacząć w psychice, w postawie wewnętrznej ludzi. Ale najistotniejsze jest powstanie nowej realnej siły w naszym społeczeństwie. Powstała prawdziwa solidarność klasy robotniczej, zorganizowanej, zrzeszonej, mającej swoich przywódców, swój własny program. To jest siła, bo w tej chwili mówi się o 9 czy o 10 milionach przedstawicieli klasy robotniczej zrzeszonych w „Solidarności”. Jest to, nazywając rzecz po imieniu, państwo w państwie. Zaistniała sytuacja nowa, dlatego że dotychczas jedynie Kościół katolicki zachował w dużym stopniu jakąś niezależność i był prawdziwym partnerem w stosunku do panującego reżymu. Kościół był jedyną alternatywą dla ludzi, którzy szukali oparcia wobec systemu rządzącego. W tej chwili sytuacja jest zupełnie nowa i jedyna w całym bloku wschodnim czy socjalistycznym. Kościół nie jest już jedyną alternatywą, Kościół już nie jest jedynym partnerem, pojawił się trzeci partner. (Oczywiście istnieje problem, w jakim sensie te dwie siły są różne, a w jakim sensie są czymś jednym). Sytuacja nowa polega na tym, że cała zorganizowana w ruchu „Solidarność” klasa robotnicza jest nową alternatywą, ludzie szukają teraz już tam oparcia i w sensie psychologicznym i w sensie rzeczywistym w różnych sytuacjach. W tej chwili nie rozgrywa się wszystko na płaszczyźnie: państwo totalitarne, komunistyczne – Kościół, ale jest jeszcze bardzo silny partner trzeci, cały ten ruch, który się skupia wokół Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność”. Trzeba powiedzieć, że „Solidarność” i cały ruch wokół niej skupiony, to jest drugi obok Kościoła rzecznik praw narodu. Ten ruch występuje nie tylko w obronie tzw. klasowych interesów świata pracy, ale stał się rzecznikiem praw narodu, prawa do wolności, do prawdy. Grupa rządząca, partia z całym swoim aparatem, zapleczem, zwłaszcza Służby Bezpieczeństwa, została prawdziwie wezwana pod osąd narodu i społeczeństwa. Partia jest wezwana do rozliczenia się ze swej polityki, ze swojego działania wobec konkretnej grupy zrzeszonej w „Solidarności”. W pewnym sensie partia stała się wobec kogoś w nowy sposób odpowiedzialna.

To tyle jeśli chodzi o sytuację w narodzie. Oczywiście to na pewno nie jest obraz pełny, to jest tylko jakaś próba uchwycenia istotnych momentów. Ale wydaje mi się, że to są sprawy kluczowe w całej sytuacji.

Pytamy z kolei: jak na tle tych przemian, które się dokonały, kształtuje się sytuacja Kościoła katolickiego w Polsce? Wydaje

mi się, że trzeba dzisiaj postawić to pytanie i musimy przeprowadzić refleksję na ten temat. Nie możemy tych spraw pozostawić niedomówionych, bo ta chwila dziejowa stawia również nowe wezwania, nowe wymagania dla Kościoła. Sytuacja obecna jest nowym znakiem czasu, który trzeba odczytać i trzeba się do wezwania zawartego w tym znaku czasu ustosunkować.

Jest prawdą, że Kościół był dotychczas jedyną alternatywą, jedynym partnerem, jedyną ostoją, jedynym rzecznikiem praw człowieka, osoby ludzkiej, narodu. Kościół walczył, Kościół bronił tych pozycji, Kościół piętnował zło, zakłamanie, protestował Kościół dzisiejszy, tj. roku 1980, wyszedł z okresu bardzo trudnego, bo im dalej wstecz sięgamy w historię tzw. Polski Ludowej, tym ostrzej rysowała się walka z Kościołem i tym trudniejsza była sytuacja. Przypominamy sobie lata czterdzieste, kiedy dokonywała się likwidacja różnych aspektów działania Kościoła. Było to „przykrawanie” modelu Kościoła do modelu, jaki postanowili tolerować władcy naszego państwa. Wtedy Kościół znalazł się nagle w systemie państwa komunistycznego, który bezwzględnie ograniczył jego wolność, dążąc do jego likwidacji. Potem sytuacja się zmieniała, były różne okresy, chociaż walka trwała w zasadzie przez cały czas bez zmian i ze strony panującego systemu komunistycznego nie rezygnowano nigdy ze swoich celów zasadniczych odnośnie Kościoła, czyli z planu jego ostatecznej likwidacji.

Otóż dziś, w nowej sytuacji po roku 1980 powstaje pytanie, czy w wyniku ciągłej walki poprzednich lat nie zatrzymaliśmy się także w obliczu pewnego „tabu”? Czy w postawie Kościoła nie zwycięża czasem tzw. „realizm”, ale realizm widziany ostatecznie nie w kategoriach Ewangelii, ale w kategoriach jakiejś dyplomacji, czy polityki, którą Kościół jako instytucja musiał uprawiać wobec panującego systemu. Czy także nie mówiono językiem dyplomatycznym, czy nie za wiele „owijano w bawełnę”, czy nie było także pewnej granicy, gdzie wiadomo było, że nie można mówić całej prawdy? Czy w decydujących momentach nie zwyciężała tzw. racja stanu, kiedy ostatecznie trzeba było dla uniknięcia większego zła udzielić poparcia istniejącej rzeczywistości? (Bo jeżeli ona się nie utrzyma, to co przyjdzie w jej miejsce, czy nie coś gorszego?). Dzisiaj trzeba mówić całkiem otwarcie, że cały czas chodziło o ten miecz Damoklesa, który zawisł nad nami, którym była groźba interwencji Związku Radzieckiego i wkroczenia czołgów i wojsk radzieckich. Trudno dzisiaj kogokolwiek sądzić o to, co było, ale stajemy w obliczu niewątpliwego faktu, że ludzie, którzy ostatecznie dali nam w wyniku zwycięstwo odniesione przez świat pracy, przez ruch „Solidarność”, ci ludzie poszli o wiele dalej w odrzucaniu „tabu” niż poszedł Kościół katolicki. Ci ludzie poszli o wiele dalej w mówieniu prawdy, niż czyni to Kościół oficjalnie jako instytucja. I dlatego wielu stawia dziś pytanie, czy Kościół może trzymać się nadal tej linii, która dotychczas być może była jedyną słuszną linią. Ale zmiany, które się dokonały, poszły tak daleko, że

nie jest już oczywiste, czy to jest jedyna słuszna linia. Wiemy wszyscy o tym, że w czasie pamiętnych i gorących sierpniowych dni autorytet Kościoła w pewnym momencie zawisł na włosku. Okazało się wtedy, że już nie jest oczywiste, co do niedawna było oczywiste, że można tylko tak a nie inaczej.

Niewątpliwie w tej chwili stoi przed nami problem przybrania właściwej postawy w obliczu daleko idących przemian i istnieje na pewno obawa, że możemy pozostać w tyle w stosunku do ruchu wolnościowego, który się już tak daleko posunął.

Pozostaje jeszcze kolejne pytanie: jak przedstawia się nasz Ruch na tle tej sytuacji? Ruch Światło-Życie od samych początków (które się łączą jeszcze z ruchem Żywego Kościoła, a wcześniej w ogóle ze zjawiskiem tzw. oaz rekolekcyjnych, zanim jeszcze była mowa o Ruchu), tj. od z górą dwudziestu pięciu lat rozwijał się w oparciu o pewną wewnętrzną zasadę, pewne *principium*, mianowicie zawsze było w nim dążenie do wypowiedzenia odważnego „tak” wobec wszystkich wymagań Ewangelii, zawsze chodziło o autentyczne, konsekwentne chrześcijaństwo. Idąc po linii tego wysiłku wierności wobec wezwania Ewangelii, ruch nigdy nie kierował się dyplomacją czy zbyt daleko idącymi rozważaniami „ostrożnościowymi” (co można, czy wypada, czy można ryzykować?). Po prostu zawsze była taka świadomość, żeby zrobić to, co czynić trzeba, bo domaga się tego Ewangelia, a nie stawiać pytania czy wolno. I właściwie od samego początku, od pierwszej oazy, wszystko rodziło się, rozwijało w sytuacji stałej opozycji do pewnej zewnętrznej rzeczywistości, w jakiej musiał działać Kościół. Z czasem ten wysiłek wierności skoncentrował się wokół jednej rzeczy, mianowicie wokół soborowej wizji Kościoła. Kiedy z oaz wyrósł Ruch Żywego Kościoła, to dokonało się to po prostu przez przyjęcie soborowej wizji Kościoła, Kościoła wspólnoty. Mówiliśmy wtedy „Kościół żywy”, czyli Kościół, który faktycznie wciela się w ludzkie wspólnoty. O ile staraliśmy się w oazach i przez oazy stawać się tymi wspólnotami, nazywaliśmy siebie „ruchem żywego Kościoła”. Wspólnoty te, starając się urzeczywistnić wszystkie wymagania nowotestamentalnej wspólnoty, koinonii, komunii, która została przez Sobór Watykański II na nowo ukazana jako istota Kościoła, tym samym musiały znaleźć się w opozycji i w walce wobec otaczającego je „świata”. Można by już napisać całą historię, można by znaleźć mnóstwo dokumentów i wydać całe tomy dotyczące tej walki. Nie była to jakaś świadomie zamierzona walka przeciw komuś, nie była to świadoma opozycja w sensie opozycji politycznej do istniejącego ustroju, ale idąc po linii tej wewnętrznej wierności i pragnąc odważnie powiedzieć „tak” soborowej wizji Kościoła, uświadomiliśmy sobie z czasem, że Ruch jest nieustannym protestem, buntem przeciw modelowi Kościoła, który został wydumany z pozycji światopoglądu ateistycznego. Kościół tutaj z góry jest widziany jako instytucja wroga, niebezpieczna, instytucja, która musi być ostatecznie zlikwidowana, a póki to nie jest możliwe, maksymalnie ograniczona w swojej

działalności, w swojej ekspansji, i maksymalnie inwigilowana. W świetle takiej koncepcji Kościół jest cały czas inwigilowany, osaczony krępującym jego działalność prawodawstwem. Przede wszystkim zaś stworzono cały ogromny aparat, aparat Służby Bezpieczeństwa, dla inwigilowania Kościoła. Kościół ciągle się z tym zмага. Ale pytanie, czy nie doszło już do tego, że myśmy się już w zasadzie z tym pogodzili, że Kościół może rozwijać się tylko w ramach tego modelu? Jeżeli jeszcze walczymy, to już tylko o detale w ramach zasadniczo akceptowanego modelu, którego i tak już nie można zmienić. Nie walczymy już o zmianę tego modelu, nie mamy nawet wizji, o co mamy walczyć.

Otóż na tym tle uświadomiamy sobie dzisiaj, że ruch oazowy, później Ruch Światło-Życie, właśnie cały czas próbuje realizować model Kościoła, który się nie mieści w tym przez partię narzuconym modelu. Kolejno przechodziliśmy do porządku dziennego nad ustawą o stowarzyszeniach, przeszliśmy do porządku dziennego nad ustawą o kontroli prasy, nad całym szeregiem przepisów finansowych, podatkowych i tak dalej i tak dalej. I to nie dlatego, że byliśmy zasadniczo w opozycji, że chcieliśmy walczyć, ale po prostu chcieliśmy żyć. Życie Kościoła bowiem domaga się, żebyśmy się gromadzili, żebyśmy się łączyli we wspólnoty, żebyśmy robili zgromadzenia. Ruch Światło-Życie był w ten sposób stale próbą rozbicia modelu Kościoła narzuconego przez ateistyczne państwo. Stworzyliśmy fakt dokonany, polegający na tym, że Ruch istnieje, chociaż według wszystkich założeń teoretycznych, według obowiązujących ustaw istnieć nie powinien. Ruch Światło-Życie stał się zjawiskiem już w tej chwili w skali krajowej, którego nie można nie zauważyć, i jako zjawisko, fakt stoimy wyraźnie w opozycji do oficjalnie uznanego modelu Kościoła. Trzeba powiedzieć, że to czego dokonała „Solidarność” na płaszczyźnie społeczno-politycznej, to już wcześniej właściwie stało się faktem w Ruchu Światło-Życie. Tu także zostało przekreślone pewne „tabu”, zostały zakwestionowane pewne schematy i to faktycznie, w życiu, przez stworzenie faktu dokonanego.

WNIOSKI KOŃCOWE

1. Wydaje się, że jest rzeczą konieczną w tej chwili, aby postawić problem pełnego wymiaru wolności Kościoła, żeby zacząć o tym mówić, pisać, kształtować świadomość. Przykładem dla nas powinien stać się ten ruch wyzwolenczy, który wydał taki wspaniały owoc w postaci Związków Zawodowych „Solidarność”. Zaczął się on od tego, że niektórzy zaczęli mówić prawdę. Zaczęli mówić, co się nam należy i czego się mamy domagać, wbrew wszystkim wołającym, że to jest nierealne, utopijne itd. Prawda nigdy nie jest utopijna, nigdy nie jest nierealna. Prawdę trzeba zawsze głosić nie pytając się, czy to jest w tej chwili realne. W naturze prawdy leży to, że ona musi być głoszona, musi być proklamowana.

Były takie wypadki w historii, że trzeba było setek lat, żeby prawda przez kogoś głoszona w końcu została przyjęta i wprowadzona w życie. Potwierdza to, że głoszenie prawdy zawsze ma sens, nigdy nie jest „nierealne”.

2. „Prawda was wyzwoli”. Trzeba zacząć mówić pełną prawdę odnośnie sytuacji Kościoła. Postulat mówienia prawdy jest nadrzędny w stosunku do wymagań realizmu politycznego, takiej czy innej dyplomacji. Jako Kościół, jako ludzie żyjący w Kościele i z Kościołem, mający świadomość Kościoła, mamy obowiązek dawania świadectwa prawdzie.

3. Szczególnie jako Ruch Światło-Życie mamy obowiązek dawania świadectwa prawdzie. Jako Ruch mamy świadomość Kościoła, bo istota Ruchu, to jest właśnie próba przeżycia Kościoła w naszej świadomości i dawania temu przeżyciu wyrazu na zewnątrz w świadectwie i w działaniu. Z pozycji takiej świadomości Kościoła, jaką mamy, powinniśmy dawać świadectwo prawdzie.

4. Musimy budzić świadomość tego, co to znaczy pełny wymiar wolności Kościoła. Trzeba uświadamiać ludziom, że rzecz najistotniejsza, na którą się nie możemy zgodzić, to to właśnie, że Kościół w naszym państwie jest inwigilowany jak organizacja przestępcza przez Służbę Bezpieczeństwa. Przeciwno temu musimy zacząć nareszcie głośno protestować, bo to jest pogwałcenie praw człowieka, osoby ludzkiej i to jest największe zło.

5. Druga sprawa domagająca się protestu, to ta, że biskupów może ustanawiać papież tylko za zgodą partii, a biskup podobnie proboszczów. Jaki prawem może partia komunistyczna decydować o tym, kto może lub nie może być biskupem, proboszczem, czyli ojcem?

6. Trzecia sprawa, to okrojenie Kościoła z co najmniej 2/3 dziedzin, w których się przejawia jego żywotność; należą do nich Akcja Katolicka, stowarzyszenia katolickie, ruchy apostołskie itp. Na Zachodzie te akcje powstają oddolnie, ponieważ wierni mają prawo i obowiązek tworzenia takich dzieł na mocy samej przynależności do Kościoła poprzez chrzest i bierzmowanie. Urzędy Kościoła tylko na drodze urzędowej, odgórnej, to jest okaleczenie Kościoła. Kościół jako wspólnota w Duchu Świętym jest żywym organizmem. Prawa życia Kościoła muszą być respektowane i nikt nie ma prawa tego zmienić. Kościół nie może być w pełni sobą bez dzieł charytatywnych, dzieł wychowawczych. To wszystko zostało u nas Kościołowi zabrane. Tymczasem to jest pełny wymiar wolności Kościoła i o to musimy się upominać. Do tego mamy prawo.

7. Ta droga ku pełnej wolności Kościoła to jest w gruncie rzeczy droga, którą pokazał nam Ojciec Święty Jan Paweł II

w czasie swojej pielgrzymki w Polsce. Jest to program encykliki *Redemptor hominis*.

8. Na tle tego musimy uświadomić sobie misję naszego Ruchu. Musimy iść tą drogą odważniej, konsekwentniej. Narzędziem poprzez które Ruch musi realizować swoją misję jest Krucjata Wyzwolenia Człowieka. Oparta głęboko o Ewangelię, teologię wyzwolenia, zawiera w sobie konkretny program na tę godzinę Kościoła w naszej Ojczyźnie.

Mamy narzędzie przygotowane, musimy tylko sobie uświadomić nagłą potrzebę intensyfikowania tej działalności i konsekwentnego podjęcia tej sprawy. Wtedy odpowiemy na wezwanie znaków czasu i będziemy obecni w taki sposób, jaki wynika z naszego powołania, w tych wszystkich przemianach, które się dokonują, będziemy obecni w punkcie najistotniejszym i tam, gdzie nasza obecność jest najbardziej potrzebna i oczekiwana.

Ks. Fr. BLACHNICKI

Jak wygląda współczesna architektura polska? (III)

V. JEŻELI JEST TAK DOBRZE, TO DLACZEGO JEST TAK ŹLE?

Jak przejawia się wpływ architektury i urbanistyki na naturalne środowisko człowieka? Jaka kategoria budownictwa najsilniej oddziałuje na kształtowanie się tego środowiska? Jakie powinno ono być, by odpowiadało naszym wewnętrznym potrzebom?

Są to pytania, które nasuwają się szczególnie wtedy, gdy po dłuższym pobycie w mieście, zmęczeni hałaśliwym zgłębieniem tych aglomeracji wyjeżdżamy, by odpocząć w plenerze.

A więc pierwsze pytanie dotyczące wpływu architektury na krajobraz i środowisko człowieka. W dziedzinie, o której mowa nie wchodzi w grę żadne procesy przemysłowe. Nie ma zanieczyszczenia atmosfery, zatrucia rzek itp., a więc działania fizjologicznego. Niemniej jednak oddziaływanie jest bardzo bezpośrednio i doraźnie. Architektura ma ogromny udział w kształto-

waniu krajobrazu. Może ten krajobraz uszlachetnić i wzbogacić, lub też zabić naturalne piękno i zamienić je w śmietnisko. Jest to przede wszystkim oddziaływanie psychologiczne, ale jakże ważne dla naszego samopoczucia. Podczas gdy procesy zatruwania i zanieczyszczania działają powoli i w ukryciu, nim skutki ich staną się odczuwalne przez stopniowe zamieranie naturalnej flory i fauny, niszczenie lub uszlachetnianie krajobrazu przez budynki nastąpić może bardzo szybko, niemal z dnia na dzień, i odczuwane jest w sposób bezpośredni i spontaniczny. Przejawia się ono w rozmaitej skali i napięciu.

W niektórych przypadkach zmienia niepozorne fragmenty topografii w piękne, przykuwające uwagę i budzące zachwyt scenerie. Dość niepozorne wzniesienie terenu na zakręcie Wisły w Krakowie, jakim jest wzgórze wawelskie, zamienione zostało na jeden z najładniejszych krajobrazów naszego kraju, pospolita dość rafa skalna na normandzkim wybrzeżu Francji, Mont St. Michel, stała się bajeczną kompozycją architektury i przyrody, przedmiotem niezliczonych dzieł malarskich, fotografowanym bez końca przez turystów. Gdzie indziej skalisty fragment brzegu dalmatyńskiego zamieniony został na romantyczną Raguzę. Można by przytoczyć dużo takich przykładów, niemniej jednak są to tylko „rodzynki w cieście”. Ciasto to ten krajobraz na co dzień, który rozpoczyna się poza granicami miasta, w który wyjeżdżamy, by odpocząć od gorączkowego życia wielkich skupisk ludzkich, gdzie robi się coraz tłoczniej, hałaśliwiej i duszniej. Wyjeżdżamy, by odetchnąć świeżym powietrzem, nacieszyć się zielenią i widokiem, w którym udział architektury nie wyraża się w silnych dramatycznych akordach, lecz w tym dyskretnym leitmotywie, jaki tworzy drobne indywidualne budownictwo wsi, letnisk i uzdrowisk. Łączy się ono w jedną całość z przyrodzonym tłem, tworząc z nim mniej lub bardziej harmonijny obraz, charakterystyczny dla danego regionu. Lokalne zabarwienie bywa na naszym kontynencie wynikiem wielowiekowej ewolucji. Mają w nim udział takie czynniki jak historia, klimat, miejscowe zasoby materiałów budowlanych, a także specyficzne cechy charakteru mieszkańców.

Jak powstawało to budownictwo? Kto je tworzył? Czy byli to architekci lub artyści? Nie — powstawało ono spontanicznie. Tworzyli je prości ludzie, obdarzeni często wrodzonym poczuciem piękna. Można by ich w niektórych wypadkach nazwać artystami, ale nie byli to artyści świadomi tego, że tworzą dzieła sztuki.

Od tych czasów wiele się zmieniło. Żyjemy w epoce, w której osiedla a także indywidualne domy nie powstają jako rezul-

tat instynktu. Wszystko jest intencjonalnie planowane, analitycznie rozważane i racjonalizowane. Planujemy domy, miasta, regiony, a nawet kraj jako całość. Uczucia i improwizację zastąpił trzeźwy proces myślowy. Cokolwiek powstaje wokół nas musi najpierw powstać na papierze. Musi być narysowane, przedyskutowane, zaaprobowane i ostemplowane. Wszystko po to, by środowisko ulepszyć, zracjonalizować i... upiększyć? Oczywiście, ale celem ostatecznym tego działania jest i pozostanie zawsze człowiek. Chodzi o to, by warunki, w których żyje były coraz lepsze, by otoczenie w którym przebywa dawało mu coraz więcej zadowolenia. Czy mu je daje? Czy rezultat taki osiągnie się przez całkowite zerwanie z przeszłością i dorobkiem wielu wieków? Czy zamiast wsi mazowieckiej, podhalańskiej, kaszubskiej, bieszczadzkiej itd. musimy mieć osiedla znormalizowanych domów jednorodzinnych, względnie zagród i gospodarstw wiejskich? Czy jest konieczne, lub w ogóle pożądane, by były one wynikiem konkursów, nad którymi dziesiątki lub nawet setki architektów poci się, by wykoncypować najoryginalniejsze i najefektywniejsze rozwiązanie tego zagadnienia?

Wydaje mi się, że zachodzi tu jakieś zasadnicze nieporozumienie. Bo przecież wchodzi tu w grę nie nowatorstwo i efekciarstwo — te czynniki, które są tak często związane z pracą konkursową. Cały ten „twórczy” wysiłek wydaje mi się zupełnie zmarnowany i bezcelowy, bo krajobraz jest zabytkiem — tak, zabytkiem w stanie stałej ewolucji i modernizacji. Powinien rozwijać się z duchem czasu, ale w stałym nawiązaniu do przeszłości i naszego wielowiekowego dorobku — przeszłości, w której tkwią nasze korzenie i z którą jesteśmy związani uczuciowo.

Projektowanie więc wzorowych gospodarstw i typowych dla danego regionu zagród wiejskich a nawet domków jednorodzinnych nie jest pracą architekta, który zakasawszy rękawy zasiada do rysownicy, by w ciągu paru tygodni „machnąć” projekt, dając upust swojej wyobraźni, nierzadko zapłodnionej przez takie zagraniczne publikacje jak *Modern homes* lub *House beautiful*. Taka metoda może być odpowiednia dla większych indywidualnych willi lub domów wczasowych, ale tam gdzie chodzi o budownictwo wiejskie to chyba właściwsze byłoby projektowanie w pracowni, gdzie czas nie nagli i istnieją warunki dla studiów nad sztuką ludową, poszukiwania na miejscu typowych form budownictwa oraz kontaktów z miejscową ludnością.

Nie potrzeba tu zresztą odkrywać Ameryki. Praca ta już w dużej mierze została wykonana przez takich ludzi jak Gloger, Witkiewicz, a przede wszystkim prof. Oskar Sosnowski i jego

zakład architektury polskiej. Została wykonana nie po to, by spoczęła na cmentarzu starych pamiątek i rupieci, lecz by umiejętnie czerpać z niej wtedy, gdy to jest uzasadnione — a jest w pełni uzasadnione właśnie teraz, gdy wieś polska robi wielki skok naprzód w Polsce Ludowej.

W ciągu ostatnich lat zorganizowano u nas szereg konkursów na typowe zagrody i gospodarstwa wiejskie, a także na domki jednorodzinne. Istnieją specjalne sekcje SARP, które zajmują się tymi sprawami, katedry planowania wsi na politechnikach, istnieją wreszcie wojewódzkie biura projektowania wiejskiego. Zdawałoby się więc, że uczyniono ogromny wysiłek na tym polu — i oto, gdy następuje konfrontacja z sytuacją w terenie, trudno powstrzymać się od pytania: „Jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?”.

Od pewnego czasu daje się zauważyć istna eksplozja budownictwa na wsi polskiej. Stare domy drewniane o wieńcowej konstrukcji, pobielane lub z bielonymi (na niebiesko) fugami, kryte strzechą lub gontem ustępują szybko nowym, murowanym. Jest to niewątpliwie znaczny postęp techniczny. „Cichy kącik za stodołą” zastępuje splukiwane WC, pojawiają się łazienki, radia, telewizory itd. A jakie są najbardziej charakterystyczne cechy zewnętrzne tego budownictwa? Forma architektoniczna, jeżeli można to tak nazwać, to najczęściej kamienniczka z dwoma ślepymi „fajermurami” szczytowymi, drzwi płycinowe typu miejskiego, dachy kryte blachą, papą, a w najlepszym razie azbestocementem (zwanym u nas eternitem), szarym, bezbarwnym, martwym. Wystrój zewnętrzny żaden, po prostu zwyczajna cegła (nie licowa) lub nie tynkowane bloki betonowe. Te domy o niewykończonych fasadach, od dawna zamieszkałe, stały się w niektórych okolicach charakterystyczną cechą zarówno wsi jak i letnisk, uzdrowisk i terenów podmiejskich. Dominują one po prostu w krajobrazie. Ale wśród tej obfitości permanentnie niewykończonych surowych murów zdarzają się także „perły modernizmu” o płaskich dachach, bocznych ścianach w schodki i tynkach malowanych w pstrokaciznę „na Pikasa”. Biednego Picassa „skreśliłoby w grobie od strasnej tertury zadkiem do góry” (jak powiada Boy), gdyby zobaczył jak interpretowana bywa w Polsce jego spuścizna artystyczna.

Przez dwa lata mieszkałem w Austrii i choć nie nostryfikowałem mojego dyplomu i nie mogłem należeć do tamtejszej organizacji architektów, otrzymywałem od nich wszystkie okólniki dotyczące konkursów i innych imprez zawodowych. Nie pamiętam, by w tym czasie odbył się choć jeden konkurs na typowe zagrody i gospodarstwa wiejskie. Nie istnieje też żadna pracow-

nia budownictwa wiejskiego w sekcji architektonicznej *Ingenieur-kammer*. Ale kiedy niedawno odbyłem znowu podróż po tym kraju, podziwiałem z prawdziwą zazdrością schludne nowe domki i osiedla wiejskie, utrzymane w regionalnym charakterze i świetnie harmonizujące z otaczającym je krajobrazem alpejskim, względnie łagodnie falistym Dolnej Austrii. Ogromna większość tych budynków to produkt współpracy między właścicielami i budowniczymi. Architekt prawie nigdy nie jest w to wmieszany. Dużą rolę odgrywają oczywiście także materiały i akcesoria budowlane wysokiej jakości technicznej i estetycznej. Troska o estetykę przejawia się między innymi także zupełną niewidocznością anten telewizyjnych, które umieszczane są albo na poddaszach, albo są starannie ukryte w ogrodach.

Mam wrażenie, że konkursowe prace naszych architektów z tej dziedziny pozostaną (jak w wielu innych wypadkach) na papierze, albo w najlepszym wypadku zostaną zrealizowane w kilku nielicznych pokazowych egzemplarzach, bo o tym co dzieje się w terenie decydują inne czynniki, przede wszystkim ekonomiczne, przemysłowe (produkowane materiały budowlane) i te wzorcowe projekty, jakie mieszkańcy wsi, letnisk i uzdrowisk otrzymują z najbliższych źródeł wojewódzkich i prywatnych.

Często słyszy się, że wysiłki w dziedzinie poprawienia standardu estetycznego budownictwa na wsi idą u nas na marne z powodu samowoli odbiorców, którzy nie stosują się do zatwierdzonych projektów i przerabiają je na własną rękę. Wierzę, że fakty takie są częste, bo zorganizowanie sprawnego nadzoru budowlanego na wsi nie jest łatwe i wymaga dużego personelu, ale niestety nie można rozgrzeszyć też samych architektów. Te okazy budownictwa wiejskiego jakie można oglądać na różnych wystawach (np. trzydziestolecia PRL) i we wzorcowych katalogach nie napawają optymizmem. „Studia sztuki ludowej”?, „poszukiwania form regionalnych?” — wszystko to zdaje się stanowić pobożne życzenia, nie mające nic wspólnego z aktualnie stosowaną rutyną.

Stanisław PIOTROWSKI

(c.d.n.)

Sprawy i troski

Moratorium dla kredytów bankowych PRL

Z ZAPADŁOŚCIĄ W ROKU 1981

W mozolnych pertraktacjach na kamienistej drodze konsolidacji długów PRL* udało się delegacji warszawskiego Ministerstwa Skarbu i Banku Handlowego osiągnąć na konferencji w Wiedniu w dniach 29-31 września kompromis w sprawie zachodnich kredytów bankowych z zapadłością w roku 1981.

Podpisany układ przewiduje moratorium na 7 i pół lat dla 85 % zobowiązań wobec 360 banków, przypadających do spłaty od 26 marca do 31 grudnia 1981. Od końca marca PRL zaprzestała *de facto* spłaty kapitału i procentów. Zachodni wierzyciele szacują ogólną sumę tych zobowiązań na około 3 mld dolarów. Przyjmując zasadniczo projekt regulacji opracowany przez komitet banków zachodnich, tzw. *Task Force*, zgodzono się na odroczenie płatności 95 % tej sumy do 10 grudnia 1988, łącznie z narosłymi w tym czasie procentami, które wynosić mają 1,75 % powyżej londyńskiej stopy procentowej dla pożyczek międzynarodowych (tzw. *Libor*). Po upływie okresu karencji spłata ma zostać dokonana w ciągu czterech lat w siedmiu ratach półrocznych.

W początkowym projekcie konsolidacyjnym banki zachodnie żądały spłacenia jeszcze w tym roku 5 % sum dłużnych, a więc około 150 mln dolarów. Delegacja warszawska zabiegała o objęcie i tej sumy moratorium. Było to jednym z powodów przeciągania się pertraktacji, obok zabiegów o obniżenie wysokiego oprocentowania oraz trudności, jeśli nie niemożliwości, przedłożenia przez administrację warszawską dokładnego wykazu długów i wiarygodnego planu stabilizacji gospodarki. Aby nie przeciągać pertraktacji, wierzyciele zagraniczni zgodzili się na kompromisowe załatwienie sprawy. PRL ma spłacić wspomniane 5 % kredytów bankowych z zapadłością w roku bieżącym nie natomiast — bo tego dokonać nie może — ale w roku 1982, w

* Patrz *Kultura* nr 10 z października 1981.

trzech równych ratach, 15 maja, 15 sierpnia i 15 listopada. Czy zobowiązanie to będzie mogło być wykonane w obecnym stanie gospodarki PRL? Czy można liczyć na poprawienie się w roku 1982 polskiego bilansu płatniczego na tyle, aby osiągnięty z eksportu dochód dewizowy mógł zagwarantować spłatę tej części długów bankowych, jak również zobowiązań z tytułu konwersji długów państwowych i nowych pożyczek? W kołach zachodnich ocena jest raczej sceptyczna.

Przez wiedeński układ z 31 września wierzyciele zachodni dali PRL nieco oddechu w jej obecnych trudnościach płatniczych, podobnie jak przy regulacji długów państwowych i przez państwa zachodnie gwarantowanych (również tylko z zapadłością w roku 1981) na podstawie protokołu paryskiego z 28 kwietnia. Zasady obu układów są te same, z tą tylko różnicą, że w zakresie długów państwowych PRL zobowiązana została do spłaty w tym jeszcze roku 10 % kredytów, a w zakresie kredytów bankowych tylko 5 % i to z przesunięciem tej płatności do roku 1982.

W obu płaszczyznach otwarta jest nadal sprawa konsolidacji zobowiązań z zapadłością w roku 1982 i w latach następnych. Ma ona być załatwiona generalnymi i zasadniczymi układami w grudniu 1981. Nad skonkretyzowaniem definitywnego układu bankowego pracuje nadal *Task Force*. Prace koordynowane są w Zurychu w siedzibie *Schweizerischer Bankverein*-u. Inna grupa banków zabiega o dokładne ustalenie sum dłużnych, gdyż komitet *Task Force* stale jeszcze operuje szacunkami.

Ważnym i zasadniczym punktem i warunkiem zawarcia definitywnych układów jest dostarczenie przez PRL dokładnych informacji o sytuacji gospodarczej kraju i planach opanowania kryzysu. Wierzyciele zagraniczni domagają się m.in. przedłożenia wiarygodnych bilansów płatniczych PRL nie tylko z Zachodem ale i ze Wschodem, tzn. z krajami socjalistycznymi. *Neue Zürcher Zeitung* z dnia 2 października pisała: „Jeśli bilanse te nie będą doręczone w formie kwalitatywnie zadowalającej, zawarty w Wiedniu układ dla długów 1981 będzie pustym dokumentem i pozornym tylko sukcesem. Tylko pod warunkiem, że Warszawie uda się pod tym względem zadowolić banki zachodnie może zostać otwarta droga do ostatecznego układu, przewidywanego najwcześniej na grudzień tego roku”.

Janusz RAKOWSKI

Zurych, 6 października 1981

Akcja pomocy dla Polski

Katastrofalna sytuacja żywnościowa w Polsce spowodowała wielką falę pomocy w żywności i lekach w całym wolnym świecie. Pomoc ta płynie

przede wszystkim do władz PRL, Episkopatu, „Solidarności” i PCK. Ponieważ jednak płynie wieloma różnymi torami, trudno sporządzić dokładny jej wykaz. Ponadto szereg organizacji społecznych ze względów nie bardzo zrozumiałych nie podaje rezultatów swych akcji.

Próbujemy w miarę zbieranych informacji podawać szczegóły tych akcji i apelujemy do naszych Czytelników o nadsyłanie danych. Ich opublikowanie skłoni może czynniki społeczne w kraju do ujawnienia, jak ta pomoc jest wykorzystywana.

EUROPEJSKA WSPÓLNOTA GOSPODARCZA

Wspólny Rynek Europejski zdecydował dostarczyć Polsce następujące produkty:

	ton		ton
a. Produkty mleczne		owies	30.000
masło	40.000	żyto	50.000
mleko pełnotłuste w proszku	5.000	ryż	20.000
mleko odtłuszczone	30.000	przetwory zbożowe	35.000
ser	5.000	przetwory o składzie mieszanym	200.000
b. Mięso		d. Cukier	100.000
wołowina	45.000	e. Rośliny oleiste	
wieprzowina	55.000	nasiona rzepaku	90.000
c. Zboża i kasze		oliwa z oliwek	600
pszenica	272.000		
jęczmień	456.000		

Polska zrezygnowała:

- z mleka odtłuszczonego, przetworów o składzie mieszanym i nasion rzepaku prosząc w zamian o 20.000 t mięsa i 145.000 t zboża;
- z owsa, prosząc w zamian o 34.000 t jęczmienia;
- z 15.000 t przetworów zbożowych i 45.000 t cukru. W przypadku tych ostatnich dwu pozycji nie wiadomo, jakie towary Polska pragnie otrzymać w zamian.

Komisja Zarządzająca EWG ogłosiła w Brukseli szczegóły trzeciej transzy dostaw taniej żywności dla Polski. Transza ta ma dotrzeć do kraju około Bożego Narodzenia.

Dostawy te obejmą: 275.000 t pszenicy, 25.000 t jęczmienia, 10.000 t ryżu, 10.000 t wołowiny, 5.000 t masła i 30.000 t cytryn.

Wszystkie te artykuły będą sprzedane po cenach o 15 % niższych od światowych i na kredyt, którego szczegóły są uzgadniane z poszczególnymi państwami członkowskimi Wspólnego Rynku.

NIEMCY ZACHODNIE

Do końca lipca br. pomoc społeczeństwa niemieckiego wyraża się kwotą ok. 50 mln DM. 15 % - 20 % tej sumy to wartość lekarstw. Prywatna pomoc jest organizowana przez akcje katolickie we wszystkich większych miastach, Caritas (5,8 mln DM), organizację katolicką Pax Christi we Frankfurcie, organizację „Kirche in Not” i Kościół ewangelicki. Osobno działa Fundacja im. Maksymiliana Kolbe (Fryburg), która opiekuje się w Polsce 4,5 tysiącami kacetowców, którzy niczego nie otrzymali z puli 1,3 miliarda DM, jakie PRL dostała od RFN na odszkodowania dla b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Pieniądze te poszły na inne cele, część została rozkradziona i roztrwoniona. W tym roku Fundacja wyda ok. 5 mln DM. Pieniądze pochodzą wyłącznie z kolekt przed kościołami katolickimi.

Paczki żywnościowe wysyłane przez wyżej wymienione organizacje lądują prawie wyłącznie w kuriach biskupich, rozdzielają je ponadto PCK i Polski Komitet Pomocy Społecznej. Wartość paczek wysyłanych pocztą z RFN przez prywatnych ludzi na prywatne adresy jest oceniona w pierwszym półroczu na sumę 20 mln DM. W sumie do końca lipca br. pomoc z RFN wynosi ok. 75 mln DM.

Do końca br. najnowsze kredyty rządu RFN udzielone Polsce na zakup żywności (z puli EWG) i różnych towarów na rynku niemieckim w 1981 wyniosły 700 mln marek.

Banki prywatne w RFN nie udzielają obecnie żadnych kredytów krajom wschodnioeuropejskim.

Z zachodniemieckich kół bankowych dowiadujemy się, że rząd RFN po cichu zapłacił prywatnym bankom — wierzycielom Polski — 1,1 mld marek z tytułu rządowej gwarancji na udzielone PRL kredyty na zakup towarów w ubiegłych latach.

Rząd RFN nigdy już tych pieniędzy nie otrzyma z powrotem. Banki prywatne straciły na tej transakcji 15 % plus odsetki.

Polska jest zadłużona w RFN na sumę 4,46 mld dolarów (rząd gwarantował z tego 1,81 mld dolarów).

FRANCJA

1. Kredyty udzielone w 1980 roku

- 750 mln franków na zakup półproduktów;
- 1.550 mln franków na zakup zbóż (1,650 mln t) i żywności (kampania od sierpnia 1980 do lipca 1981);
- 1.250 mln franków na re-finansowanie spłat przypadających w 1980 roku z tytułu pożyczki gwarantowanej (Francja jest jedynym krajem, który się podjął takiego re-finansowania) — czyli ogółem ponad 3,5 mld franków.

2. Pomoc Francji dla Polski w roku 1981

- Tytułem umów bilateralnych:
 - Kredyty wysokości 900 mln franków na zakup półproduktów;
 - 150 mln franków na zakup 1.200.000 t zbóż w toku kampanii sierpień 1981 - lipiec 1982;
 - bezpłatne dostawy (sierpień 1981) leków i 3.000 t gruszek (wartość pomocy ok. 3 mln franków).
- b) W ramach pomocy Wspólnego Rynku:
 - Kredyty wysokości 500 mln franków na zakup 200.000 t zbóż i rozmaitych produktów żywnościowych (mięso, masło, cukier...);
- c) 1.980 mln franków na re-finansowanie spłat przypadających w 1981 roku z tytułu pożyczki gwarantowanej;
- d) Poprawa warunków finansowania:
 - Obniżenie z 15 % do 5 % obowiązkowych zaliczek na zakup półproduktów i towarów rolniczo-żywnościowych (maj 1981);
 - likwidacja zaliczek na niedostarczone jeszcze zboża i żywność (kampania 1980-1981) i obniżenie do 5 % obowiązkowych zaliczek przy zakupie zbóż w kampanii 1981-1982 (decyzja premiera Francji z 5 sierpnia 1981) — czyli ogółem na rok 1981 pomoc wartości ok. 4,5 mld franków.

Spośród krajów zachodnich Francja jest — obok Stanów Zjednoczonych — krajem, który udzielił Polsce największej pomocy na najkorzystniejszych warunkach¹.

Jeśli idzie o pomoc społeczną, to działają tu:

— Comité National „Noël pour la Pologne” (któremu przewodniczy Geneviève de Gaulle Anthonioz). Od grudnia 1980 do sierpnia 1981 komitet ten zebrał 1.900.000 franków. Wysłano za to na ręce Episkopatu polskiego 364 t żywności, mleka, pożywek dla dzieci.

— Secours Catholique. Od grudnia 80 do sierpnia 81 wysłała 330 t darów na sumę 3 mln F. Dary te miały być rozdzielone przez Episkopat w 13 miastach Polski.

Association St. Vincent de Paul. Od stycznia do 31 lipca 81 organizacja ta wysłała do Polski lekarstw i żywności na sumę 53.993,57 F, w tym dużo darów firm farmaceutycznych.

Polska Misja Katolicka. Odmówiła informacji.
Francuskie związki zawodowe. Brak danych.

WIELKA BRYTANIA

Na terenie Anglii pomocą zajmują się: Skarb Narodowy i Fundusz Pomocy Krajowi pod osobistą kontrolą prezydenta E. Raczynskiego. Brak danych.

Dużą akcję żywnościową zainicjował Kościół. Zajmują się nią proboszczowie 42 parafii i Rektorat. Związek Polek prowadzi własną akcję — głównie odzieżową. Dużą i bardzo dynamiczną akcję, kierowaną przez J. M. Krawca i F. Zbijowskiego, prowadzi Polski Ośrodek Katolicki na Ealingu, który ściśle współpracuje z bpem Dominem.

Największa pomoc indywidualna płynie przez liczne firmy paczkowe, które nie podają ani ilości paczek wysyłanych za ich pośrednictwem ani tym bardziej nie zdradzają swych obrotów. Oblicza się, że wynoszą one ok. 2 mln funtów rocznie.

SZWECJA

Zgodnie z tutejszą tradycją rząd nie udziela bezpośredniej pomocy, lecz przyznaje na ten cel dotacje wielkim organizacjom charytatywnym, mianowicie Szwedzkemu Czerwonemu Krzyżowi i organizacji „Rädda Barnen” (Ratujcie dzieci).

„Rädda Barnen” zebrała na pomoc dla Polski 4,5 mln koron, w tym dotację rządową w wysokości 1 mln koron. Suma ta ma być zużyta na zaopatrzenie wszystkich Domów Dziecka w odżywkę, artykuły higieniczne, mydło i proszek do prania. Na tym odcinku „Rädda Barnen” współpracuje z Ministerstwem Zdrowia PRL. Zakupy z własnych funduszy są rozprawdane przez „Solidarność”. Tą formą pomocy ma być objętych 30.000 najuboższych rodzin. Zapotrzebowanie jednak rośnie. W Polsce przygotowano nową listę obejmującą ok. 60.000 dzieci w nagłej potrzebie. Do akcji „Rädda Barnen” dołączyły się Dania, Finlandia i Norwegia. W pierwszych dniach października ofiarowano Polsce 30 t Wasa-Bröd (chleb szwedzki zwany *knäckebröd*, dar producenta). „Solidarność” odmówiła przyjęcia daru, tłumacząc, że w Polsce nie brak chleba. W zamian poprosiła o mleko w proszku. Odmowa ta była przykrym zaskoczeniem i wywołała bardzo nie-

1. Włącznie z kredytami gwarantowanymi z odroczonej terminami płatności (zboża i półprodukty płatne są zazwyczaj natychmiast).

przychylnie komentarze. Sprawa została załatwiona w ten sposób, że Szwedzki Czerwony Krzyż wyraził gotowość przejścia tej partii chleba.

Na sumę 4,5 mln koron składa się, oprócz 1 mln od rządu, 1.200.000 od członków organizacji i innych indywidualnych ofiarodawców, 1 mln zebrany na apel radia szwedzkiego, 850.000 w wyniku zbiórki społecznej na paczki żywnościowe, 450.000 od norweskiej filii „Rädda Barnen” i 250.000 od szwedzkich przedsiębiorstw i rozmaitych stowarzyszeń. Po wizycie w Polsce we wrześniu br. „Rädda Barnen” organizuje zbiórkę na zakup lekarstw, sprzętu medycznego i żywności. Podobną akcję organizują Dania i Norwegia. Polska jest obecnie zagrożona na skutek fatalnego stanu higieny. Na początku października nadeszła z Gdańska wiadomość o wypadkach tyfusu.

Szwedzki Czerwony Krzyż przekazał dotąd Polsce pomoc wartości ponad 5 mln koron. Były to antybiotyki, witaminy, opatrunki i ponad 30 t odżywek dla dzieci. Zdaniem przedstawiciela Czerwonego Krzyża, dostawy te zaspokoily pierwsze ostre braki leków i żywności na najbliższe trzy miesiące. Akcja dotyczy w pierwszym rzędzie starców, dzieci, chorych i inwalidów. Pomoc, w której pośredniczy PCK, napotyka jednak na szereg trudności. Szwedzki Czerwony Krzyż jest statutowo obowiązany do współpracy z zagranicznymi Czerwonymi Krzyżami. Tymczasem okazało się, że PCK nie opiekuje się ani dziećmi, ani chorymi w szpitalach i że przeznaczonych dla nich darów przyjąć nie może. Podlega mu jedynie opieka nad ludźmi starymi, przeważnie samotnymi, żyjącymi w złych warunkach materialnych i podlegającymi opiece społecznej. Dziećmi zajmuje się TPD. PCK nie przyjął zatem pomocy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża dla potrzebujących dzieci w Polsce, tj. leków, mleka, odzieży itp., twierdząc zresztą, że nie ma na nie zapotrzebowania. Po długich naciskach zgodził się przyjąć dary dla starców. Jeśli chodzi o leki, to mógłby je przekazać polskiemu Bankowi Leków, odmówił jednak pośrednictwa, twierdząc, że nie widzi takiej potrzeby. Nie wyraził natomiast zastrzeżeń, żeby zajęła się tym „Solidarność”. Z „Solidarnością” jednak Szwedzki Czerwony Krzyż współpracować nie może, gdyż nie pozwala mu na to statut. W efekcie PCK blokuje szwedzką pomoc dla Polaków.

W lipcu br. powstał w Sztokholmie oddział Banku Leków. Założono komitet w składzie 20 osób, głównie lekarzy i pracowników służby zdrowia. Komitetowi przewodzi dr Joanna Sokółowska. Komitet nawiązał kontakt ze szwedzkimi organizacjami i firmami farmaceutycznymi, związkiem zawodowym lekarzy i związkiem zawodowym pracowników służby zdrowia. Szwedzki związek metalowców obiecał pomoc w zbieraniu sprzętu medycznego w fabrykach, które go produkują. Na ostatnim zebraniu komitetu uchwalono, że w pierwszym rzędzie należy do kraju wysłać leki podstawowe, których dotkliwy brak odczuwa się we wszystkich szpitalach. Dwie listy otrzymane od Banku Leków w Polsce zawierały w dużej mierze leki drogie i ekskluzywne, rzadko używane. Sztokholmski oddział Banku Leków wysłał ostatnio na prośbę Banku Leków w Polsce dwie pompy do sztucznej nerki dla Szpitala Zespołowego w Siedlcach.

Również w Kopenhadze powstał Bank Leków współdziałający z Caritasem.

Polska Centrala Farmakologiczna (CEFARM) ma właściwie monopol na sprowadzanie leków. Przedstawiciele tej instytucji powiedzieli jednemu z wysłanników ze Sztokholmu, że w tej chwili nie mogą przyjąć napływających z zagranicy nowych leków, ponieważ ich magazyny są pełne (!); tymczasem lekarze i aptekarze zgodnie stwierdzają katastrofalny brak lekarstw. Rozsądniejsze stanowisko zajęli przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Dostarczyli oni do Banku Leków w Sztokholmie nową, rozszerzoną listę brakujących leków i sprzętu medycznego. Ale jak będzie wyglądało rozprawdanie? Ze sprawozdań szwedzkich wynika, że cała pomoc szwedzka jest skutecznie paraliżowana przez pecełową biurokrację.

Emigracja polska w Szwecji, licząca ok. 20.000 osób, na ogół niezrzeszonych, niewiele może zdziałać. Jest młoda i na dorobku, bez większych wpływów w społeczeństwie szwedzkim. Jej głównym zadaniem może być zachęcanie Szwedów do większej ofiarności. W tym celu powstało niedawno towarzystwo „Nya Polenhjälpen”, założone przez przedstawiciela polskiego rządu na wygnaniu. Najstarsza w Szwecji organizacja polska, powstała w pierwszym roku wojny Polski Komitet Pomocy, rozpisała zbiórkę wśród swoich członków i zebrała ok. 8.000 koron. Większą część tej sumy przekazano do Polski za pośrednictwem szwedzkiego bpa katolickiego Hubertusa Brandenburga. Poza tym wysłano 15 paczek z odzieżą i środkami sanitarnymi i przekazano przy pomocy członka komitetu, dentysty Jana Żuchowskiego, leki dentystyczne do 2 szpitali w Polsce.

Zywą akcję pomocy prowadzi szwedzki Kościół katolicki. Inicjatywę tę podjął w kwietniu redaktor tygodnika *Katolsk Kyrkotidning* Kaj Engelhardt. Do 1 września zebrano 266.689 koron. Wrzesień dał ok. 30.000. Zebrane pieniądze zostaną przekazane austriackiej organizacji katolickiej Caritas, która kupuje i przesyła żywność do polskiego Episkopatu na ręce bpa katolickiego Czesława Domina. Zgodnie z raportem z Austrii, za szwedzkie pieniądze Caritas zakupiła natychmiast mąkę, kaszę, cukier, olej i inne produkty. Dwa transporty tej żywności dotarły już do Kiele i Olsztyna. Następne mają być skierowane do Katowic i Opola.

Najlepsze skutki daje pomoc, która dociera bezpośrednio do najbardziej potrzebujących, bez pośrednictwa biurokratyzowanych, niekoniecznie państwowych aparatów. Tak np. szwedzka szkoła w Skurup zebrała środki na zakup żywności, konserw, mydła, proszku do prania, pasty do zębów, zeszytów, papieru do pisania, długopisów itp. przedmiotów dla 1.150 dzieci szkolnych z Bogusława pod Szczecinem. W zbiorce uczestniczyło 1.100 dzieci szwedzkich. Transport zawiozło do Polski dwu nauczycieli ze szkoły, która prowadziła akcję. Takich przykładów można by podać więcej.

WŁOCHY

Prócz pomocy finansowej Włochy dostarczyły Polsce 15 tys. ton ryżu i 60 ton oliwy. Nowa, bardzo duża partia ryżu jest w trakcie wysyłki. Wysłano też z Włoch do Polski inne artykuły żywnościowe wartości 6 mln dolarów.

SZWAJCARIA

W Szwajcarii w ramach prowadzonej przez inż. arch. Zdzisława Prgowskiego akcji „Polska w potrzebie” zebrano i wysłano do kraju do 1 września 1981 około 100 ton żywności, ubrań, medykamentów i urządzeń szpitalnych (7 wagonów i 7 samolotów) wartości około 2 mln. szw. franków. Dystrybucją zajmuje się Kościół i „Solidarność”. Ponadto zebrano ponad 140.000 franków w gotówce i spowodowano przyjazd do Szwajcarii 500 dzieci z kraju na wakacje. Jest to akcja prywatna. Obecnie w rządzie federalnym w Bernie rozważana jest sprawa pomocy kredytowej i materiałowej o charakterze państwowym — w tym kierunku idą naciski z różnych stron — ale nie chodzi tu tylko o pomoc dla Polski, lecz w ramach szerszej paroletniej akcji dla krajów głodujących.

Niezależnie od tej wielkiej akcji prowadzone są przez niektóre ośrodki polonijne, np. w Genewie, samorzutne akcje pomocy, skierowane w tej chwili na zbiórki lekarstw od lekarzy i od firm farmaceutycznych. Spotkało się to także z dużym poparciem społeczeństwa szwajcarskiego. Lekarstwa są przeznaczone dla szpitala w Nowej Hucie. Zostanie również nawiązany ścisły kontakt z Caritasem w Szwajcarii w sprawie pomocy na większą skalę.

AFRYKA POŁUDNIOWA

W Afryce Południowej został stworzony Komitet Pomocy dla Polski (Polish Relief Fund). Komitet zebrał do połowy lipca br. 7.524 randów. Żywność w kontenerach oraz lekarstwa wysyłane są do Polski na ręce Episkopatu.

AUSTRALIA

Jak dotychczas rząd australijski nie udzielił jeszcze Polsce większej pomocy. Na razie wyraża się ona tylko w ułatwieniach finansowych zakupu przez Polskę wełny australijskiej. Pomoc Polaków z Australii wyraża się obecnie sumą około 5,5 mln dolarów australijskich, co obejmuje wartość paczek i bonów dolarowych wysyłanych przez PKO, firmy paczkowe oraz akcje zbiórkowe. Tak np. Polacy w Sydney wysłali transporty lekarstw wartości ok. 100 tys. dolarów. Polonia nowozelandzka, w rozpoczętej kilka miesięcy temu akcji zbiórkowej na żywność i lekarstwa, zebrała już blisko 200 tys. dolarów.

KANADA

Według danych szacunkowych akcja zbiórkowa przekroczyła na początku września br. 500 tys. dolarów. Zakupiono żywności na sumę 288 tys. dolarów (jej wartość rynkowa wynosi 650 tys. dolarów, gdyż Kongres Polonii Kanadyjskiej zakupuje żywność hurtowo w wielkich przedsiębiorstwach, które dodatkowo udzielają specjalnego rabatu). Lekarstw wysłano na sumę 38 tys. dolarów. Żywność jest wysyłana do Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski, lekarstwa są wysyłane na podstawie zamówień Służby Zdrowia „Solidarności”.

NOWA ZELANDIA

Zebrano na pomoc dla Polski 60.00 dolarów. Brak szczegółów.

STANY ZJEDNOCZONE

Mimo naszych zabiegów i otrzymanych obietnic, m.in. od redakcji *Pomostu* w Chicago, do chwili zamknięcia numeru nie dostaliśmy informacji. Postaramy się podać te dane w numerze grudniowym.

KRAJE SOCJALISTYCZNE

Pomoc finansowa dla Polski krajów socjalistycznych (według informacji Polaków udzielonych podczas zebrania *Task Force* w Paryżu 9 września 1981).

— Kredyty w dewizach na korzystnych warunkach	400 mln \$
— Kredyty w dewizach na warunkach normalnych	250 mln \$
— Re-finansowanie kredytów w dewizach przyznanych na rok 1980 (spłaty począwszy od 1985 r.)	750 mln \$
— kredyty w rublach, w toku negocjowania, na pokrycie deficytu handlowego z ZSSR w 1981 r.	470 mln \$
— Kredyty dodatkowe (w rublach) na rok 1981, o które Polska się zwróciła do ZSSR	1.620 mln \$

ogółem: 4.515 mln \$

Kredyty te zostały — lub zostaną — przyznane przede wszystkim przez ZSSR. Warunki kredytów (terminy płatności, stopa oprocentowania) nie zostały sprecyzowane.

Ekonomiczna i finansowa pomoc udzielona Polsce w 1981 przez pozostałe kraje RWPG nie jest znana. Podobno przybiera ona przede wszystkim formę dodatkowych dostaw i zgody na deficyt w wymianie handlowej z Polską.



Z przykrością należy stwierdzić, że ani Episkopat, ani „Solidarność”, ani polski Czerwony Krzyż nie podają informacji ani o otrzymywanej pomocy ani jak została ona rozprowadzona.

Czynnikami rządowe naturalnie również niczego nie ogłaszają, ograniczając się jedynie do reklamowania pomocy Związku Sowieckiego. O stanowisku władz PRL świadczy zamieszczony poniżej komunikat:

Komisja Charytatywna Episkopatu polskiego została zawiadomiona w dniu 16. 10. 81 przez Główny Urząd Cef w Warszawie (pismo KCLL 411-8 QP/81), że napływające z zagranicy lekarstwa, narzędzia lekarskie i urządzenia sanitarne będą zwalniane od cła jedynie, jeśli będą adresowane na Ministerstwo Zdrowia, wojewódzkie wydziały zdrowia, szpitale i kliniki lub CEFARM. Wyłącza to z akcji zarówno Komisję Charytatywną jak i Solidarność oraz wszelkie inne instytucje poza wyżej wymienionymi.

KWARTALNIK POLITYCZNY

ANEKS 24/25

KULTURA — NAUKA — POLITYKA

W numerze m.in.: *SIERPIEŃ 1980.*

A. SMOLAR: Paradoxy liberalizacji i rewolucja; J. JEDLICKI: Forma i treść „umowy społecznej”; W. KASTOR: Reakcja wschodniemiecka na wydarzenia w Polsce; DOKUMENTY: Analiza KC PZPR głównych założeń programowych NSZZ „Solidarność”; A. ŻABIŃSKI: Od-nowa członka Biura Politycznego; Z. MŁYNARZ: Mróz idzie od Kremła.

*SYTUACJA GOSPODARCZA POLSKI
A ZACHÓD*

R. PORTES: Polski kryzys — alternatywy polityki gospodarczej Zachodu; S. GOMUŁKA: Zachód zwleka z decyzją.

WYWIAD ANEKSU: B. TORUŃCZYK rozmawia z A. ZINOWIEWEM; L. KOŁAKOWSKI: Ludobójstwo i ideologia; J. KOTT: Góra i dół albo o wieloznacznościach Prometeusza; K. DOROSZ: Dylematy neomanichejskie czyli spór o gnidy i anioły; K. JELEŃSKI: Kultura — Polska na wygnaniu; A. BURGESS: Dzieci Bakunina; J. SADOWSKI: Demokracja a współczesne idee emancypacji; A. MAZUR: Literatura rosyjska — podcinanie najzdrowszej gałęzi; *NOTY I REFLEKSJE.*

Rocznie 4 numery — US \$ 16,50, FF/Skr 65,00, w Wielkiej Brytanii — £ 7,00.

Zamówienia wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

ANEKS, 61 Dorset Road, London W5 4HX, England

Widziane inaczej

Przez odwróconą lornetkę

Niemcy, 6 października 1981.

Machnąłem sobie kółeczko po malutkiej Europie czyli po przesławnym Zachodzie. Paryż - Kolonia - Bonn - Düsseldorf - Monachium - Zurych - Paryż. Szczyty organizacji, perfekcji technicznej, punktualności w tych Niemczech — uderza to od razu, nawet w porównaniu z francuskim miłym bałaganikiem — nie takim naturalnie jak w Polsce, ale także już swojskim, bo socjalistycznym. Frank francuski dostał po główce, akurat jak tu jestem — czemuż ja, biedny sowieciarz, cierpieć mam za winy innych?! Winy, tudzież brak doświadczenia i elementarnej wyobraźni — boć nawet dziecko we Wschodniej Europie wie, że jak się nacjonalizuje przemysł i zatrudnia do tego setki tysięcy nieprodukcyjnych urzędników, rozdymając budżet państwa, a rezygnując z indywidualnych bodźców gospodarczych, to skutek musi być wiadomy. Sto razy sprawdzono rzecz na Wschodzie, teraz Francuzi chcą ją sprawdzić na Zachodzie. Proszę bardzo, ale dłaczegóż, na Boga, wtedy, kiedy mnie to przyniosło? Z deszczu pod rynnę?! Cóż za ironia losu!

Francuscy socjalistyczni ministrowie najwyraźniej zapomnieli o prostej sprawie, że jak się jest w zachodnim bloku monetarnym, stanowiącym jeden system naczyń połączonych, to nie można skakać na własną rękę, bo od razu jakiś sąsiad zareaguje: dziura otwarta w jednym miejscu automatycznie dotyczy wszystkich. Nie da się widać budować socjalizmu między kapitalizmami. No i oto sąsiedzi zareagowali, obniżając franka. To była obniżka „dobrowolna”, a teraz już, po tym sygnale, poleci inflacja wewnętrzna, spontanicznie katastrofalna. Oj, jak poleci...

Tymczasem Niemcy z Bundesrepubliką, nie krzycząc dużo o socjalizmie, wchłonęli w produkcji 45 milionów ubogich cudzoziemców i mimo to owa produkcja idzie, wszyscy się jakoś nadal mieszczą w jej precyzyjnym mechanizmie. Kto tu lepszy socja-

lista? A jakże imponuje „internacjonalizm” takiej Kolonii, gdzie co trzeci chyba człowiek jest cudzoziemcem, a na kolorowym deptaku *Hohe Strasse* słyszy się wszystkie języki świata. Po hitlerowskim rasizmie i ksenofobii ten uniwersalny kiermasz zadziwia. A więc wszystko jest możliwe i to zaledwie po paru dziesięcioleciach?!

A i Polaków tu mnóstwo i coraz to więcej: z rozmaitych wyjazdów tudzież proveniencji, z akcji łączenia rodzin, potem z akcji dzielenia rodzin, ostatnio ze specyficznej akcji „na wariata”. Kto wie, czy ten napływ polskości to nie jest nasz spontaniczny wkład w finlandyzację Europy Zachodniej?! Czapkami zarzucimy...

Bo o finlandyzacji mówi tu każdy, a pacyfistyczne i antyamerykańskie manifestacje młodzieży, wsparte coraz bardziej neutralistycznymi i prosowieckimi przemówieniami Brandta sprawiają, że finlandyzacyjne widmo wydaje się tuż, tuż, *ante portas*. Widziałem antyneutralistyczny afisz CDU, przedstawiający ugotowanego na czerwono homara z napisem: „*Lieber rot als tot* (lepiej być czerwonym niż martwym) — zawołał homar, skacząc do gorącej wody”. Ale coraz to więcej młodzieży chce tak skoczyć, rozbroić się na pokaz i czekać Bożego zmiłowania. — To wynika z faktu, że młodzież nasza zupełnie nie zna historii — powiedział mi pewien stary i szacowny polityk CDU, bezradnie rozkładając ręce. Istotnie, niewiedza tej młodzieży jest wręcz niebotyczna, piramidalna, a jej pacyfizm przypomina jako żywo Francję i Anglię z lat 1938-39. Gdy zwróciłem mojemu rozmówcy uwagę, że polskiej młodzieży też nie uczono historii, a jednak w niedługim czasie dowiedziała się wszystkiego, odpowiedział mi dosłownie: — Tak, ale zachodzi tu zasadnicza różnica, po prostu Polacy są NARODEM. Te słowa w ustach Niemca...

Entuzjazm wobec Polski jest tu naprawdę powszechny, choć nie idzie na ogół w parze z rozległą wiedzą. Wydaje się, iż Niemcy włożyli tyle wysiłku w precyzyjną, techniczną organizację życia, że nie starcza im już siły na podobną precyzję w myśleniu politycznym. Czują to, mają nawet kompleks niższości, grałem tam więc politycznego proroka, którego słowa spijano wręcz z ust, choćby nawet mówił ot tak, od niechcenia. Miła rola, starałem się, aby nie była zbyt blagierska (rekordy w blagierstwie, innego zresztą typu, pozostawić trzeba naszym oficjalnym dziennikarzom i pracownikom ambasad — ci to jeszcze nie nauczyli się niczego).

Ale zaiste, wdzięcznych słuchaczy i rozmówców ma się w Niemczech mnóstwo. We Francji Polak może mieszkać pięć lat i pies go o nic politycznego nie zapyta, nawet popijając z nim wino. Tutaj po paru zaledwie dniach pobytu telefon się urywa od propozycji, urzędowych i nieurzędowych, od zaproszeń na wykłady, odczyty, dyskusje. Oni graniczą ze Wschodem, wiedzą to ciągle, czują, że to bliska problematyka, może niedługo ICH problematyka?

Jeden z najwybitniejszych polityków niemieckich wygłosił do mnie mowę o tym, co się od roku dzieje w Polsce. Powiedział mniej więcej to wszystko, co ja wiem i myślę — byłem nawet zdziwiony, bo sądziłem, że kto jak kto, ale on wie więcej. Choć niby skąd ma się wziąć wiedza u polityków, zajętych tu bez przerwy rozmaitymi wyborami? (Coś jak w „Solidarności” — to widać główne zajęcia wszelkich demokratów). Potakiwałem mu gorąco, bo mówił serdecznie i z przejęciem. Zaoponowałem dopiero, gdy zakończył obrzędowym już tutaj czy wręcz sakralnym podwójnym apelem. Żeby mianowicie: a) zachować ostrożność; b) wziąć się do pracy.

Nie ma zgody, mopanku! — chciałem zawołać, cytując „Pana Tadeusza”, zamiast tego jednak (jako że nie byłoby zrozumiane) zacząłem długo tłumaczyć rzeczy nieproste — spraw prostych w zawiłanej przez dziwaczne rządy komunistów Polsce w ogóle dziś nie ma. Proste rzeczy są w kapitalizmie: pracujesz i zarabiasz albo nie pracujesz i nie zarabiasz. U nas inaczej, inaczej, inaczej...

Na „ostrożność” jest już za późno — wywodziłem — to co się stało u nas od roku przekonało już Rosjan 100 razy, że Polska im się ustrojowo wymyka. Wystarczyło na to choćby jednego Zjazdu Partii z jego nieuzgodnionymi przemówieniami i głosowaniami. Jeśli Rosjanie mimo to nie interweniowali, oznacza to, że uznali sytuację międzynarodową i w ogóle wszelką za niesprzyjającą. Błędem jest przypuszczenie, że ich interwencja zależy od zdenerwowania się takim czy innym prowokacyjnym „przejęciem pały” w Polsce. To nie są nastrojowcy lecz logicy: jak zechcą, zrobią awanturę o jeden drobiazg, jak nie zechcą, nie dostrzegą nawet stu prowokacji...

Skoro więc powodów do interwencji jest już sto, ostrożność czy brak ostrożności nie ma obecnie znaczenia, podobnie jak nieważne jest, czy świat zginie od jednej czy od stu bomb wodorowych. Wobec czego trzeba póki czas „uciekać do przodu”, utrwalając POLITYCZNE osiągnięcia tego, co się w Polsce zdarzyło. Już po paru końcowych miesiącach roku 1980 jasne się okazało, że proces rozpoczęty przez „Solidarność” przestał być ruchem związkowym, działającym w imię obrony materialnych interesów robotniczych (wobec ogólnej plałty nie bardzo jest czego bronić), a stał się ogólnonarodowym zrywem protestu przeciw rządowi doktryny marksistowskiej w leninowsko-stalinowskiej wersji. Co bystrzejsi działacze „Solidarności” szybko zorientowali się, że ruch ich nie może być apolityczny ani stronić od reform gospodarczych — inaczej zastąpi go kto inny. Tyle, że w „Solidarności” nie widać konkretnego, śmiałego programu reform POLITYCZNYCH. Mają, owszem, ogromne osiągnięcia negatywne, sukcesy destrukcyjne, jak wyrzucenie ekipy Gierka, likwidacja CRZZ-u, przełamanie cenzury, wyswobodzenie młodzieży z kleszczy uczelnianych biurokracji etc., etc. Lecz konkretnych osiągnięć instytucjonalnych, gruntujących nową rzeczywistość, dotąd prawie nie ma. Gospodarka i jej reforma pozostawione są

nadal w rękach partyjnej biurokracji i inteligencji z minionych okresów, sejm, stanowiący nowe ustawy, to jeszcze sejm wybrany przez Babiucha i Gierka, pluralizm polityczny jest nadal fikcją i fasadą. „Solidarność” doszła już, zdaje się, do kresu swych politycznych możliwości, potwierdzeniem tego jest wybór Wałęsy, a jego spór o... cenę papierosów to symbol metody, leczącej skutki miast przyczyn choroby. Skoro więc „Solidarność” nie potrafi czy nie chce przeprowadzić zasadniczych reform ustrojowych, a dynamika narodowego zrywu prze ku temu, rzecz przeprowadzi kto inny. Kto? Nie wiem, lecz wierzę, że w Polsce stoimy u początku procesu w rodzaju Rewolucji Francuskiej: jest czas Żyrondy, będzie miejsce na jakobinów, Dyktoriał, Konsulat, ba — Bonapartyzm może. Bo w trwałość parlamentarnych zabaw u nas nie wierzę, to nie ta pora — wyżyją się ludziska i dadzą spokój.

Cały ten rewolucyjny proces może oczywiście ulec przerwaniu — przez Rosję. Ale na to nie mamy wpływu — wywodziłem dalej moim rozmówcom — i „ostrożność” czy brak takowej nie ma tu nic do rzeczy. Rosjanom tłumaczyć należy tylko — a w tym celu trzeba skończyć z monopolizowaniem rozmów z Kremlm przez partyjną górę — że autofinlandyzacja Polki niczym im nie grozi, przeciwnie, może być nowego rodzaju atutem: lepsze są wszakże atuty realne od fikcyjnych. Rzecznik sowiecki Falin powiedział kiedyś, że nawet kraj kapitalistyczny mógłby być członkiem Paktu Warszawskiego. Przytrzymajmy go za słowo! Utopia, powie ktoś? Możliwe, ale utopie, jak choćby ta marksistowska, bywały już potężną dźwignią historii, a lepszej utopii nie mamy.

Tak więc „nawijałem” i „trułem” znajomym Niemcom w kwestii ostrożności. Tezy o zaczynającej się dopiero polskiej rewolucji niezbyt ich brały, natomiast rozważaniem geopolitycznym o pozostawaniu w Bloku Wschodnim mimo ewentualnej zmiany ustroju potakiwali gorliwie — oni na to jak na lato i każda kolaboracja ich cieszy.

Z kolei brałem się do owego drugiego przykazania, że „trzeba wziąć się do pracy”. Kto się ma wziąć i do jakiej?! — zapytywałem. Komunizm odczytał ludzi od samodzielnej pracy produkcyjnej, nawet miliony robotników z „Solidarności” chcą tylko mieć państwową posadę i spokój. Ale w których fabrykach pracować a które zlikwidować, jako nieopłacalne? I kto ma o ich nieopłacalności zdecydować? Przecież nie półmilionowa rzesza urzędników socjalizmu, broniących swej racji istnienia i swej „nomenklatury”. Ci oby najmniej pracowali, za to chłopci i samodzielnymi wytwórcy oby jak najwięcej. Tylko kto im obali bariery krępujących przepisów i ustaw, narosłe i uświęcone przez 35 lat rządów socjbiurokracji?! Reforma polityczna musi poprzedzić pracę, dać do niej duchowy, autentyczny impuls, inaczej znów praca owa może pójść na marne. „Solidarność” dała pierwszy rewolucyjny impuls do wyzwolenia duchowego, kto da następny impuls, ku wyzwoleniu materialnemu, wyzwoleniu

twórczej pracy gospodarczej? Zasłużony KOR się rozwiązał, nie bardzo wiem, co to znaczy. Zawsze żałowałem, że KOR rozpuścił się w „Solidarność”, zamiast pozostać samodzielną trzecią siłą. Widać nie mogli się oprzeć marksistowskiej jeszcze magii „ruchu robotniczego”. Wydaje się, że ci młodzi chłopcy oraz starsi panowie, tak wspaniale i solidarnie działający w okresie półkonspiracji, dziś nie bardzo wiedzą, co ze sobą zrobić. A więc — „trzeba nam szukać nowego płomienia” — jak powiedział Ignazio Silone.

Francuzi przekonują się dziś, że trudno budować socjalizm w otoczeniu kapitalistycznym. Czy Polacy mają się przekonać, że jest również *vice versa*? Zaiste, trudno jest budować kapitalizm bez kapitału, a pożyczone kapitały zmarnowaliśmy, a raczej zmarnowali je ONI w naszym imieniu. Może jednak uda się zmontować między Bugiem a Odrą coś nowego, jakieś Państwo Pracy, ale sensownej i dochodowej? W każdym razie Eksperyment Polski, choć ledwo się zaczął, trwa i będzie trwać — jego dynamiki nie powstrzyma czepiająca się kurczowo resztek władzy i trzęsąca się przed Moskwą szczątkowa elita partyjna. Tak syntecznie, skrótowo widzę dziś cały ów proces, obserwując go z Zachodu, jak przez odwrócone szkło lornetki.

KISIEL

LESŁAW JUREWICZ ZBRODNIA CZY POCZĄTEK WOJNY DOMOWEJ

*Pierwsza książka o wojnie domowej z komunizmem
w Polsce w latach 1943-1952*

Rok 1943 i następne. Armia Krajowa, Gwardia Ludowa Polskiej Partii Robotniczej. Narodowe Siły Zbrojne usiłują zniszczyć tyranie w zarodku. Walki bratobójcze. Sowietcy partyzanci po stronie Gwardii Ludowej. Bezpośrednia interwencja wojsk NKWD i Czerwonej Armii. Pomimo olbrzymiej przewagi komuniści wojny nie wygrali. Podziemie z własnej woli zaprzestało walki i rozwiązało większość oddziałów leśnych i placówek. Tylko nieliczne uległy zniszczeniu lub rozproszeniu. Siły Zbrojne Polskiej Partii Robotniczej i interwencja sowiecka wprowadziły do walki artylerię, broń pancerną i lotnictwo. Ostatnie oblawy: wiosna 1956.

Bogata dokumentacja i dwie mapy sporządzone przez Sztab Główny Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego w Warszawie.

Do nabycia u autora:

Lesław Jurewicz
528 West 111th Street
New York, N.Y. 10025, U.S.A.

Cena wraz z przesyłką \$ 12.

Wysyłka poza Stany Zjednoczone pocztą lotniczą.

Kronika kulturalna

Marek Oberlaender

Gdy dziś myślę o Marku Oberländerze, powracam do 1946 roku. Były to nasze wspólne początki w liceum Sztuk Plastycznych, potem na ASP w Warszawie.

Marek wojnę przeżył w Rosji. Był kontuzjowany na froncie, potem odstawiono go na tyły. W roku 1946 wrócił do kraju. W rodzinnym Szczercu na Podolu nikt z jego rodziny nie ocalał. To że po powrocie zdecydował się być malarzem, nie było sprawą wyboru zawodu, czy kariery. Była to próba ocalenia.

Ciągnęło mnie do niego to, że był bardziej dojrzały od reszty, czułem jego wolę, aby być malarzem. Malował „wściekle”, chciał natychmiast złapać „sekret malarstwa”. Nie poprzez mozolne dobijanie się, ale już teraz, w tej chwili!

Ta jego postawa irytowała wielu. Na ASP w Warszawie wykładali wówczas prawie wyłącznie kapiści, albo ich satelici. W szkole żądano kopiowania, w tym wypadku postimpresjonizmu w polskim wydaniu. Potem socrealizm. Nie pasowało to do Marka, było bezużyteczne wobec jego doświadczeń. Nosił w sobie wolę, aby właśnie je przekazać.

W Akademii przenosił się z pracowni do pracowni, nigdzie nie znajdując zrozumienia. Początkiem był cykl litografii, zaczętych gdzieś w latach 1952-1953, na temat najbardziej mu bliski: zagłady narodu. Cykl litografii i rysunków, a potem i obrazów „Nigdy więcej getta”.

Środowisko z miejsca wrzuciło to w „ekspresjonizm”. W Warszawie określenie brzmiało jak wyrok. Tak ze strony kolorystów, jak i socrealistów. Pamiętam uwagi na jego temat: „No dobrze, niech sobie robi tych Żydów, ale kiedy on nareszcie zacznie malować?”.

W latach pięćdziesiątych spotykano na wystawach oficjalnych obrazy na temat martyrologii żydowskiej, jeden ze stu czy dwustu tematów, które na powielaczu były podane do wiadomości

plastyków przez ministra Sokorskiego. Ale wykonanie musiało być heroiczne, monumentalne. Z akcentem na lewy brzeg. Obrazy były od razu chybione.

Marek wziął rzecz od środka: codzienność jeszcze żywych, gdzie codzienność oznacza eksterminację. Co jest podniosłe w dziele Marka, to że same egzekucje są nieliczne, w przeciwieństwie do całej martyrologicznej ikonografii. Izolacja, głód, napiętnowanie, poniżenie — oto tematy jego prac. I tu się spełnił. Dziś dobrze widać, że stworzył jedyne w polskim malarstwie dzieło autentyczne na temat zagłady.

Żadna ówczesna szkoła malarska nie mogła mu dać środków wyrazu. Bo treść przerastała każdą formę. Stąd obrazy były chropawe, oparte na czarno-białej ekspresji brutalnych form. I tu doszedł do głosu jego instynkt artysty. Czyż można było w jakichkolwiek znanych kanonach estetycznych przekazać to, co się stało? Obrazy powstawały zbyt blisko otchłani, aby mogły być uznane zarówno przez kolorystyczną czy abstrakcyjną opozycję, jak i przez oficjalny socrealizm. Naruszał wszystkie estetyki. Związał się w tym okresie z malarzami Jankiem Dziendziurą, Jackiem Sienickim oraz z krytykiem sztuki Elżbietą Grabską. To dało początek Arsenau. Grupa zaskoczyła czynniki oficjalne wystawą, która stała się pierwszym wyłomem w estetyce marksistowskiej. Zaskoczenie było duże, ale trzeba obiektywnie przyznać, że „zagrało” także dzięki ówczesnej sytuacji. Stała się rzecz niezwykła, powstał jak gdyby „socrealizm z ludzką twarzą”.

Obrazy Marka były nie tylko wydarzeniem Arsenau, ale miały wkrótce już przejść na stałe do malarstwa polskiego. Pomimo napięć w środowisku i wielu przeciwników, Marek był lubiany. Miał przyjaciół. Dochowali mu wiernie przyjaźni do końca Woroszyński i Pomian, a także inni, którzy wyszli nie tylko z *Po prostu*. Gdy *Po prostu* przejęło lokal wystawowy dawnego IPS-u, ówczesnie przy Teatrze Żydowskim w Warszawie, Marek był najwłaściwszym kandydatem na kierownika tego salonu. Wykazał się bardzo dobrym wyczuciem tego, co wtedy w malarstwie polskim było żywe i co dalej się potwierdza. Zorganizował wystawy takich malarzy jak Nowosielski, Wróblewski, Jaremianka, Kantor, Fangor. Trudno mi dziś dokładnie przypomnieć, kto tam wystawiał, ale zawsze byli to malarze, którzy po dzień dzisiejszy istnieją. Stąd wartość tamtego salonu. Trzeba tu podkreślić, że istniał on poza bezpośrednim zasięgiem Ministerstwa Kultury i Sztuki, ale popierany był przez część inteligencji jako jego liberalny margines. Marek zamienił salon w witrynę otwartą na wszystko, co się podówczas ciekawego w Polsce działo. Ale też prowadzenie salonu ściągnęło na niego ataki i nagonki.

Nie uczestniczył w żadnej z dwóch wystaw tak zwanych „nowoczesnych”, które odbyły się w latach 1957-1959. W euforii polskiego malarstwa zniknął z wystaw. Czyżby za mało był nowoczesny?

Nasze następne spotkanie odbyło się w Paryżu, w 1964 roku.

Miał tu wystawę w galerii „Soleil dans la tête”. Potem w Sztokholmie, Berlinie, Amsterdamie. Był już po drugim zawale, robił wrażenie zniechęconego, utraconego. Zamknął się w sobie, zerwał większość kontaktów. W Warszawie na Smolnej została jego pracownia pełna obrazów. Do Paryża udało mu się przywieźć tylko kilkanaście obrazów i tylko z ostatniego okresu. Z chropawej powierzchni wyrastała figura, znak.

Po ciężkiej chorobie przeniósł się do Nicei. Zniechęcony, nie chciał wracać do Warszawy. Odpychała go panująca tam atmosfera. Mieszkał i pracował w Nicei w kawalerce typu HLM (budownictwa kwaterunkowego). Rytm życia i pracy musiał być regulowany stanem zdrowia. Malował dużo: akwarele, gwasze. W 1974 roku miał ważną wystawę w Bastion Saint André w Antibes. Gdy to piszę, patrzę na akwarelę Marka, którą mi подарował w Nicei. Przypominają mi się jego rzeczy najpierwsze. Czyżby podświadomie się wracało? Czyżby to było potwierdzenie? Czy „wściekle” kolory i beładność stawów w Łazienkach, gdzie jeszcze będąc w liceum robiliśmy akwarele, miała się zrealizować jako plankton w morzu i czerwony zachód na horyzoncie w Nicei? Czytam dedykację na akwarceli: „Najważniejsze, że żyjemy”. Pamiętam, jak siedzieliśmy na plaży w Cap d'Antibes i Marek mówił: „Wiesz, nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak teraz”. Gdy pokazywał mi swoje akwarele, miałem wrażenie, że był to „krzyk” malarza, wydzieranie z wszechświata jeszcze jednej chwili, kiedy się jest.

Moje osobiste stosunki z Markiem były najbliższe w latach czterdziestych i na początku pięćdziesiątych. Potem nie spotykaliśmy się latami, każdy idąc swoją drogą. W ostatnich latach jego życia widywaliśmy się albo podczas jego pobytów w Paryżu, albo podczas moich nielicznych wyjazdów na południe. Na emigracji był mało znany, spotykał się z Herlingiem-Grudzińskim, czy na początku z Józefem Jarema i Gombrowiczem. Cieszyłem się, że po upływie lat, mimo rzadkich spotkań, wróciliśmy do przyjaźni z młodości. W sierpniu 1978, po powrocie do Paryża, zatelefonował do mnie Zygmunt Hertz: „Czy wiesz, że Marek umarł?”. Umarł w lipcu. Mieliśmy się spotkać we wrześniu.

Jan LEBENSTEIN

"Pocztówka kanadyjska z obrazkiem i legendą"

W tym roku wybrałem się po raz pierwszy do Kanady. Obiecywałem sobie od dawna tę podróż i jak się na nią zdecydowa-

łem, poleciałem od razu do Vancouveru, do miasta najodleglejszego od rodzinnej Europy. Startując w Londynie, w oszałamiająco krótkim czasie przeleciałem nad Atlantykiem, poznałem śnieżne góry Grenlandii, tundrę Baffin Island, lodowatą zatokę Hudsona, prerie wokół Edmontonu, szczyty skaliste — i wreszcie Vancouver.

Kiedy ćwierć wieku temu w Londynie ustalałem z kolegami nazwę polskiego pisma literackiego *Kontynenty*, nie mogłem sobie w pełni zdawać sprawy, jak ona okaże się wymowna — że ludzie z tej redakcji rozproszą się wkrótce po różnych kontynentach i że jeden z najbardziej mi bliskich pisarzy — Bohdan Czaykowski — osiedli się dostojnie na drugim końcu świata, właśnie w Vancouver. O jego poezji chcę tu powiedzieć parę słów. Goethe w słynnym sformułowaniu stwierdził, że aby zrozumieć w pełni danego pisarza, należy zwiedzić jego kraj. Jak wszystkie podobne objaśnienia, zdanie Goethego jest oczywiście przesadne, ponieważ bywają poeci, których wyobraźnia twórcza nie jest bynajmniej silnie związana z rodzinnym krajobrazem. Słowa Goethego mają jednak odniesienie do poezji Czaykowskiego i to w sposób bardzo zaskakujący. Czaykowski jest przecież poetą polskim, jego krajobraz rodzinny znajduje się na kresach wschodnich Drugiej Rzeczypospolitej, zaś krajobrazy jego lat dziecińczych leżą w egzotycznych Indiach. A jednak... Jako poeta, Czaykowski jest niesłychanie wrażliwy na przyrodę, tak w jej zarysie ogólnym, jak i w jej najdrobniejszych szczegółach i dlatego od dwudziestu już lat jest piewą ziemi kanadyjskiej. Tytuł jego wyboru wierszy „Point-no-Point” jest nazwą małego cypla na Vancouver Island, a jego najnowsze utwory przesycone są głęboką znajomością topografii, flory i fauny Kanady. Oczywiście Czaykowski osiadł w Kanadzie nie dlatego, że akurat pociągał go tu krajobraz, lecz dlatego, że znalazł na uniwersytecie etat slawisty, ale szczęśliwie się złożyło, że poeta tak czuły na piękno, grozę i różnorodność świata natury przybył do kraju w tak dużej mierze nieujarzmionej przez człowieka.

Być może stworzyłem wrażenie, że Czaykowski jest po prostu zgrabnym pejzażystą, który w słowach maluje góry i lasy, skały i potoki. Więc czas przyjrzeć się tej poezji bliżej.

„Okanagańskie sady!”, pisze Czaykowski,

raje w kotlinach na zboczach suchych gór...
Wstałem rano, z muzyką w skroniach na Ponderosa Point.
Stadko przepiórek szeleściło w liściach.
Runął wiatr, spadły szyszki, wielkie jak miniaturowe katedry.

Pozornie więc mamy inwokację krajobrazu kanadyjskiego. Ale dalej czytamy:

Jeszcze słyszę jak pękają z hukiem granaty perskie.
Jeszcze kradnę uruki uzbeckie.

To już nie Kanada, to burzliwe i tragiczne dzieciństwo poety na zesłaniu w Sowietach i wymarsz z kraju niewoli. A w zakończeniu czytamy: „Przywiązałem się do miejsca”. Jest to zdanie kluczowe, gdyż nawiązuje do znanego utworu Czajkowskiego „Bunt wierszem”, który zaczyna się od słów:

*Urodziłem się tam
Nie wybierałem miejsca
Chętnie bym się urodził po prostu w trawie*

Tak próbował określić swą sytuację pisarza i człowieka młody poeta polski zamieszkały wówczas w Londynie. I jakże znamienita jest jego preferencja: „Chętnie bym się urodził po prostu w trawie”. Właśnie w trawie, a nie w Wilnie, Krakowie, Rzymie czy Paryżu. Trawa rośnie wszędzie i jest jakby najbanalniejszym obrazem przyrody. Więc nie dziwota, że poeta czuje się najlepiej wśród sadów okanagańskich, w których może obserwować pająki, szerszenie, ptaki, zmiany pogody, i na podstawie tych obserwacji budować rozmyślenia o Bogu, miłości i zagadce ludzkiego istnienia. Dlatego też może stwierdzić, że przywiązał się do tego miejsca, dlatego bez żadnej przesady powiada, że okanagańskie sady to są „raje w kotlinach”.

Tęsknota do rajów jest stałym tematem poezji Czajkowskiego, ale poeta jest przecież człowiekiem i dlatego, podobnie jak praojciec Adam, znalazłszy się w rajach — czyli w tym wypadku w krajobrazie Brytyjskiej Kolumbii — cierpi jednak na niedosyt. Pisze więc w innym wierszu:

*Jeżeli brak mi czegoś, to obrazów,
Twarzy patrzących rozumnie, choćby i pośmiertnie,
Błękitnych zamgleń włoskich krajobrazów,
I form rozbitych by jaśniały wnętrzem —
Bo zdarza się, że forma pęka pięknie.*

Przyroda jest piękna, ale w ostatecznym rozrachunku jest niema i wobec człowieka obojętna, dlatego poeta musi z tego złudnego przecież rajów wy dostać się w świat znaczeń, czyli w świat, w którym istnieją inni ludzie, w którym istnieje sztuka, która nawet gdy nie jest udana „pęka pięknie”, gdyż jest próbą wyrażenia czegoś, próbą okiełzania przez formę płynności i nieokreśloności istnienia. Sztuką najbardziej rygorystyczną, najbardziej porządkującą jest chyba muzyka. Nie jest więc przypadkiem, że w tym wierszu, w którym poeta stara się i przeciwstawić i połączyć sztukę i naturę — wiersz nosi tytuł „Zapuciwszy się w głębię małego lasu” — rolę elementu porządkującego spełnia muzyka. Wiersz kończy się jednak powrotem do przyrody, ale już nie przyrody dzikiej, nieokiełznanej. Przecież sam podział pasma zjawisk naturalnych na pory roku wnosi porządek ludzki. Dla podkreślenia sztuczności tego podziału — dlatego na przykład cztery pory roku a nie pięć lub sześć,

dlatego dwanaście miesięcy a nie trzynaście — poeta pisze paradoksalnie, że „Z drzew lecą liście, co jeszcze jeszcze nie opadły”, pisze o „odlotnym ptaku”, który jednak jest „niewidoczny”. Powoli więc krajobraz rzeczywisty, doznany zmysłowo, przekształca się w krajobraz wewnętrzny, krajobraz wyobraźni, krajobraz muzycznego porządku narzuconego przez język, czyli przez ten element, którego brak w przyrodzie, element, który jest wyróżniającą cechą człowieka.

Mija akurat dziesięć lat od kiedy Czajkowski wydał w Bibliotece Kultury swój wybór wierszy. Od tego czasu nazwisko jego znikło prawie zupełnie z łamów czasopism literackich. Podejrzewano nawet powszechnie, że złamał pióro, że się zaszył kompletnie w pracy akademickiej. Moja pielgrzymka do Brytyjskiej Kolumbii okazała się więc owocna nie tylko ze względu na piękno krajobrazu. Sprawdziłem na miejscu, że Czajkowski ma w teczce prawie gotowy tomik wierszy, że wśród nich znajduje się ambitny poemat „Powrót z Toronto”, w którym poeta wykorzystuje tradycyjny schemat podróży, by w ramach jej etapów połączyć opis stale zmieniającego się krajobrazu z refleksjami na różne tematy. Oto epizod tej trwającej podróży:

*Cóż to za miasto tak świeci
i światłami się skupia ku niebu,
rozłożone po wielkiej płaszczyźnie
z krańca mroku aż gdzie mrok się zaczyna
w koronie gwiazdnej kosmosu?*

To Regina.

*A to co za miasto
rzadkimi akcentami blasku
prowadzące do krągłej tundy
na oparach?*

*Mijamy je nie przystając,
niech spoczywa w nocy
jak nietknięta gitara.*

*A teraz całego horyzontu
tuku półkole
na cięciwie pociągu
gra w oczy.
Moja strzała
leci w księżyc zagasty.
Zanim zasną,
nazwę to miasto
Moose Jaw.*

Adam CZERNIAWSKI

zyjemy w okresie większego niż kiedykolwiek oszołomienia umysłów, hipokryzji, która zdołała przełamać nawet pokoleniowe bariery, i intelektualnych sztamp. O jednej z nich Broński pisze:

„Można sądzić, że snobizm antycywilizacyjny jest objawem frustracji i przypuszczalnie nie jest przypadkiem, że szerzy się szczególnie w środowiskach w pewnym sensie marginalnych: wśród przedstawicieli 'nauk słabych', tzw. intelektualistów o niejasnej specjalizacji i studentów. Są to typowe — mówiąc słowami Gombrowicza — kategorie doskakujące i psychologiczna potrzeba kompensacji jest tu zrozumiała, ponieważ jednak są to grupy dysponujące dużym potencjałem hałasu i chaosu pojęciowego, winno się baczyc, by puszczane przez nie w obieg liczmany w rodzaju 'społeczeństwa konsumpcyjnego', 'mentalności mieszczańskiej' czy 'bezdusznego scjentyzmu' nie były brane za dobrą monetę”.

Broński jest emigrantem, publicystą *Kultury* od ponad dziesięciu lat i kiedy czyta się jego „teksty i preteksty”, zdumiewa odporność na cały kompleks politycznych, obyczajowych i intelektualnych mód, panujących od lat na Zachodzie. Przyznam, że ja po wyjeździe z Polski rodziłam się w większych bólach i nie obeszło się bez przymiarek. Ta odporność prowadzi czasem do bagatelizowania problemów (na przykład alienacji, która nie ogranicza się tylko do lenistwa i istnieje realnie, nawet jeśli została zmistyfikowana). I do pochopnych diagnoz. Zatrucie powietrza i wody zostało stwierdzone przez naukowców, nie przez „kudłaczy”, jak ich nazywa Broński, i jest katastrofalne niezależnie od tego, w jakich mętnych politycznie celach „kudłacze” głoszą swoją ekologiczną ewangelię. Antyamerykanizm młodych Europejczyków Broński skłonny jest interpretować jako kompleks niższości wobec Ameryki, co wydaje się zbyt optymistyczne: postawa spowodowana kompleksem wcale nie jest najgłupsza. W końcu najbardziej antyamerykańscy okazali się amerykańscy studenci i intelektualiści.

Zdaję sobie sprawę, że zajmuję się pozornie marginesową stroną książki. Ale ona właśnie nadaje jej decydujący ton, także stylistyczny: osobiste dygresje Brońskiego sprawiają, że *Teksty i preteksty* czyta się jednym tchem i z rosnącym zainteresowaniem. Broński robi wrażenie, jakby był immunizowany na głupstwo i tego mu szczerze zazdroścę. Jestem pełna podziwu dla jego błyskotliwości, odczytania filozoficznego, absolutnej swobody z jaką porusza się po literaturze obcojęzycznej (nie tylko „pięknej”), francuskiej, rosyjskiej, angielskiej, nawet holenderskiej. Szczerze podziwiam umiejętność jasnego, swobodnego i konsekwentnego wyводу. Broński ma poczucie humoru, jest złośliwy, zna się na poezji — cechy, które umykają uwadze, kiedy czyta się jego kolejne artykuły w *Kulturze*. Potrafi być pewny siebie, nawet arogancki, ale nigdy — nawet przeprowadzając najbardziej brawurowo jakąś tezę — nie omdlewa z zachwyty nad sobą, co stało się znamiennej cechą publicystów młodszej daty, krajo wych i emigracyjnych. Krótko mówiąc, Brońskiemu bar-

Książki

Walka o treść czyli walka z głupstwem

*Teksty i preteksty*¹ są lekturą pasjonującą, zarówno przez wybór tematów i autorów jak i przez sposób ich prezentacji. Broński z pożytkiem dla czytelnika ułożył swoją książkę tematycznie, a nie chronologicznie, i podzielił ją na trzy części: *Polska, Rosja, Zachód*. Trudno o sensowniejszy i bardziej klarowny podział. Srodkowa część, objętościowo najskromniejsza, składa się z trzech esejów o charakterze montażu: wprowadzenie do życiorysu autora i problematyki jego twórczości, prezentacja tekstów, komentarz. W pierwszym Broński opowiada o francuskim markizie de Custine, autorze czterotomowego dzieła o Rosji Mikołaja I, w drugim prezentuje rosyjskiego filozofa Bierdijewa, w trzecim — Nabokowa.

Dlaczego Nabokow, jako materiał do rozważań publicysty, którego w dziele literackim interesuje przede wszystkim właściwe postawienie problemów, ich przekładalność na język polityczny i język wartości moralnych? Myślę, że o wyborze Brońskiego zadecydowała konsekwencja i uczciwość intelektualna autora *Lolity*. To, co najbardziej pasjonuje Brońskiego, to stosunek pisarza (filozofa, politologa) do panujących ideologii i myślowych prądów. Klerkizm — rozumiany jako odwaga i jasność indywidualnego, nie przyćmionego kolektywnymi modami widzenia. Dzieło — literackie, filozoficzne, polityczne — jako rezultat wyboru własnej drogi w gąszczu intelektualnych, artystycznych i politycznych pokus. Rozeznanie w rzeczywistości.

Alain Besançon powiedział kiedyś, że jeśli człowiek tak genialny jak Orwell potrzebował paru miesięcy w Hiszpanii, aby na zawsze wyleczyć się z marksizmu, to zwykłemu śmiertelnikowi potrzeba całego życia. Brońskiego interesuje widzenie prawdziwe i fałszywe, przyćmione i czyste. Jest to zrozumiałe, bo

1. Maciej Broński, *Teksty i preteksty*. Instytut Literacki, Paryż 1981, str. 267.

dziej zależy na uczciwej prezentacji autora i problemu niż na popisaniu się własnym kunsztem.

Broński nie jest, choć mógłby być z powodzeniem, krytykiem literackim *sensu stricto*; określenia „publicysta” czy „eseista” bardziej do niego pasują. Dzieło jako takie obchodzi go mniej niż problematyka, którą może z niego wyłuskać. Jego zainteresowanie dla treści jest bez porównania większe niż dla struktury dzieła jako całości, choć trzeba przyznać, że nie zaniedbuje formalnych stron utworu. Dzieło literackie ułożone jest według Brońskiego hierarchicznie, pewne elementy są ważniejsze od innych, forma służy treści. Stąd kpiny na temat strukturalizmu, moim zdaniem zbyt łatwe, bo dobra analiza strukturalna winna prowadzić do tych samych rezultatów, do których prowadzi analiza tematyczna, i każda inna, może z wyjątkiem freudowskiej i marksistowskiej.

Broński jest wyznawcą Karola Irzykowskiego. Słowem-kluczem jego własnych analiz jest angielskie *message* (idea, morał, przesłanie). Trywialniej: „co autor chciał przez to powiedzieć?”. Nie mam zamiaru udawać pięknoducha, którego nie interesuje możliwe prosta wykładnia idei utworu. Ale z szacunku dla dzieła literackiego — i w świętej wierze w organiczność jego struktury — pamiętam zawsze o tej uwadze Sartre'a (który, co by się o nim nie myślało, był znakomitym krytykiem literackim!): „Gdyby Valéry chciał *to* powiedzieć, to by *to* powiedział”. Problem „co” i „jak”, problem formy i treści — ich wzajemnych i za każdym razem innych zależności — nie przestanie być nigdy problemem podstawowym i spornym.

Zostawiam czytelnikowi przyjemność lektury i ocenę części *Rosja* i *Zachód*. Nie wymagają rekomendacji, wprowadzają w zagadnienia i zapoznają z nazwiskami — jak Raymond Aron czy Jean-François Revel — których znajomość, choćby z drugiej ręki, wydaje się dziś niezbędna. Moje zastrzeżenia wzbudziła część pierwsza, *Polska*, szczególnie eseje poświęcone literaturze pięknej. W szkicu *Aktualność Irzykowskiego* Broński pisze na temat *Pałuby*: „Język był dla Irzykowskiego sługą treści i trwałość jego języka jest pośrednim dowodem słuszności jego stanowiska. Sługą treści były też głębsze warstwy owej dziwnej książki, szczególnie fabuła — nudna, zdawkowa i byle jaka”. I dalej: „Ideałem Irzykowskiego literackim, ale w istocie ogólnokulturowym czy wręcz filozoficznym było dzieło (koncepcja, podejście do świata) obejmujące dwie wielkości: hierarchię tematów i ich aktualność w danej sytuacji”. Przyznam, że ideał sformułowany w ten sposób wydaje mi się bardziej uprawomocniony przy analizie dzieł politycznych, socjologicznych, nawet filozoficznych — niż literackich.

Broński jest racjonalistą, którego irytują nonsensy współczesnego myślenia „ideolo”. Broński wierzy za Irzykowskim, że istnieje „technika porozumienia”, „błękitne mosty”, za pomocą których ludzi można nauczyć racjonalnego myślenia i zachowania. Jest to wiara budowana na kruchych podstawach, ale dla

niej właśnie autor *Tekstów i pretekstów* uprawia swoją publicystykę. Chyba nie będzie przesadą, jeśli powiem, że wybór autorów, których Broński omawia, podporządkowany jest temu prostemu pytaniu: w jakim stopniu ich dzieła mogą ludziom wyjaśnić świat, w którym się szamocą, stać się mostem porozumienia.

Broński jest surowym sędzią, nie mniej surowym niż Irzykowski. Jego szkic o twórczości Iwaszkiewicza zaczyna się miażdżącym stwierdzeniem: „Jarosław Iwaszkiewicz jest pisarzem i bezpartyjnym blokiem współpracy z rządem w jednej osobie i w obu dziedzinach uchodzi za współczesnego klasyka”. To nie znaczy, że Broński nie potrafi oddać sprawiedliwości pisarzowi, który w końcu został klasykiem nie tylko dlatego, że lubił się fotografować w górniczej czapce. Ma rację, kiedy pisze, że przedwojenna twórczość Iwaszkiewicza jest lepsza od powojennej; moje zastrzeżenia ograniczyłyby się do sporej ilości wierszy, które Iwaszkiewicz napisał w ostatnich latach przed śmiercią. Nie zgadzam się z Brońskim, że *Wzlot* (dość prymitywna polemika z *Upadkiem* Camusa) to jedno z jego najlepszych opowiadań. Prawda że Iwaszkiewicz jest piewą zastanego nastroju i pejzażu, po którym snują się beczynnie gruzlicy i gruzliczki. Ale gruzlica była rakiem epoki Iwaszkiewicza. Jakkolwiek by nie było, przedwojenne opowiadania Iwaszkiewicza są znacznie bliższe Mannowi niż, jak sugeruje Broński, szmirusce Courths-Mahlerowej.

Broński twierdzi — i daje na to przykłady — że poezja Iwaszkiewicza zorientowana jest wyłącznie na piękno: „Piękno jest zarazem siłą i słabością tej poezji”. Konsekwencją estetyzmu jest pesymizm. Pesymizm nie jest jednak w sztuce wartością negatywną, esteci potrafią być trująco ironiczni (jak Herbert na przykład), a „dobry smak” jako życiowa zasada niejednokrotnie lepiej chronił od moralnych upadków niż wyśrubowana etyczność. Broński kończy swój wywód stwierdzeniem, że egocentryzm i estetyzm Iwaszkiewicza doprowadziły do serwilistycznej postawy po wojnie. Ale znane są przykłady postaw skrajnie odmiennych, które doprowadzały do znacznie głębszego serwilizmu, a także do zniszczenia talentu, czego nie można z czystym sumieniem powiedzieć o Iwaszkiewiczu, który zawsze po rzeczy złej potrafił napisać rzecz dobrą.

Świadomość filozoficzna jest niezbędna przy analizie dzieła literackiego, ale czasem mądrze jest o niej zapomnieć. Znakiem rzadkim Brońskiego o Mrożku, którego teza — iż język Mrożka rządzi się prawami poezji — jest mi szczególnie bliska, został napisany z wielkim wycuciem tego niełatwego pisarstwa. Ale kiedy czytam zdanie: „Mroźek jest jansenistą”, nie mogę oprzeć się poczuciu relatywności. Bo dlaczego nie ewolucjonistą? Są pisarze, którzy nie upoważniają do tego, aby mówić kim są, a tylko, jak piszą. Należą do nich między innymi Mroźek i Gombrowicz. I dlaczego po mądrej konstatacji, iż pod spodem mroź-

kowego śmiechu kryje się desperacja, pytanie: „Po co Mroźek pisze? (...) Jaki jest mroźkowy *message*?”. Jest w tym naiwne przekonanie racjonalisty, iż krańcowa rozpacz nie ma światu nic do powiedzenia. Ale ponieważ Broński bardzo ceni Mroźka, musi go sobie wybronić: Mroźek pisze, ponieważ uprawia poezję. Czy nie lojalniej byłoby stwierdzić, że *message* Mroźka to właśnie desperacja i poczucie nieskończoności ludzkiego uwikłania? I że dlatego pisze.

Broński zdaje się szukać usprawiedliwienia dla literatury pięknej i jak każdy, nie do końca przekonany o celowości jej istnienia, broni jej niekiedy zbyt karkołomnie, a kiedy indziej usprawiedliwia dzieła, które na to nie zasługują. Tak jest na przykład w wypadku Parnickiego. Przekonawszy czytelnika dostatecznie, że Parnicki nie nadaje się do czytania, Broński częściej go perwersyjną zachętą: „Parnicki jest wyrafinowany, ale nie złośliwy: jeśli nikt nie potrafi jego dzieła do końca „zrozumieć”, a jedynie mniej lub bardziej nie zrozumieć, to znaczy, że cel założony został osiągnięty — jest ono poprawnym modelem ludzkiego losu”. Do gabloty z takim modelem, choć nie wątpię, że Broński właściwie odczytał historiozoficzne intencje autora *Kół na piasku*.

Broński serwuje swoje poglądy z brawurą, jego sposób dowodzenia jest imponująco szczelny, ale gdzieś na spodzie czai się niepewność, a z niej wypływa nie zawsze uzasadniona pokora (i jej odwrotność: nonszalancja) w stosunku do literatury. Książka jest dobra, jeśli jej *message* jest właściwą odpowiedzią na prawdziwo postawione pytanie. Jeśli — posłużę się poprawionym przez Brońskiego cytatem z Conrada — „oddaje sprawiedliwość widzialnemu światu”. Ale co z tego, jeśli jest przy tym nudna lub nieczytelna, albo zawiera elementy, które nie mieszczą się w poprawnej lub błędnej interpretacji świata. Może najlepiej ilustruje to cykl pięciu recenzji z książek Kisielewskiego-Stalińskiego, z których zieje nudą. Nie z recenzji, z książek! Chwaląc pisarza za prawidłowy opis polskiej „niereczywistości”, Broński nie jest go w stanie obronić. Świadom wad jego książek, dokłada niemało starań, aby je uczciwie zarejestrować, a jeszcze więcej, aby niektóre z nich obrócić w zalety. Ale nawet najlepszy krytyk nie jest czarodziejem. Broniąc przerysowań w powieści *Cienie w pieczarze* (którą chwali za głęboki realizm), Broński pisze: „Sytuacja polska jest oczywiście mniej skrajna, zdumienie nie jest jeszcze równoznaczne z wariactwem, bo zdziwionych jest więcej — izolacja Romana wydaje się przerysowana dla jasności obrazu(...)”. I dalej: „Dla uważnych czytelników Kisielewskiego (...) tożsamość Tomasza Stalińskiego zapewne nigdy nie była zagadką. Styl to człowiek, a raczej człowiek to styl (...)”. Śmiem twierdzić, że dla wielu czytelników było to zaskoczeniem. Mało kto podejrzewał, że te głębokie, inteligentne, odważne i literacko całkowicie chybione analizy — wyszły spod pióra niegdyś zawodowego pisarza. Podejrzewało się socjologów, filozofów, dziennikarzy, ludzi odsuniętych na którymś

etapie od władzy, nawet Starewicza. *Widziane z góry* — co Broński sam przyznaje — jest dlatego najlepszą z wszystkich pięciu powieści, bo przedstawia autentycznych ludzi. Jest to książka z kluczem. Pozostałe mają bohaterów wymyślonych, cerebralnych, naciągniętych do polityczno-socjologicznych tez. Co w niczym nie przynosi ujmy Kisielewskiemu jako publicyście.

Dodatkowy laur wydaje się już zbędny: „Staliński-Kisielewski jest chyba pierwszym szczerze mizogynicznym pisarzem polskim i dzięki temu stworzył nieznane dotąd — a przekonująco — sylwetki kobiece w naszym piśmiennictwie”. Chodzi o dwa typy kobiet: histeryczną idiotkę i „pajęczycę” (Anna i Władka w *Widzianym z góry* i ich psychiczne krewniaczki z innych książek Kisielewskiego). Broński: „Wspólną cechą obu typów jest działanie na zasadzie instynktu, „kobiecej intuicji” (okropność!)... W epoce feminizmu, wszechrozumienia i zacierania różnic gatunkowych i obyczajowych (...) ten sposób traktowania kobiet w literaturze jest nonkonformistycznym anachronizmem. (...) Dodam, że konsekwentne stosowanie go również wymaga pewnej odwagi cywilnej”.

Bywa, że programowy antyschematyzm w myśleniu zamienia się w schematyzm i mówimy „nie”, tylko dlatego, że inni mówią „tak”. Kisielewski nie jest ani pierwszym, ani jedynym, ani w ogóle żadnym mizogynikiem. Borowicz, bohater *Widzianego z góry*, nie zasłużył na lepsze kobiety: jest hipokrytą, partyjnym purytaninem, nie zna się na ludziach. Współczesna literatura polska roi się od mizogyników (nie dziwota: socjalizm wyhodował pewien specyficzny typ kobiet). To Hłasko, Nowakowski i Anderman na przykład. I na zgoła innym planie — Mroźek (co z socjalizmem nie ma nic wspólnego). Bo przecież sprawa nie ogranicza się do hysterii czy tępego cynizmu. Histerycy-mężczyźni — dają na to Brońskiemu moje osiemnastokaratowe, męskie słowo honoru — wcale nie są zabawniejsi od histerycznych kobiet. Mizogynizm to przeświadczenie, że odrębność kobiet, także biologiczna, stanowi permanentne zagrożenie męczyzny w jego najgłębszej, metafizyczno-biologicznej istocie. Mizogynizm jest mitem, rodzajem paranoi na temat wyższości kobiet. Najlepszy wywód na ten temat, jaki czytałam, znajduje się w *Rzeźni i Wyspie róż* Mroźka. Reszta to realizm, nawet nie „dynamiczny”, a zwykły, opisowy.

Po tych uwagach wracam do punktu wyjścia, bo w niczym nie zmieniają one mojej oceny książki jako całości. Chciałabym, żeby Broński moją krytykę detali przyjął jako potrzebę rozmowy — z mojej strony. *Teksty i preteksty* wydają mi się niezbędną lekturą dla każdego, komu współczesny świat wydaje się zbyt skomplikowany (albo gorzej: zbyt prosty), a system wartości w nim zbyt zatarty, aby pokusić się o samodzielne myślenie. Jest to głęboko receptywny, a zarazem krytyczny przewodnik po lekturach, prądach intelektualno-politycznych i aberracjach umysłowych ostatniego stulecia. Jako częściowa rekonwalescentka nie mogę powiedzieć większego komplementu. Broń-

ski jest najlepszym uczniem nie tylko Irzykowskiego, ale może przede wszystkim eseisty Miłozza, a także Gombrowicza i Grudzińskiego.

Janina KATZ HEWETSON

" Le karaïsme "

Szymona Szyszmana

Wśród publikacji polskich humanistów działających na emigracji stosunkowo nieczęsto spotkać można dzieła odnoszące się do zagadnień uniwersalnych w takich zwłaszcza dziedzinach jak historia myśli, religii czy kultury. Z tego już choćby tytułu niedawno ogłoszona monografia Szymona Szyszmana¹ poświęcona teologii i historii karaimów zasługuje na szczególną uwagę. Praca ta jest syntezą i podsumowaniem pięćdziesięciolecia studiów autora; teologa, historyka i orientalisty, przedstawiciela tragicznie rozproszonej i nielicznej dziś wspólnoty polskich karaimów, wspólnoty której barwne dzieje należały do religijnego i kulturalnego dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej, ale o której chyba w sumie niewiele wiedziano. Pamiętający lata międzywojenne znali karaimską wspólnotę i jej centrum życia duchowego w podwileńskich Trokach, karaimów spotykano też we Lwowie i wśród przedstawicieli warszawskiej inteligencji, ale chyba nie można mówić o żywszej świadomości ich istnienia w polskim społeczeństwie. Pamiętający jeszcze przedrewolucyjną Rosję mogli się też zetknąć z karaimami krymskimi tworzącymi jedno z najliczniejszych i najbardziej prosperujących (obok Kairu i Stambułu) ugrupowań karaimskich na świecie.

Monografia Szyszmana poświęcona jest jednak zagadnieniom o wiele bardziej istotnym niż współczesne dzieje karaimów. Jest to w pierwszym rzędzie gruntowna analiza teologicznych założeń tej starotestamentowej religii wywodzącej się z uniwersalistycznego, pretalmudycznego nurtu judaizmu czasów starożytnych, a która dzięki jej duchowej odnowie w VIII wieku na terenie Mezopotamii uległa rozpowszechnieniu głównie w basenie Morza Kaspijskiego (imperium Chazarów), na Bliskim Wschodzie i w Północnej Afryce. Według ustaleń dokonanych przez S. Szyszmana karaimowie pojawili się w Europie (na Litwie, Rusi Czerwonej i na Węgrzech) w średniowieczu (XIII-XIV wiek) i utworzyli liczne i wpływowe wspólnoty wyposażone w przywileje dające ich członkom dostęp do wszystkich stanów ówczesnego społeczeństwa, ze stanem szlacheckim włącznie. Karaizm (w przeciwieństwie do rabinackiego judaizmu) jest i był zawsze religią

1. Simon Szyszman, *Le Karaïsme*, L'Age d'Homme, Lozanna 1980, str. 247.

otwartą, wolną od uwarunkowań rasowo-etnicznych, stąd też zarówno jego szybkie rozpowszechnianie się w poszczególnych środowiskach i okresach historycznych, jak i kurczenie się wskutek konwersji jego wyznawców na religie pokrewne — chrześcijaństwo i islam.

Ten otwarty charakter pozwolił karaizmowi na pośrednie, silne oddziaływanie na teologiczne koncepcje chrześcijaństwa, głównie w okresie Reformacji. Zainteresowanie nim obserwujemy też w europejskich krajach protestanckich, żywe na nowo w XVIII stuleciu.

Monografia Szymona Szyszmana jest w pierwszym rzędzie wprowadzeniem w całości kształt problemów religijnych i historycznych karaizmu, dziełem opartym o trwające dziesięciolecia studia rozproszonych i nieraz trudno dostępnych materiałów, studia wymagające także znajomości wielu języków dawnych i współczesnych od hebrajskiego po turecki. Przedmiotem analizy są zarówno koncepcje teologiczne jak i zabytki archeologiczne (jak np. arcy-bogata kolekcja inskrypcji zebrana głównie w karaimskich sanktuariach Krymu przez Abrahama Firkowicza w ubiegłym stuleciu, dziś przechowywana w Leningradzie), czy też niezwykle cenne rękopisy biblijne pochodzące z wczesnego średniowiecza (kodeksy z Aleppo i Kairu X w.) będące dziełem karaimskich mazoretów z rodziny Ben Aszer. Omawiana obecnie publikacja mimo swego autonomicznego charakteru służyć ma też jako wstęp do lektury zaplanowanej przez wydawnictwo L'Age d'Homme źródłowej serii publikacji (pod redakcją Sz. Szyszmana) poświęconej źródłom i studiom nad karaizmem².

Ukazanie się „Karaizmu” jest być może ostatnią szansą gdyż religia ta zdaje się w naszych czasach wygasać w sposób niemal nieunikniony. Zdaniem autora składa się na to wiele przyczyn tak zewnętrznej jak wewnętrznej natury, jak rozproszenie europejskich wspólnot karaimskich, upadek kulturalny karaizmu bliskowschodniego oraz skuteczna i konsekwentnie prowadzona akcja Izraela mająca na celu likwidację nieltalmudycznych i nierabinackich odgałęzień judaizmu o bardzo dawnym nieraz rodowodzie (obok karaimów chodzi tu głównie o samarytanów i etiopskich fellaszów).

Książka Szymona Szyszmana wydana po francusku ma wszelkie szanse dotarcia do środowisk badaczy, orientalistów i historyków Bliskiego Wschodu a także do szerszej publiczności dzięki jasności i precyzji wykładu oraz znakomicie zredagowanemu aparatowi naukowemu (bibliografia, indeksy itd.). Nie możemy też zapominać, że chodzi tu o pracę polskiego badacza, który zdobył podstawową formację na Uniwersytecie Wileńskim a potem przez dziesięciolecia kontynuował swe samotne badania nie zawsze w atmosferze zrozumienia i życzliwości.

Adam SUTKOWSKI

2. *Bibliotheca Karaitica, Studia de doctrina, historia, lingua et ethnographia karaeorum complectens.*

Nadesłane nowości wydawnicze

- MEJENDORF (Joan, prot.). *Prawo-
stawie w sowriemiennom mirie.*
Str. 230 i 2 nlb. (Wyd. Chalidze
Publications, New York 1981, cena
\$ 12).
- Otwietstwiennost' pokolenia. *Inter-
view W. Czalidze s T. Litwinowoj,*
*W. Niekrasowym, M. Rostropo-
wiczem, W. Maksimowym, E. Nie-
zweistnym, T. Chodorowicz,*
N. Korzawinym, W. Turkinoj,
L. Aleksiejewoj, L. Tarasiukom,
A. Jesieninym-Wolpinym. Str.
143. (Wyd. Chalidze Publications,
New York 1981, cena \$ 8).
- Odna ili dwie russkich literatury?
*Miedzunarodnyj simpozjum soz-
wannyj fakultetom slowiesnosti*
*żenewskowo uniwersiteta i szwej-
carskiej Akademiej Sławistiki,*
Geneua 13-14-15 kwietnia 1978.
Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. L'Age
d'Homme, Lozanna 1981).
- SJENKJEVIĆ (Henrik). *Zivot bez*
dogme. Tłum. Petar Vujičić.
Str. 413 i 5 nlb. (Wyd. Slovo
Ljubwe, Belgrad 1980).
- Polsza 1980: „Solidarnosci” god pier-
wyj.* Zebrał Wł. Małyszew. Str.
239. (Wyd. Overseas Publications
Interchange Ltd., London 1981).
- Problemy wostocznoj Europy,* nr 1.
Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Chalidze
Publications, New York 1981,
cena \$ 9).
- STRUVE (P. B.). *Duch i słowo.*
Sbornik statfej. Str. 386 i 4 nlb.
(Wyd. YMCA-Press, Paryż 1981).
- Russkij Almanach* pod redakcją Zi-
najdy Szachowskiej, Rene Guerra
i Jewgienija Ternowskiego. Str.
490 i 6 nlb. (Wyd. Almanach
russe, Paryż 1981).
- Ull '80. *De l'antagonisme au prota-
gonisme.* Préface de Giorgio
Benvenuto. Str. 137 i 7 nlb.
(Wyd. Karta Editrice, Florencia
1981).
- A Chronology of the Holocaust in*
German-Occupied Poland. Str. 16.
(Wyd. w Dialogus vol. I, nr
1/1981, Dialogus Press Fund,
Baltimore, USA).
- TURYŃ (Alexander). *Dated Greek*
Manuscripts of the Thirteenth
and Fourteenth Centuries in the
Libraries of Great Britain. Str.
XXXIV i 173, plansz 126. (Wyd.
Dumbarton Oaks Center for By-
zantine Studies, seria „Dumbar-
ton Oaks Studies, XVII”, Wa-
shington 1980, cena \$ 65).
- OLSZER (Krystyna M.). *For Your*
*Freedom and Ours. Polish Pro-
gressive Spirit from the 14-th*
Century to the Present. Wyd. II,
rozszerzone. Str. 367 i 3 nlb.
(Wyd. Frederick Ungar Publi-
shing Co., New York 1981, cena
\$ 7,95).
- Dossier Polonia. Opr. Francesco Bi-
gazzi, przedmowa Giorgio Benve-
nuto. Str. 191 + fotografie.
(Wyd. Karta Editrice, Florencia
1981).
- CAMMARANO (Leonardo). *Esemi-
di passato.* Str. 287 i 5 nlb.
(Wyd. Societa Editrice Napoleta-
na, Neapol 1981).
- Im Dienst der Versöhnung. Die Ar-
beit des Maximilian-Kolbe-Wer-
kes.* Str. 32. (Wyd. Maximilian-
Kolbe-Werk, Freiburg i. B.).
- Historiska och Kunsthistoriska Stu-
dier* nr 56. Redaguje Torsten
Steinby. Str. 344. (Wyd. Svenska
Literatursällskapet i Finland, Hel-
singfors 1981).
- MECZYŃ (S.). *Wyd oprycznij*
do KGB duchowist' moskowskoho
imperializmu. Str. 332 i 6 nlb.
(Wyd. Ukraińskie Wydawnictwo,
Monachium 1981).
- CHOŁODNYJ (Mykoła). *Pro duszu*
w pisiu ta pro pisiu w duszi.
Opr. Osyp Zynkewycz. Str. 139
i 5 nlb. (Wyd. Ukraińskie Wy-
dawnictwo „Smołoskyp” im. W.
Symonenki, Toronto - Baltimore
1981).
- Informacyjni Biuletteni Ukraińskoj
Hromadskoj Hrupy Spryjannia

- Wykonanniu Helsińskich Uhod.*
Wypuski cz. 1, 1978; cz. 2, 1978;
beznomernyj, berezeń 1979; cz. 1,
1980; cz. 2, 1980. Opr. Osyp Zin-
kewycz. Poślowie Niny Strokatej.
Str. 199. (Wyd. Ukraińskie Wy-
dawnictwo „Smołoskyp” im. W.
Symonenki, Toronto - Baltimore
1981).
- ŁAWRYNENKO (Jurij). *Pawło Ty-
czyna i joho poema „Skoworoda”*
*na tli epochy. (Spohady i sposte-
reżennia).* Str. 63. (Wyd. Su-
czasnist', 1980).
- SEMENKO (Jurij). *Shachy w Ukra-
jini. Narysy z istoriji szachowoji*
*hry na ukraińskij zemli wid Ky-
jiwskoj Rusi do Ukraińskoj*
RSR ta emihracji. Przedmowa Lud-
ka Pachmana. Str. 224. (Wyd.
w Monachium 1980).
- RUĐENKO (Mykoła). *Na dni mor-
škomu. Trahedia.* Str. 74 i 6 nlb.
(Wyd. Ukraińskie Wydawnictwo
„Smołoskyp” im. W. Symonenki,
Toronto - Baltimore 1981).
- Pidhajecka zemla. Istoryczno-memu-
arnyj zbirnyk.* Str. 744. (Wyd.
Naukowe Towarystwo im. Szew-
czenki, Ukrainian Archives vol.
XXIV, Detroit, USA, 1980).
- Mandriwka zemlany Pidhajeckyny.*
Fotoalbom. Str. 170 i 12 nlb.
(Wyd. Naukowe Towarystwo im.
Szewczenki, Ukrainian Archives
vol. XXIVa, Detroit, USA, 1980).
- AKUŁA (Kastus). *Garawatka. Po-
wieść, tom III.* Str. 286 i 2 nlb.
(Wyd. „Pagonia”, Toronto 1981).

KSIĄŻKI WYDANE W POLSCE POZA CENZURĄ

- Grudzień-Sierpień; piosenki i wier-
sze Wybrzeża.* Str. 64. (Wyd. Bi-
blioteka Literacka, Warszawa
1980).
- Kalendarz 1981.* (Wyd. Niezależna
Agencja Fotograficzna).
- Statut NSZZ „Solidarnosc”. Proto-
kół porozumienia zawartego przez*
*Komisję Rządową i Międzyzakła-
dowy Komitet Strajkowy w dniu*
31 sierpnia 1980 roku w Stoczni
Gdańskiej. Protokół ustalen
*MKS w Szczecinie oraz w Jastrzę-
biu.* Str. 63. (Wyd. Stocznia im.
Komuny Paryskiej 1980).
- HŁASKO (Marek). *Następny do*
raju. Str. 164 i 4 nlb. (Przedruk
z wydania Instytutu Literackiego,
wyd. KOS, Kraków 1980).
- HŁASKO (Marek). *Wszyscy byli od-
wróćeni.* Str. 112 i 2 nlb. (Prze-
druk z wydania Instytutu Lite-
rackiego, wyd. KOS, Kraków
1981).
- HŁASKO (Marek). *Ósmy dzień ty-
godnia.* Str. 69 i 3 nlb. (Prze-
druk z wydania Instytutu Literac-
kiego, wyd. NOW-a).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *Nie pod-
legać nicości i inne szkice.* Str.
64. (Wyd. KOS, Kraków 1980).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *Knebel*
i słowo. O literaturze krajowej w
latach siedemdziesiątych. Str. 43.
(Wyd. NOW-a w serii wykładów
TKN, Warszawa 1980).
- BARAŃCZAK (Stanisław). *Tryp-
tyk z betonu, zmęczenia i śniegu.*
Str. 77. (Przedruk z wydania
Instytutu Literackiego, wyd. KOS,
Kraków 1980).
- KUCZYŃSKI (Waldemar). *Po*
wielkim skoku. Str. 97. (Wyd.
NOW-a, Warszawa 1979).
- FICOWSKI (Jerzy). *Odczytanie po-
piółów.* Str. 37 i 5 nlb. (Wyd.
NOW-a, Warszawa 1980).
- Wokół rewolucji rosyjskiej: RA-
KOWSKI (Krystian). „Zawodo-
we niebezpieczeństwo” władzy;*
*BRZEZIŃSKI (Zbigniew). Poli-
tyka radziecka od przeszłości do*
przyszłości? str. 44. (Wyd.
NOW-a, Warszawa, grudzień 1980).
- DYMARSKI (Lech). *Za zgodą au-
tora. Wiersze.* (Przedruk z wy-
dania Witrynki Literatów i Kry-
tyków, wyd. NOW-a, listopad
1980).
- BRECHT (Bertolt). *Elegie bukow-
skie i inne wiersze.* Przeł. Ryszard
Krynicki, opr. graf. Wojciech Wo-
łyński. Str. 44. (Wyd. Galeria
O.N., Poznań, grudzień 1974).
- MIŁOSZ (Czesław). *Widzenia nad*
Zatoką San Francisco. Str. 172.

- (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. „Głos”, Warszawa, grudzień 1980).
- MIŁOSZ (Czesław). *Rodzina Europa*. Str. 246 i 2 nlb. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. KOS, Kraków).
- MIŁOSZ (Czesław). *Zniewolony umysł*. Str. 236 i 2 nlb. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. KOS, Kraków 1981).
- MIŁOSZ (Czesław). *Zdobycie władzy*. Str. 159. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. KOS, Kraków 1980).
- MIŁOSZ (Czesław). *Wybór wierszy*. Str. 27. (Wyd. Biblioteka Literacka, Warszawa 1980).
- MIŁOSZ (Czesław). *Zdobycie władzy*. Str. 159. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. NOW-a, Warszawa 1981).
- NOWAKOWSKI (Marek). *Kto to zrobił?* Str. 72. (Przedruk z *Kultury* nr 1/2 (1976), 3 (1977) oraz 7/8 (1977), gdzie opowiadanie to było sygnowane pseudonimem Seweryn Kwarc. Wyd. NOW-a, Warszawa 1981).
- POLKOWSKI (Jan). *To nie jest poezja*. Str. 41 i 5 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa, wrzesień 1980).
- GOMBROWICZ (Witold). *Dziennik 1957-1958*. Str. 105. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. „Klin”, Warszawa 1980).
- GOMBROWICZ (Witold). *Dziennik 1959-1961*. Str. 247. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. „Klin”, 1980).
- GOMBROWICZ (Witold). *Dziennik 1961-1963*. Str. 102. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, I część III tomu, wyd. „Klin”).
- GOMBROWICZ (Witold). *Pornografia*. Str. 155. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. Oficyna Narodowa, Pułtusk, maj 1980).
- GOMBROWICZ (Witold). *Operetka*. Str. 63. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. KOS, Kraków 1981).
- KRYNICKI (Ryszard). *Nasze życie roślinie*. Str. 112. Ilustrował Jan
- Sawka. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. KOS, Kraków 1980).
- MIELNICKI (Zenon). *W polskich oczach*. Str. 41. (Przedruk z *Kultury* nr 5/1970, wyd. KOS, Kraków 1981).
- Zeszyt Historyczny* nr 53. Str. 240. (Pierwszy z krajowej edycji *Zeszytów*; przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. „Krag”, Warszawa).
- KUŚMIEREK (Józef). *Uwaga Polska! Nie publikowane*. Str. 108 i 2 nlb. (Wyd. NOW-a, maj 1981).
- CONRAD (Joseph). *Szkice polityczne*. Str. 68 i 4 nlb. (Wyd. „Krag”, Warszawa 1981).
- MADEJ (Bogdan). *Maść na szczury*. Str. 98 i 2 nlb. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. NSZ Wrocław).
- KISIELEWSKI (Stefan). *Stosunki Państwo - Kościół w PRL*. Str. 28 i 2 nlb. (Wyd. „Głos”, Warszawa 1980).
- TISCHNER (Józef). *Polski kształt dialogu*. Str. 205. (Wyd. Biblioteka Spotkań, Kraków - Warszawa - Lublin 1980).
- JAKUNIN (Gleb, o.). *A aktualnym stanie Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego i perspektywach religijnego odrodzenia Rosji. Referat przedłożony Chrześcijańskiemu Komitetowi Obrony Praw Wierzących w Rosji*. Str. 48. (Wyd. Biblioteka Spotkań, Lublin - Warszawa - Kraków 1981).
- KARPIŃSKI (Wojciech). *Szkice o wolności*. Str. 95. (Przedruk za wydawnictwem „Polonia” w Chicago, wyd. KOS).
- BRANDYS (Kazimierz). *Miesiące*. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. NOW-a, Warszawa 1980).
- ŚWIATŁO (Józef). *Za kulisami bezpieki i partii*. Str. 40. (Wyd. NOW-a, Warszawa, styczeń 1981).
- KORBOŃSKI (Stefan). *Polskie państwo podziemne. Przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945. Część I i II. Cz. I str. 76 i 2 nlb., cz. II str. 77-154*. (Przedruk z wydania Instytutu Literackiego, wyd. KOS, Kraków 1981).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

Podczas prac remontowo-konserwatorskich, wykonywanych pod kierunkiem doc. inż. Zbigniewa Janowskiego, w tzw. plebanii kościoła św. Marka w Krakowie odkryto gotycki portal prowadzący do kościoła. Wstępne badania oceniają ten cenny zabytek na XIV wiek. Z inicjatywy ks. prof. Wacława Świerżawskiego, rektora kościoła, w pomieszczeniach za portalem zgromadzono liczne przedmioty kultury i pamiątki odnoszące się do pochodzącego z Litwy sługi Bożego Michała Giedroycia, zwanego błogosławionym, który był zakrytym kościoła św. Marka, gdzie został pochowany przy głównym ołtarzu w roku 1485. Wśród pamiątek w pierwszym rzędzie trzeba wymienić wizerunek Madonny zwanej Giedroyciową (wskazuje na to inny obraz przedstawiający modlącego się przed nią Giedroycia). Wizerunek pochodzi ze szkoły dudlowsko-piekarskiej z XV wieku. Został on odnaleziony w kościele św. Marka w roku 1972, a w pracowni prof. Zofii Medveckiej z krakowskiej ASP odkryty spod kilku warstw malarskich. Teraz po wiekach zapomnienia jest oddany do kultu. Uroczyste poświęcenia i otwarcia Giedroycianum, mającego przygotować społeczeństwo do obchodów w 1985 roku 500 rocznicy śmierci Michała Giedroycia, dokonał 2 września kardynał Franciszek Macharski. Kaplica jest otwarta w niedzielę o godzinie 12.30.

13-9-81

Życie Gospodarcze zamieściło wywiad z Andrzejem Bukowskim, kierownikiem Zakładu Artykułów Rolno-Spożywczych w Instytucie Koniunktur i Cen Handlu Zagranicznego. Podał on m.in., że w 1980 roku wyeksportowano z PRL 219 tys. ton mięsa i przetworów mięsnych, w tym 36 tys. ton koniny. Importowano zaś 50 tys. mięsa, 19,3 ton masła, 6 tys. ton smalcu. W ciągu siedmiu miesięcy br. wyeksportowano 68 tys. ton mięsa i przetworów mięsnych, w tym 19 ton koniny i baraniny, a do 31. 8. br. importowano 73 tys. ton mięsa. Planuje się wyeksportowanie w br. 122 tys. ton, a importowanie 130 tys. ton mięsa.

18-9-81

Postępująca sowietyzacja PRL: została zawarta umowa między telewizją polską a Państwowym Komitetem Rady Ministrów ZSSR do Spraw Radia i Telewizji; telewizja polska otrzymywać będzie najnowsze filmy fabularne i dokumentarne; przewiduje się również udział sowieckich artystów w programach polskich; ponadto Związek Sowiecki zaprosił polskich dziennikarzy do realizowania filmów i reportaży o życiu w ZSSR. Podpisano także umowę o sprawach wydawniczych. Wydawnictwo Mnisztorg ma wydać dla Polski, w masowym nakładzie, „Pana Tadeusza” Mickiewicza, „Cichy Don” Szolochowa i „Droga przez mękę” A. Tołstoja. Wreszcie w ZSSR mają być drukowane dla Polski niektóre książki dla dzieci i lektury szkolne. Przewidziane jest wyprodukowanie półtora miliona płyt z muzyką polską. Wydawcy w NRD mają drukować dla Polski siedem podręczników dla szkół podstawowych. Podobne umowy zostały zawarte z wydawnictwami czechosłowackimi i węgierskimi. ■ Rada Główna Polaków b. żołnierzy Armii Sowieckiej w ZBOWiD-zie uchwaliła deklarację potępiającą „grupę awanturników politycznych mieniących się czołowymi działaczami Solidarności”. ■ W Warszawie odbyło się drugie walne zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Rusycystycznego. Jest to organizacja zrzeszająca nauczycieli języka rosyjskiego, tłumaczy i redaktorów. W Polsce jest około 30 tys. rusycystów, a języka rosyjskiego uczy się stale około 4 mln ludzi. Wyróżniającym się

aktywistom wręczono odznaczenia państwowe oraz medale Komisji Edukacji Narodowej. ■ W Warszawie ukazał się pierwszy numer miesięcznika *As — Sadaka*. Jest to organ Towarzystwa Przyjaźni Libijsko-Arabsko-Polskiej. Redagowany jest przez libijskiego dziennikarza Ibrahima al-Koni. Miesięcznik ten jest wydawany w Polsce, na świetnym papierze i bogato ilustrowany.

25-9-81

W obliczu katastrofalnej sytuacji ekonomicznej i politycznej kraju dnia 25 września grono ludzi nauki i kultury wystąpiło z dwoma postulatami: 1. Wyłonienia przez samorządne organizacje i instytucje obywatelskiej rady społeczno-gospodarczej o dużej wiarygodności ocen, poglądów i działań w stosunku do polityki społeczno-ekonomicznej państwa. Rada pełniłaby rolę niezależnego przedstawicielstwa społecznego. 2. Powołania wybitnych fachowców na kierownicze stanowiska w gospodarce narodowej. Dokument w tej sprawie został złożony na ręce Prymasa Polski, przewodniczącego KK NSZZ Solidarność, oraz władz partyjno-państwowych. Podpisali go: Władysław Bartoszewski, Wiesław Chrzanowski, Władysław Fiszdón, Władysław Findeisen, Wacław Gajewski, Aleksander Gięsztor, ks. Krzysztof Kasznica, Andrzej Micewski, Zdzisław Najder, Jan Olszewski, Klemens Szaniawski, Jan Józef Szczepański, ks. Józef Tischner, Witold Trzeciakowski, Jerzy Turowicz, Andrzej Tymowski i Janusz Ziółkowski.

3-10-81

Zmarł w Warszawie w wieku 95 lat prof. Tadeusz Kotarbiński, jeden z czołowych filozofów polskich.

5-10-81

W ramach zarządzeń o oszczędności paliwa wycofano w PRL z eksploatacji 1/4 taboru samochodów ciężarowych. ■ Wojewoda nowosądecki wydał zakaz organizowania zimowisk, obozów i jakichkolwiek wczasów dla dzieci, młodzieży licealnej i studenckiej na terenie całego województwa. ■ Wiceprezes Narodowego Banku Polskiego Zdzisław Pakuła podał, że stan oszczędności pieniężnych w PKO i bankach spółdzielczych przekracza 600 mld złotych. Projekt docelowego oszczędzania na domki jednorodzinne został zaniechany, gdyż resort administracji odmówił zapewnienia działek pod to budownictwo, a resort budownictwa — przeznaczenia na ten cel materiałów budowlanych. Według informacji GUS-u stopa inflacji w bieżącym roku wynosi ponad 15%. W PRL najwyższe oprocentowanie wynosi 10%, a średnie — 5%. ■ Uchwała: I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” zobowiązuje władze Związku do ustalenia właściwego trybu postępowania zapewniającego wyegzekwowanie roszczeń pracowniczych i cywilnoprawnych Polaków, którzy w wyniku działań wojennych przebywali poza granicami Kraju podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu — niezależnie od tego, w którym kraju musieli przebywać.

7-10-81

Zjazd „Solidarności” w Gdańsku podjął uchwałę w sprawie mniejszości narodowych: Dbając o rozwój kultury polskiej, otwartej na dorobek innych narodów, wyrażamy wolę wykazania nie mniejszej dbałości o to, by obywatele polscy należący do innych narodów i grup etnicznych — Białorusini, Cyganie, Grecy, Litwini, Łemkowie, Niemcy, Ukraińcy, Tatarzy, Żydzi i inne narodowości, znaleźli w wspólniej z Polakami ojezycznie warunki do swobodnego rozwijania swej kultury i przekazywania jej następnym pokoleniom. Chcemy w ten sposób pozostać wierni tradycji Rzeczypospolitej wielu narodów. Bogactwo kultury polskiej to również odrębności regionalne, które winny być kultywowane. Związek nasz sprzeciwia się wszelkim podziałom

narodowościowym i walczyć będzie o zagwarantowanie pełni praw obywatelskich wszystkim Polakom, niezależnie od ich przynależności narodowej lub pochodzenia.

9-10-81

W Warszawie zmarł w wieku 81 lat Mieczysław Siewierski, ostatni przed wojną szef Nadzoru Prokuratorskiego w Ministerstwie Sprawiedliwości, w czasie okupacji czynny w ruchu oporu, po wojnie współskarżyciel przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w procesach przeciw zbrodniarzom hitlerowskim Arturowi Greiserowi (Poznań), Amonowi Goetha (Kraków), Ludwikowi Fischerowi (Warszawa), Albertowi Forsterowi (Gdańsk), potem sam aresztowany, będąc Prokuratorem Sądu Najwyższego, pod zarzutem „fałszywości” Polski przedwrześniowej. Po Październiku 1956 mianowany profesorem Uniwersytetu w Łodzi, autor wielu prac naukowych.

10-10-81

Wprowadzone dla obywateli polskich złotówkowe dopłaty do kolejowych i lotniczych biletów zagranicznych. I tak do krajów socjalistycznych dopłaty wynoszą około 90% dotychczasowej ceny biletu, a do krajów zachodnich — około 60%. ■ W przygotowanej przez Państwową Komisję Cen propozycji zakłada się przesłanie dwukrotne (średnio) podniesienie cen artykułów żywnościowych, a także opału, energii elektrycznej i gazu. ■ Statystyczny Polak może kupić w bieżącym roku 3 (słownie: trzy) buty, a ściślej 1,6 pary obuwia.

16-10-81

Zmarła w Warszawie dr Zofia Gumowska, żona śp. Antoniego Nowaka-Przygodzkiego. Odeszła bezinteresownie i pełna poświęcenia działaczka społeczna.

ZACHÓD — EMIGRACJA

18-8-81

Uniwersytet Strasburg II przyznał doktorat *honoris causa* prof. Bronisławowi Baczko, profesorowi filozofii na uniwersytecie w Genewie.

25-9-81

W Londynie odbyło się walne zgromadzenie Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Sprawozdanie ustępującego prezesa prof. Tymona Terleckiego wykazało znaczne ożywienie tej organizacji. Godne uwagi są takie punkty sprawozdania jak 33 prelegentów (w tym 7 spoza Londynu), przyjęcie 15 nowych członków czynnych i korespondencyjnych, głównie w Stanach Zjednoczonych i jednego członka honorowego, profesora Uniwersytetu w Chicago, Marka Kruga; nagroda im. Ireny z Grabowskich Kruszewskiej za pracę z zakresu nauk humanistycznych i społecznych ufundowana przez syna, wybitnego politologa na Uniwersytecie El Pasa (Texas), a przede wszystkim projekt „Polskiej Unii Intelktualnej w świecie” (*Union Intellectuelle Polonaise à l'Étranger*). Nowym prezesem wybrano prof. Franciszka Szczepanika, ekonomistę, który przez długi czas wykładał w Hongkongu i obecnie jest czynny w Londynie.

2-10-81

Zmarł w Londynie Zygmunt Kon, żołnierz Drugiego Korpusu, dziennikarz, wieloletni współpracownik *Dziennika Polskiego* i *Tygodnia Polskiego* w Londynie.

7-10-81

W l'Autre Musée w Brukseli otwarto wystawę Jana Lebensteina obejmującą jego ilustracje do „Księgi Hioba”, wydanej przez Editions du Dialogue w Paryżu, w tłumaczeniu z hebrajskiego Czesława Miłosza.

9-10-81

W Bibliotece Polskiej odbył się odczyt dr. Mariana Zgórniaka, profesora UJ, na temat najistotniejszych problemów polskiej historii współczesnej. Uprzednio miał miejsce odczyt p. Alfonsa Człowiekowskiego z Kanady pt. „Kryzys gospodarki światowej i jego reperkusje w Polsce” (28. 9. br.); ponadto p. Andrzej Potocki, przewodniczący Klubu Inteligencji Katolickiej w Krakowie, mówił o roli katolickich elit intelektualnych w procesie odnowy w Polsce. ■ W Centre du Dialogue w Paryżu miał miejsce wieczór autorstwa Wiktora Woroszyńskiego; 23. 10. br. Stefan Kisielewski wygłosił tam odczyt: „Polska — obawy i nadzieje polityczne dzisiaj”.

10-10-81

Zmarł nagle w Monachium Stefan Władysław Kozłowski, więzień obozów hitlerowskich, po wojnie legendarny „major Aleksander”, działacz społeczny.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Dziennik Polski w Detroit, jedno z najstarszych pism polsko-amerykańskich, przestał ukazywać się i przekształcony został w tygodnik. ■ 21. 8. br. zmarł w Brooklynie N.Y. w wieku 78 lat Józef A. Głowacki, wiceprezes Zjednoczenia Polsko-Narodowego. Reprezentował kierunek najbliższej współpracy Polonii z PRL. ■ 22. 9. br. odbyło się w Nowym Jorku doroczne walne zebranie A.C.N. Wybrano nowe władze na rok 1981/82: przewodniczącą — Stefan Korboński, wiceprzewodniczącą — Martin Kvetko (Czechosłowacja), sekretarz generalny — Feliks Gadomski, z-ca — Wiktoria Chetcheta (Litwa) oraz Miron Butariu (Rumunia). ■ Polsko-Amerykańskie Towarzystwo Lekarskie „Medicus” w Nowym Jorku odznaczyło na swym dorocznym zjeździe w październiku br. Złotym Medalem Tysiąclecia Polski Ojca dr. Michała Zembruskiego, dr. med. Ryszarda Z. Tołścika (anestezjologa) i dr. med. Magdalę M. Tołścik (pediatrę). Rada Dyrektorów Towarzystwa „Medicus” nadała Prymasowi Polski dr. Józefowi Glempowi Złoty Medal Tysiąclecia Polski w dzień intronizacji, 13. 9. br. 24. 10. br. w audytorium Ukraińskiego Instytutu w Ameryce w Nowym Jorku odbyła się doroczna konwencja „Medicus” poświęcona śp. Stefanowi Kardynałowi Wyszyńskiemu. M.in. dr Borys A. Filipezak (Ukrainiec) wygłosił referat pt. „Moje wspomnienia ze spotkań w Krakowie ze śp. dr. Edmundem Wojtyłą i z Karolem Wojtyłą”. Na zakończenie konwencji odbył się recital fortepianowy Wojciecha Matuszewskiego. ■ 20-24. 9. br. w Monterey (Kalifornia) odbyła się doroczna konwencja amerykańskich slawistów (AAASS) z udziałem ponad 900 naukowców. Większość tematów dotyczyła ZSSR, m.in. polityki, kultury, historii, sowietologii itp. Na temat Polski odbył się panel pt. „Obrady okrągłego stołu na temat co będzie w Polsce za rok”. Przewodniczył prof. S. Terry, uczestniczyli profesorowie A. Korboński, Jerzy Lerski, Jan de Weydenthal (Radio Free Europe), John Hardt (Congressional Research Services), Walter Connor (Foreign Service Institut), Melvin Croan, Charles Fiszman (publicysta). Dyskusja była ożywiona, a w jej konkluzji wnioskowano, że nie będzie interwencji Rosji i że dojdzie do rozstrzygnięcia wewnętrznych. Jeden z dyskutantów (J. Lerski) opowiedział się za konfrontacją. Inny panel, pt. „Czechosłowacja 1968 - Polska 1980”,

odbył się bez udziału Polaków. Uczestnicy doszli do wniosku, że sytuacje były zupełnie odmienne. W Czechosłowacji zbuntowała się Partia, a w Polsce — naród. Na tej konwencji uderzał słaby udział Polaków. ■ 30. 8. br. w Doleystown (Pennsylvania) odbyła się w Sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej w obecności Kardynała Jana Króla uroczystość spalania „dokumentów zadłużenia”, symbolizująca ostateczne spłacenie długów, które ciążyły na Amerykańskiej Częstochowie. ■ W Nowym Jorku otwarto z inicjatywy środowiska Pomostu w polskiej dzielnicy Greenpoint przy 946 Manhattan Avenue Polsko-Amerykański Klub Prasy i Książki. Celem klubu jest udostępnienie prasy emigracyjnej i krajowej, krajowych wydawnictw niezależnych oraz organizowanie wystaw, odczytów, spotkań. Odbyły się już m.in. dwa odczyty: prof. Stanisława Barańczaka pt. „Niezależne wydawnictwa w Polsce” i Piotra Naimskiego pt. „Solidarność i Polska po roku”, oraz wieczór autorski Andrzeja Pastuszka. ■ 16. 9. br. w Instytucie Spraw Międzynarodowych Columbia University odbyła się dyskusja panelowa pt. „Poland — new Form of Communism?”, poświęcona wydarzeniom ostatniego roku. W dyskusji wzięli udział: Harold Segel, Jane Curry, Charles Gati, Adrian Karatnicki, Marshall Shulman i Elizabeth Valkenir. ■ W dniach 21-22. 9. br. przebywał w Nowym Jorku Czesław Miłosz. Miał wieczór poezji w Poetry Center; pierwszy raz od czasu otrzymania nagrody Nobla czytał publicznie wiersze w USA. Następnie wzięł udział, wspólnie z Josifem Brodskim i Robertem Silversem, redaktorem *The New York Review of Books*, w dyskusji o pisarstwie i polityce, która odbyła się w New York Institute for the Humanities.

W niedzielę 20 września 1981 roku odbyła się w Waszyngtonie demonstracja amerykańskiego świata pracy, zorganizowana przez centralę związków zawodowych AFL-CIO przeciw polityce ekonomicznej prezydenta Reagana, pod pożyczonym szyldem: „Dzień Solidarności”. Nawet sprawozdawca telewizyjny kanału CBS zaanonsował reportaż z Waszyngtonu amerykańską winietą „Solidarity”, pod którą przez sekundę ukazał się na wizji polski napis „NSZZ Solidarność”. Nie byłoby w tym nic złego. Przeciwnie — mogłoby to oznaczać polityczną pomoc i poparcie dla NSZZ Solidarność, gdyby nie to, że inicjatorzy demonstracji mieli na myśli coś zupełnie innego. To mianowicie, by podsunąć amerykańskiej publiczności błędną myśl — że związkowcy amerykańscy walczą ze „złym rządem Reagana” tak samo jak polscy robotnicy w Polsce walczą ze „swoim” złym rządem i partią komunistyczną. Z dala od Waszyngtonu, w Kalifornii, b. wiceprezydent Mondale wyłożył tę myśl jeszcze bardziej demagogicznie: „Jak prezydent Reagan ośmiela się popierać ruch strajkowy polskich robotników, wyrzucając jednocześnie z pracy z powodu wszczęcia strajku kontrolerów regulujących komunikację lotniczą?”.

Prymitywna retoryka amerykańskich demokratycznych polityków i niektórych działaczy związkowych, chcących za wszelką cenę rozprawić się ze zmienawidzonym Reaganem, jest łatwa do zdemaskowania. Ale nie ma potrzeby demaskowania jej w polskim piśmie, ponieważ polscy czytelnicy wiedzą doskonale, że te dwie sprawy — ruchu ogólnonarodowego Solidarności w Polsce i strajku kontrolerów lotniczych w Ameryce tudzież walki tzw. liberałów z polityką ekonomiczną Reagana — mają się do siebie tak jak „pięść do nosa”. Pod tym właśnie tytułem ukazał się doskonały artykuł Wojciecha Wasiutyńskiego w nowojorskim *Nowym Dzienniku* z dn. 9 września 1981. Natomiast najważniejsze, wychodzące w największych nakładach pisma amerykańskie, nie mówiąc już o telewizji, nie próbowały nawet wyklarować w amerykańskich — przyzwyczajonych do skróտowego myślenia — głowach prostej sprawy, że ani strajk kontrolerów powietrznych ani uza-

sadnione czy nieuzasadnione pretensje oficjalnych reprezentantów amerykańskiego świata pracy pod adresem prezydenta Reagana, nie mają absolutnie nic wspólnego z ruchem polskiego społeczeństwa przeciwko systemowi sowieckiemu w Polsce. Że te dwie sprawy są w ogóle nieporównywalne ponieważ odbywają się w całkowicie odmiennym wymiarze politycznym i społecznym. AFL-CIO okazało i okazuje nadal wielką pomoc „Solidarności” — a przez nią całemu narodowi polskiemu. Nie wydaje się jednak żeby dawało to jej prawo do wykorzystania szyldu „Solidarności” dla antyreaganowskiej kampanii. Używając fałszywych kart w swej politycznej grze, działacze amerykańscy nie wyrządzili żadnej szkody ani „Solidarności”, ani polskim robotnikom. Żle się tylko przysłużyli swoim własnym współobywatelom, pogłębiając ich ignorancję o świecie.

Nie byłoby dobrze, gdyby przedstawiciele „Solidarności” w Stanach, słabo orientujący się w stosunkach amerykańskich, przez źle zrozumianą wdzięczność za udzieloną pomoc, włączali się do podobnych akcji.

W dniu 24 września br. odbyła się w tymczasowej kwaterze wynajętej w Biurze Zjednoczonego Związku Nauczycieli Amerykańskich przy 260 Park Avenue South w Nowym Jorku pierwsza konferencja prasowa Biura Prasowo-Informacyjnego „SOLIDARNOSCI”. Wymieniona placówka została powołana do życia jako przedsiębiorstwo zalegalizowane zgodnie z przepisami stanu Nowy Jork. Nie reprezentuje on Solidarności. Jest natomiast agencją, której zadaniem jest przekazywanie wiadomości otrzymywanych telexem z głównej kwatery Solidarności w Gdańsku. Prezydentem i dyrektorem agencji jest p. Zygmunt Przetakiewicz. Członkami zarządu — p. Bayard Rustin, który jest jednocześnie przewodniczącym Instytutu Philpa Randolpha oraz p. Tadeusz Walendowski, prezydent organizacji pod nazwą „Poland Watch Center” w Waszyngtonie. Poza wymienionymi osobami w agencji pracują w charakterze redaktorów pp. Andrzej Tymowski i Sawa Małachowski.

Na pierwszej konferencji prasowej p. Przetakiewicz wyjaśnił cele agencji: Rozprowadzanie poprzez wydawany biuletyn wiadomości przekazywanych przez rzecznika prasowego „Solidarności” p. Onyszkiewicza dla użytku środków masowego przekazu, korespondentów zagranicznych i krajowych oraz w ogóle wszelkich instytucji oraz osób zainteresowanych. Biuletyn agencji można zaprenumerować. Na razie wychodzić on będzie 2 razy w tygodniu. W dalszych planach agencji jest wydawanie gazety.

Niewielkie pomieszczenie lokalu Związku Nauczycieli było szczerze wypełnione przedstawicielami prasy, radia i TV. Między innymi obecni byli korespondenci sowieccy (TASS i Novosti) oraz korespondent *Trybuny Ludu*, który inkwizytorskim tonem pytał p. Przetakiewicza, czy jego działalność jest zgodna z polskimi przepisami dewizowymi, które go (jak przypomniał korespondent *Trybuny Ludu*) jako obywatela PRL obowiązują. Wielu obecnych na sali interesowało sprawy formalno-techniczne, a więc status agencji, rodzaj wizy którą p. Przetakiewicz otrzymał od ambasady amerykańskiej itp. Na dole odbywało się pikietowanie lokalu przez 28 członków organizacji trockistowskiej „Spartakus”, noszących transparenty o rozmaitej, choć politycznie zbliżonej treści. Między innymi gloryfikowały one wyzwolenczą rolę Armii Sowieckiej wobec Polski w czasie drugiej wojny światowej oraz potępiały banki zachodniemieckie za ich plany opanowania Polski Ludowej. Najpokaźniejszy rozmiarami transparent głosił „Imperialiści precz od Polski”. Prawdopodobnie pikietującym chodziło o imperialistów zachodnich, nie wschodnich. W wieczornym programie TV w kanale

5-tym popularny amerykański komentator p. Roland, informując o otwarciu biura prasowego „Solidarności”, zaznaczył, że „grupa Amerykanów z partii socjalistycznej domagała się wyjazdu placówki Solidarności ze Stanów”. P. Roland nie wyjaśnił telewidzom, co to za „socialiści” demonstrowali przeciwko Solidarności na Park Avenue. Jego twierdzenie, że domagali się wyjazdu placówki „Solidarności ze Stanów” było wyssane z palca; pikietujący nie nosili transparentów sugerujących coś podobnego, zaś ich okrzyki ograniczały się wyłącznie do oskarżania Alberta Shankera, Przewodniczącego Związku Nauczycieli, oraz Irvinga Browna, przedstawiciela AFL-CIO w Europie Zachodniej i reprezentanta Ameryki w I.L.O. o to, że obydwoj są marionetkami Centralnej Agencji Wywiadowczej. Podobne oskarżenie w stosunku do Alberta Shankera powtórzył później TASS. Jest to chyba pierwsza od dziesiątków lat zbieżność poglądów pomiędzy władzą sowiecką a trockistami.

KRONIKA KANADYJSKA

Stowarzyszenie Techników Polskich w Kanadzie obchodzi 40-lecie istnienia. Zostało ono założone przez grupę inżynierów przybyłych do Kanady na specjalnych warunkach, gdyż nie byli emigrantami. Odegrali poważną rolę w kanadyjskim przemyśle wojennym, w tym i w lotniczym. Już w latach wojny Stowarzyszenie rozwinęło również działalność społeczną, a po wojnie włączyło się do życia polonijnego. Członkowie tej organizacji stali się najbardziej aktywnymi działaczami polonijnymi, piastując najwyższe stanowiska na szczeblach lokalnych i centralnym w Kongresie Polonii Kanadyjskiej. W pierwszym rządzie należy wymienić pp. Hergeta, Laubitza, Jaworskiego, Jarmickiego, Krajewskiego, Orłowskiego i Przygodę. Z okazji swego jubileuszu S.T.P. urządziło w Ontario Science Center wystawę obrazującą wkład polskich inżynierów, architektów i techników w życie Kanady. ■ Z krótką ale aktywną wizytą przyjechali do Kanady pod koniec października Tola Korian z mężem, Tymonem Terleckim. P. Korian, znakomita interpretatorka poezji, wystąpi z recitalem w języku polskim, na który złożą się utwory współczesnych zbuntowanych poetów polskich. Słowo wstępne wygłosi Tymon Terlecki. ■ W ramach dorocznych prelekcji *Adam Mickiewicz Memorial Lectures* na Carleton University w Ottawie p. Tymon Terlecki wygłosi prelekcję o Kochanowskim, a na University of Toronto o Wypiańskim. Ponadto przewidziane są jego prelekcje w London i Edmonton. ■ We wrześniu br. zmarła w Montrealu Zofia z Wańkowiecówny Romerowa, wdowa po ambasadorze R.P. Tadeuszu Romerze. ■ 50 pasażerów i jeden członek załogi nie zjawili się w dniu odpłynięcia statku na pokładzie „Stefana Batorego”. Zwrócili się do Urzędu Imigracyjnego o wizy pobytowe, które w drodze wyjątku zostały im przyznane. Kongres Polonii Kanadyjskiej nie ustaje w wysiłkach zmierzających do ułatwienia Polakom znajdującym się w Austrii i innych krajach emigracji do Kanady. Organizacje ukraińskie powołały komitet dla spraw imigracyjnych i zaapelowały do swojej społeczności o dotacje finansowe oraz inne formy pomocy. Komitet utrzymuje, że ilość ukraińskich uchodźców z Polski, przebywających obecnie w Austrii, jest duża i ciągle wzrasta. Część pielgrzymki ukraińskiej do Rzymu nie powróciła do Polski, a poprosiła o azyl, deklarując chęć wyjazdu do Kanady. ■ 28. 9. br. przybył do Kanady Kardynał Władysław Rubin i był obecny w Toronto na zebraniu Konferencji Ksiąg Polskich Wschodniej Kanady, gdzie przeprowadził szereg rozmów z przedstawicielami Polonii. 30. 9. br. odleciał do Winnipeg na uroczystości 25-lecia Metropolii greko-katolickiej oraz 30-lecia święceń arcybiskupa Maksyma. Następnie udał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie od-

wiedził diecezje greko-katolickie w Stanford i Philadelphii. M.in. uczestniczył w uroczystości wyświęcenia biskupa pomocniczego ks. Moskala w Chicago. Następnie Kardynał Rubin odwiedził parafie obrządku bizantyńskorusińskiego w Pittsburgu, Passaic i Parmie. Na zakończenie swojej wizyty Kardynał Rubin odwiedził moronitów libańskich. Wszystkie wymienione wyżej ośrodki ks. Kardynał odwiedził na zaproszenie biskupów odnośnych diecezji. ■ Z ramienia Episkopatu Polski w Konferencji Księży Polskich Wschodniej Kanady brał udział biskup Wieczorek, sufragan diecezji opolskiej. ■ We wrześniu br. bawił w Kanadzie w związku z wyborami do Rady Narodowej p. Kazimierz Sabbat.

KRONIKA SZWEDZKA

Duża ilość cudzoziemców zgłaszających się o prawo pobytu, pracy i azylu powoduje, że okres oczekiwania na decyzję władz szwedzkich trwa niezmiernie długo. Wśród czekających jest wielu Polaków. Sporo było wypadków dwuletniego czekania na ostateczną decyzję drugiej instancji, czyli rządu. Karin Andersson, minister do spraw imigracji i pracy, tłumaczy to skomplikowanym trybem biurokratyczno-prawnym i coraz większym napływem podań. Od 1975 roku przyjęto do Urzędu Imigracyjnego 20 nowych urzędników. Właściwe wąskie gardło znajdować się jednak ma w Ministerstwie Pracy, które zdecydowało się obecnie przyjąć czterech nowych urzędników. Liczba ta wydaje się niewystarczająca. Cięcia budżetowe, spowodowane pogłębiającym się kryzysem Szwecji, która przez lata żyła ponad stan, nie pozwalają na rozszerzenie zakresu działalności odpowiednich urzędów. Pani Andersson obiecuje jednak skrócić okres wyczekiwania na decyzję do dziewięciu miesięcy. Wobec zwiększania się fali uchodźców z Polski należy tu zaznaczyć, że szanse uzyskania w Szwecji prawa stałego pobytu, prawa pracy czy azylu są dzisiaj minimalne. Prowadzona dłużej polityka otwartych drzwi wobec imigrantów, zwłaszcza w okresie rozkwitu ekonomii, doprowadziła do tego, że Szwecja, która przed wojną prawie nie miała cudzoziemców czy ludzi obcego pochodzenia, posiada dzisiaj 10 % ludności napływowej. Według nowej ustawy o cudzoziemcach, uchwalonej 5 czerwca 1980 roku, prawa pobytu w Szwecji udziela się jedynie obcokrajowcom, którzy mają rodzinę w Szwecji (dotyczy to dzieci poniżej 16 lat) lub którzy mają „dobrze uzasadnioną obawę przed prześladowaniami z powodu swojej rasy, narodowości, pochodzenia społecznego, religii i poglądów politycznych”. W związku z obecną sytuacją w Polsce, gdzie opozycja wykazała swoją siłę, czynniki oficjalne nie uważają na ogół, że istnieją w tej chwili w Polsce prześladowania polityczne odpowiadające kryteriom ustawy. Toteż policja może z miejsca zatrzymać i wydalic ze Szwecji osobę zgłaszającą się o prawo pobytu i pracy, o ile w swoim podaniu nie zaznaczy wyraźnie, że jest „uchodźcą politycznym”, który „nie może powrócić do swego kraju z powodu panujących tam stosunków politycznych i poda przy tym uzasadnione powody — „ciężko-ważące powody” — jak brzmi dosłownie ustawa. Pomimo podawania takich powodów przeważa w Urzędzie Imigracyjnym tendencja do odmawiania azylu. Petent może odwołać się do rządu, czyli Ministerstwa Pracy i Imigracji, z podaniem nowych i poważnych powodów. Zdarza się, że owe nowe, a przedtem nieznanne, powody brane są przez Ministerstwo pod uwagę i wtedy negatywna decyzja Urzędu Imigracyjnego jest uchylana. Przez cały czas trwania sprawy petent korzysta ze szwedzkiej opieki socjalnej. Lansowana przez paru miejscowych rodaków przed paroma miesiącami na konferencji prasowej i TV myśl utworzenia obozów dla uchodźców miała się z celem i została przez Szwedów odrzucona. Wzbudziłoby to wśród ludzi w Polsce niczym nieuzasadnioną nadzieję na możliwość pozostania w Szwecji względnie dalszej emigracji. Takich możliwości nie ma. Obozy

zostaną w Szwecji stworzone jedynie w razie krwawych wypadków w Polsce. ■ Obławy policji na pracujących nielegalnie Polaków są coraz częstsze. Podajemy tylko dla przykładu: jeden z dzienników prowincjonalnych donosi 14 sierpnia o wydaleniu do Polski 11 sierpnia 13 Polaków pracujących nielegalnie przy zbiorce czarnych porzeczek. Ukarani zostali oni ponadto grzywną. Zatrudniającym ich farmerom grozi kara więzienia. Podobne wiadomości napływały w ciągu lata i na początku jesieni z szeregu innych miejscowości szwedzkich. Prowincjonalna prasa zwraca uwagę na powstałe błędne koło. „Pomoc pracowników zagranicznych jest potrzebna dla terminowej zbiórki owoców. Na wsi brak w okresie urlopów rąk do pracy. Tymczasem policja kryminalna musi stosować się do zaostrożonych przepisów ustawy”. ■ Mnożą się także inne, niepochlebne dla opinii miejscowej Polonii wiadomości prasowe. Dzienniki — zwłaszcza w Malmö, stolicy Szwecji południowej — piszą o kilkusetmilionowych stratach Urzędu Telefonicznego w Malmö spowodowanych przez Polaków sprytnie używających do rozmów zagranicznych polskich złotych. Zatrzymano w Malmö na gorącym uczynku 15 osób. Urząd Telefonów zmuszony będzie wprowadzić nowy typ automatów. ■ W Szwecji przeprowadzono po raz pierwszy nowy typ ćwiczeń wojskowych, mianowicie ogłoszono alarm w jednej z jednostek wojskowych w Południowej Szwecji i przerzucono ją w nocy na wyspę Gotland w celu odparcia obcego oddziału, który jakoby wtargnął na terytorium Szwecji w pogoni za uchodźcami z Polski, których zamierzał porwać po ich wylądowaniu w Szwecji. Manewry te zostały pokazane w telewizji 8. 10. 81, przy czym wyraźnie poinformowano, że ćwiczenie polega na ratowaniu załogi polskiego okrętu wojennego i innych uchodźców, którzy wylądowali na Gotlandzie i ścigani są przez obce wojska. ■ W dn. 29. 9 i 1. 10. 81 odbyły się w Sztokholmie z inicjatywy wydawnictwa „Jedność” dwa wykłady prof. Wiktora Sukiennickiego o „Stosunkach rosyjsko-polskich w toku dziejów. 3. 10. 81 w Lund prof. Sukiennicki mówił o inicjatywie A. Sołżenicyna (w książce *Iz pod głyb*, 1978) rozważenia win Rosjan i Polaków we wzajemnych stosunkach. 5. 10. 81 z inicjatywy Maryli Świątek odbyło się spotkanie z prof. Sukiennickim i dyskusją o stosunkach rosyjsko-polskich w przeszłości i dzisiaj.

Norbert ŻABA

NOTY

„SOLIDARNOŚĆ” NA KONGRESIE CISL

W dniach 9-11 października przebywali w Rzymie na krajowym zjeździe CISL (włoska centrala wolnych syndykatów) delegaci NSZZ „Solidarność”: Andrzej Słowik, członek prezydium KKP i przewodniczący Komitetu Rejonowego w Łodzi oraz Waclaw Korczyński, kierownik wydziału d/s stosunków zagranicznych przy KKP w Gdańsku. Słowik przemawiał w przedostatnim dniu zjazdu, bezpośrednio przed zamykającym wystąpieniem P. Carniti (sekretarz generalny CISL), wobec wypełnionej po brzegi auli *Palazzo dei Congressi*. Powitany został entuzjastycznie — wszyscy wstali z miejsc. Wśród zaproszonych delegacji zagranicznych brakowało przedstawicieli syndykatu sowieckiego, którzy woleli opuścić salę obrad. Węgry, Czesi i Rumuni pozostali na swych miejscach. Słowik oświadczył, że jednym z najważniejszych problemów jest w Polsce sprawa zatrudnienia. Ilość stanowisk pracy zostanie bowiem zredukowana na skutek ko-

niecznej reformy gospodarczej, co dotknie przede wszystkim tych, którzy już żyją w bardzo ciężkich warunkach (a warunki te w najbliższej przyszłości nie poprawią się). Niezależnie od działań doraźnych — na rzecz zaopatrzenia w żywność i opał na zimę — „musimy stworzyć gwarancje strukturalne dla zabezpieczenia społeczeństwa przed indoktrynacją polityczną, która doprowadziła Polskę na próg katastrofy”. Pierwszy zjazd „Solidarności” trwał łącznie 18 dni i wielu delegatów wyjechało z uczuciem niedosytu, że „nie wszystko zostało powiedziane i wpisane do uchwały programowej”. Trzeba jednak pamiętać — powiedział Słowik — że po tylu latach było to pierwsze prawdziwie demokratyczne forum. I fakt ten ma doniosłe znaczenie nie tylko dla naszego kraju. Stało się to możliwe dzięki poparciu moralnemu pracowników na całym świecie. Tego poparcia będziemy nadal potrzebować... Jesteśmy całkowicie świadomi, że wydarzenia w Polsce stanowią szansę nie tylko dla nas, Polaków. I tej szansy nie zmarnujemy”.

D. M.

POLSKI INSTYTUT KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ W RZYMIE

W połowie września zebrało się w Domu Polskim Jana Pawła II w Rzymie kilkanaście osób zaproszonych przez dr. S. Grygiela w celu przedyskutowania koncepcji Instytutu Kultury Chrześcijańskiej, który — jak już informowaliśmy — powołano do życia jako integralną część Domu Polskiego. W zebraniu uczestniczyli przeważnie kapłani pracujący w Rzymie. Z kraju przybyli m.in. ks. prof. J. Tischner i ks. prof. J. Pasierb. Emigrację reprezentowali prof. F. Gross, prezes Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku i prof. P. Wandycz, wybitny historyk. Wybór tych dwóch, szacownych skądinąd uczonych stanowi, delikatnie mówiąc, nieporozumienie. Są bowiem kompletnie oderwani od życia polonijnego i nie orientują się w potrzebach kulturalnych, abstrahując od tego, że nie mają nic wspólnego z akcją zbiorczą na Dom Polski. Zdumiewające jest pominięcie takich instytucji emigracyjnych jak POSK w Londynie, Biblioteka w Paryżu, Fundacje — chociażby Kościuszkowska. W tym samym czasie, kiedy odbywało się to zebranie, przebywał w Rzymie przez dłuższy czas Wł. Zachariasiewicz, nie tylko *spiritus movens* zbiorczą na Dom Polski (a więc i na Instytut, który *nota bene* otrzymał bardzo poważną sumę) w USA i w innych krajach, ale również związany organizacyjnie z wymianą kulturalną i b. prezes Rady polsko-amerykańskich klubów kulturalnych. Miałby na pewno sporo do powiedzenia. Nie był ani zaproszony ani konsultowany, co stanowiło zarówno rażący brak poszanowania reguł dobrych obyczajów, jak i poważny błąd merytoryczny. Zignorowany został również dr S. Frankiewicz, zastępca redakcji polskiej edycji *L'Osservatore Romano*, członek polskiej sekcji międzynarodowego PEN-Clubu i przedstawiciel kolegium redak-

cyjnego miesięcznika *Więź*, tak bardzo przecież zasłużonego dla tworzenia kultury chrześcijańskiej w Polsce. Czy dlatego, że reprezentuje awangardowe, przez długie lata tępione, katolickie środowisko intelektualne w Warszawie? Stefan Frankiewicz jest człowiekiem ogólnie cenionym, zarówno przez członków hierarchii i kleru jak i świeckich, człowiekiem który ma duży wkład — poprzez swą działalność organizatorską i pisarską — właśnie do współczesnej kultury chrześcijańskiej w Polsce. Dr Grygiel zachowuje się tak, jakby odkrył Polskę dopiero w chwili elekcji Jana Pawła II i jakby kultura chrześcijańska zaczęła się od obecnego pontyfikatu. Wyrządza tym samym mimowolną ale obiektywną szkodę prawdziwej wielkości tego pontyfikatu. O co mu właściwie chodziło? Czy tylko o zaszczyt, jaki miał spaść na uczestników zebrania przyjętych przez Papieża? Spotkanie w Castelgandolfo — według opinii interpelowanych przez nas osób — nic *nota bene* nie dało. Trudno się temu dziwić — Papież ma inne kłopoty. Zebranie — zdaniem uczestników z różnych parafii — „było nieudane, pozbawione konkretności, dominowały pojedyncze popisy krasomówcze”. Skończyło się na nieobowiązującej wymianie poglądów. Widocznie jednak tego czy tamtego nurtowała obawa o prowincjonalne zacieśnianie horyzontów i profilu Instytutu, skoro apelowano o to, by ta nowa placówka uwzględniała przekrój geograficzny i kulturalny całego kraju oraz emigrację. Skrytykowano projekt urządzenia w Instytucie zbioru dokumentacji i publikacji odnoszących się do obecnego pontyfikatu. Przecież pracę tę podjął KUL... Takie „samoograniczenie się” rzymskiego Instytutu może zaprzepaścić wielką szansę, jaką stanowi pontyfikat Jana Pawła II dla polskiej kultury!

Nasuwa się zasadnicza uwaga: czy rzeczywiście jest tak trudno przeprowadzić konsultacje z odpowiednimi osobami, zanim się podejmie kosztowną bądź co bądź inicjatywę? Czy faktycznie nie ma odwrotu od konsekwentnego brnięcia z jednego błędu w następny? Ofiarodawcy na Dom Polski mają prawo domagać się jasnej, rzetelnej i niewykrętnej odpowiedzi na te pytania.



P.S. W związku z notą w poprzednim numerze o listopadowych uroczystościach przekazania Domu Polskiego w darze Papieżowi, niezależnie od spodziewanego sprawozdania finansowego, nasuwa się zastrzeżenie do projektu wybicia na tablicy pamiątkowej nazwisk głównych ofiarodawców (od 1,000 dolarów wzwyż). Dlaczego odnotowywać tylko duże ofiary? W narodowym sanktuarium Niepokalanego Poczęcia w Waszyngtonie cała ściana jest wyłożona nazwiskami ofiarodawców bez względu na wysokość daru. Inny przykład: w szpitalu Hadassa w Jerozolimie, który powstał ze składek światowego żydostwa, na małych tabliczkach, którymi są wytapetowane korytarze, podane są nawet najdrobniejsze ofiary. To mobilizuje ofiarnością, a przecież utrzymanie Domu Polskiego i Instytutu wymagać będzie dalszych ofiar ze strony emigracji.

Listy do Redakcji

Paryż, 26 września 1981.

Drogi Panie Redaktorze,

Nie wiem w jakim związku (bo jego tekst tego nie mówi) p. Aleksander Litwin napisał do Redakcji list, dotyczący języka żydowskiego (jidisz) (*Kultura*, wrzesień 1981). W jakim by to związku nie było, szkoda, że zamiast wytłumaczyć jakieś nieporozumienie (co — jak wynika z wywodu — było jego zamiarem), bardzo gruntownie je zaciemnił i pogmatwał.

W kilku miejscach używa p. Litwin terminu „wymowa”, co byłoby rzeczywiście jedynym poprawnym określeniem interesujących go różnic. Ni stąd ni zowąd termin ten rozszerza on na *mowy*, wywodzi, że literacka jest wileńska i nawet wykląda, że „w literaturze żydowskiej najwybitniejsi pisarze pisali w wymowie wileńskiej: Mendele Mocher Sforim, Perec, Szalom Alejchem itd. posługiwali się wymową 'ludową' lub wileńskim dialektem”. Co więcej: „Inteligencja starała się rozmawiać po wileńsku” itd. W rzeczywistości żydowski język literacki jest tylko jeden. Różne wymowy (głównie samogłosek) nie mają z tym nic wspólnego.

Tak jest zresztą niemal we wszystkich językach. We Francji np., chociaż język literacki jest tylko jeden, łatwo odróżnia się po wymowie „południowców” (*méridionaux*), Alzateczyków, Belgów walońskich, romańskich Szwajcarów itd., itd. W Polsce można — według wymowy — odróżnić wileńskich od lwowian, a jednych i drugich od krakowian itd. Adam Mickiewicz wymawiał, a ze współczesnych Czesław Miłosz lub Józef Mackiewicz wymawiają po wileńsku, lecz utwory ich pisane są w tym samym języku polskim, w jakim pisane są utwory krakowian Adama Asnyka i Stanisława Wyspiańskiego, lwowianina Józefa Wittlina, warszawian Bolesława Prusa i Antoniego Słonimskiego, łódzianina Tuwima etc. Co naturalnie nie wyklucza pewnych wyrażeń lokalnych, głównie dla podkreślenia *couleur locale*, czy świadomego użycia gwary dla charakterystyki postaci lub stylizacji (np. staropolszczyzny, zresztą bardzo „aproksymatywnej”, u Wyspiańskiego).

Wracając do listu p. Litwina i języka żydowskiego: inteligencja żydowska (nawet gdyby tak było w istocie, a nie tylko w bardzo wątpliwych osądach p. Litwina) nie mogła „starać się rozmawiać po wileńsku”, ale wymawiać po wileńsku. Albo: żaden z trzech wymienionych przez niego klasyków literatury żydowskiej (Mendele Mocher Sforim, Szalom Alejchem, J. L. Perec) nie mieli nic wspólnego nie tylko z mową, ale nawet z wymową wileńską (to ostatnie wyrażenie jest rodzajem *pars pro toto*. W języku żydowskim nazywa się ona „litewską”). Wreszcie: p. Litwin, wzmiankujący (dla przeciwstawienia) kilkakrotnie język hebrajski, nie zauważył, że i ta mowa, posiadająca jeden tylko pisany język, ma szereg i to bardzo różnych wymów (sfardyjską, aszkenazyjską, „niemiecką” etc.).

Łączę mocny uścisk dłoni i najlepsze pozdrowienia,

Michał BORWICZ

Rzym, 6 października 1981.

W niedzielę 4 października br. odbył się w Rzymie, w sali przy kościele św. Stanisława, odczyt pana Tadeusza Wittlina z Waszyngtonu, poświęcony — najogólniej mówiąc — sytuacji polskiego pisarza na obczyźnie, a zwłaszcza aktualnemu od czasów Wielkiej Emigracji dylematowi, przed którym stawało bardzo wielu, często najwybitniejszych przedstawicieli naszej literatury: czy tworzyć w kraju, czy też poza nim, korzystając z tych dobrodziejstw, jakie w różnych tragicznych okresach naszej historii dawało znalezienie się w warunkach pełnej wolności. Wszyscy wiemy z historii literatury, że dylemat ten przybierał czasem rozmiary osobistego dramatu, znany też cenę, jaką płacili ci, którzy zdecydowali się wybrać los emigranta. W tym zbiorowym polskim losie pan Wittlin także posiada własną, godną szacunku część. Jednakże w jego rzymskim odczycie znalazła się opinia, która wzbudzić musiała co najmniej zdziwienie. Otóż mówiąc o powojennych powrotach do Polski niektórych poetów, zwłaszcza z grupy Skamandra, poświęcił on część swego odczytu osobie Antoniego Słonimskiego i to w bezpośrednim kontekście ostrych charakterystyk odnoszących się do Władysława Broniewskiego, autora poematu na cześć poeńskiego „maszynisty rewolucji” oraz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, autora znanego — nie ze szkolnych wypisów — wiersza o złotych obrączkach... Ale nie sam kontekst i objęcie powojennej działalności wszystkich tych poetów tą samą negatywną oceną moralną wzbudzać musiały zasadniczy sprzeciw. Prelegent mówił o Antonim Słonimskim tak, jakby na głośnym „Alarmie” skończyła się postawa nonkonformizmu i obywatelskiej godności tego pisarza. Nawet jego prezesura w Związku Literatów Polskich — dodajmy, krótko — trwała i sprawowana w latach po Październiku 56, a nie przed — oceniona została w kategoriach wygodnego serwilizmu i „odpłacania się”. Ani słowa o latach skazania na milczenie, o Marcu 68, o odważnym, trwającym do końca wyrażaniu własnych poglądów. Ani słowa o tych wszystkich aktach osobistej odwagi, dzięki którym autor „Alarmu” stał się powszechnie szanowaną instytucją polskiego życia nie tylko literackiego. Zaświadczył o tym najwymowniej, przed pięć laty, pogrzeb poety. Pogrzeb, który był wielką manifestacją patriotyczną.

Jest rzeczą trochę żenującą przypomnianie publicznych zasług Antoniego Słonimskiego. Znają je miliony Polaków mieszkających nad Wisłą. Zdecydowałem się jednak napisać ten list: nie tyle jako jeden spośród czworga ustanowionych przez poetę wykonawców jego testamentu, ile z powodu zaobserwowanego podczas odczytu „drobiazgu”. Pan Wittlin miał w kłapie marynarki, widoczny z daleka, znaczek „Solidarności”. Znaczek, który wskazuje na rodzaj potrzebnej dziś więzi społecznej. A jednocześnie, jak się wydaje, znak naszych związków z wartościami i tradycjami, bez których nie byłoby w nas tej tak powszechnie odczuwanej potrzeby solidarności. Znak zatem także pamięci o tych, którzy w dziele budzenia społecznej i narodowej solidarności odegrali w naszej najnowszej historii rolę szczególną. Bez nich nie byłoby „Solidarności”. Antoni Słonimski był jednym z nich

Stefan FRANKIEWICZ

Do Redakcji *Kultury*
w Paryżu

P. Maciej Broński, któremu bardzo dziękuję za artykuł o *Wiadomościach* w wrześniowym numerze *Kultury*, wymienił trzy „istniejące obecnie relacje” o dziejach pisma. Chciałabym uzupełnić tę listę.

W kraju Kazimierz Koźniewski, doskonały znawca prasy przedwojennej, jedną trzecią swej książki o tygodnikach 20-lecia („Historia co tydzień”) poświęcił *Wiadomościom Literackim*. Ostatnio zamieścił w *Polityce* (30. 5. 1981) artykuł pt. „Śp. *Wiadomości*”, tym razem mówiąc także o *Wiadomościach* powojennych. *Wiadomościami Literackimi* i Grydzewskim zajmuje się również Waldemar Smaszcz. Jego artykuł pt. „Mieczysław Grydzewski, Redaktor ze Złotej”, który ukazał się w miesięczniku *Więź* (nr 6, czerwiec 1980), przedrukowały *Wiadomości* w grudniowym numerze 1980. W nrze 9 *Twórczości* (wrzesień 1980) ukazał się drugi artykuł Smaszcza, zatytułowany „Impresario Skamandrytów¹”. Szesnaście odnośników do jednego z tych artykułów świadczy, że Smaszcz poważnie zajmuje się tym tematem.

Na emigracji ukazały się dwie książki zbiorowe: „XXX-lecie *Wiadomości*” (1957) i „Książka o Grydzewskim” (1971)². Wzięło w nich udział ok. 80 autorów, przeważnie pisarzy. Obok okolicznościowych wspomnień i anegdot znalazły się tam również źródłowe opracowania dzieł pisma w ciągu półwiecza i charakterystyka Grydzewskiego (Wiktor Weintraub, Paweł Hostowiec, Tymon Terlecki, Stefania Zahorska, Stanisław Stroński, Marian Hemar, Maria Danilewiczowa i in.).

Jubileuszowy numer *Wiadomości*, wydany w ich 50-lecie w styczniu 1974, przyniósł również wiele uwag o *Wiadomościach Literackich* ich dawnych współpracowników, do których się zwróciłam. Na ankietę odpowiedziało 23 pisarzy, w tym czworo z kraju (prof. Stanisław Helsztyński, Kazimierz Hłakowiczówna, Roman Jasiński i Antoni Słonimski).

Na wieczorze *Wiadomości*, który odbył się w czerwcu 1980 w Londynie, Tymon Terlecki dał rzeczowy skrót historii pisma (ogłoszony w *Wiadomościach* z 17. 8. 1980). Ja również, poza „Komentarzami” w ostatnim numerze *Wiadomości*, o których wspominał p. Broński, mówiłam o nich na tym samym wieczorze i pisałam wiele razy o ich powojennym okresie, m.in. we wstępie do przygotowanego przeze mnie wyboru utworów pt. *Wiadomości na emigracji*³ (1968). Obecnie, na zamówienie radia Wolna Europa, które dostaje z kraju wiele pytań dlaczego *Wiadomości* przestały się ukazywać, przygotowałam dłuższe opracowanie o 57-letniej historii pisma i powodać jego zamknięcia.

Tę ostatnią informację, świadczącą o zainteresowaniu czytelników krajowych, kieruję specjalnie pod adresem p. Danilewicz Zielińskiej, która w numerze 7/8 *Kultury* zarzuciła *Wiadomościom* „brak rozeznania sytuacji krajowej”, przeciwstawiając im pisma, które zamieszczają przedruki z pism krajowych.

Wydaje się, że p. Danilewicz Zielińska od dawna nie miała w ręku *Wiadomości*, choć o nich pisze i nie wie, że od roku 1976 ogłaszamy regularnie utwory opozycyjnych autorów krajowych. Jedne były autoryzowane przez wydawców („Index on Censorship”) przedrukami, głównie z *Zapisu*, inne przysyłane wprost do *Wiadomości* z kraju. Trudno tu wyliczać ok. 40 nazwisk tych autorów (w paru wypadkach występowali pod pseudonimem), wspomnę tylko niektóre dla przykładu: Bartoszewski, Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Marek Nowakowski, Kijowski, Kisielewski, Konwicki, Orłoś, Szaruga, Zagajewski, Jerzy Zagórski... Większość utworów miała charakter literacki, zgodnie z charakterem *Wiadomości* (proza i wiersze), nie brakło jednak politycznych, jak np. całostronicowy prze-

1. Po raz pierwszy zobaczyłam w prasie krajowej nazwisko Mariana Hemara, którego „epitafium” cytuje Smaszcz na zakończenie swego artykułu: „Tu leży Grydzewski, nie bójcie się o niego, / On już jest redaktorem Pisma Świętego”.

2. Grydzewski umarł w roku 1970, a nie 1980, jak przez pomyłkę podano w artykule M. Brońskiego.

druk wyjątków z „Czarnej księgi cenzury”, która ukazała się w roku 1977 na Zachodzie („Aneks”), czy „Refleksje po XX Zjeździe Literatów” Tomasa Burka. Nie wymieniam tu licznych recenzji z książek krajowych (przeważnie Alicji Lisieckiej) ani artykułów o tematyce krajowej (np. dyskusja, w której wzięli udział Tadeusz Bielecki i Adam Ciołkosz, nad odczytem Stefana Kisielewskiego, wygłoszonym w Londynie, pt. „Jak widzę przyszłość Polski”). Przypomnę jeszcze tylko, że nagrodę *Wiadomości* otrzymało dwóch pisarzy krajowych: Stanisław Barańczak (1978) i Tadeusz Konwicki (1980).

Nie bardzo rozumiem, co p. Danilewicz Zielińska ma na myśli, mówiąc o „rozeznaniu sytuacji krajowej” i jaki to ma związek z zamknięciem *Wiadomości*, które dramatycznie nazywa „kłęską”. Wydaje mi się, że pewnym sprawdzianem „rozeznania” w sprawach krajowych jest zaangażowanie osobiste, potwierdzone wyrokiem cenzury PRL. Czołowi pisarze *Kultury* i *Wiadomości* i redaktorzy obu tych pism znajdują się na jej „czarnej liście”; z 15 członków jury nagrody *Wiadomości* — do którego należy również p. Danilewicz Zielińska — dziewięciu jest objętych cenzurą (Garliński, Iwaniuk, Kossowska, Łobodowski, Mackiewicz, Nowakowski, Odojewski, Romanowiczowa, Terlecki). Przy moim nazwisku na liście cenzury (z roku 1977) jako powód na pierwszym miejscu podano *Wiadomości*, przed pracą radiową.

Umieszczenie mnie na „czarnej liście” jest dla mnie wystarczającą oceną mojego „rozeznania sytuacji krajowej”.

Stefania KOSSOWSKA
Londyn

Londyn, 11 września 1981.

Szanowna Redakcjo,

Wydaje mi się, że krytyczne uwagi pod adresem mej noty „Wałęsa w Japonii” (*Kultura* nr 7/8, 1981), zawarte w liście p. Nędzyńskiego, są jednak wynikiem odmiennej (a w mej opinii mylnej) interpretacji niewątpliwie złożonego zjawiska ruchu związkowego w Japonii, oraz raczej błędnego zrozumienia podstaw merytorycznych mej noty*. Nie było moim zamiarem wszczęcie polemiki na temat spraw polityki związkowej w Japonii, skoro jednak p. Nędzyński na tym skupił swoją uwagę, to poczuwam się do zajęcia stanowiska wobec zarzutów zawartych w jego liście, które w absolutnej większości uważam za bezpodstawne, a niektóre wywody za wręcz naiwne.

Odnosnie związku *Sóhyó* i jego powiązań z JPS — z zastrzeżeń p. Nędzyńskiego należałoby sądzić, że w przeszłości może było inaczej, ale obecnie *Sóhyó* jest związkiem całkiem „apolitycznym”, będącym głównym rzecznikiem ogółu mas robotniczych, zajmującym się wyłącznie sprawami związkowymi, a na dodatek w polityce JPS zaszyły zmiany, których ja rzekomo nie dostrzegam. Otóż wydaje mi się, że p. Nędzyński jest albo źle poinformowany, albo ulega złudzeniom. Na pierwszy rzut oka tak może wyglądać, *Sóhyó* jest bowiem największą z trzech głównych federacji, zrzeszającą, jak p. Nędzyński „dowodzi”, około 4 mln robotników (raczej „pracowników”, bo związek obejmuje prawie cały sektor służby państwowej i publicznej). Lecz czy rzeczywiście można uważać związek ten za głównego rzecznika robotników japońskich, na jakiego lubi pozować (i za jakiego być może

* Nota moja była zamieszczona w niepełnej, skróconej wersji, co niestety (do pewnego stopnia tylko) odbiło się na ogólnym charakterze przekazu komunikacyjnego.

uchodzi za granicą, lecz nie w Japonii)? Oto kilka faktów: jak podaje *Japan Economic Yearbook 79/80 (Oriental Economist)* „w Japonii jest 14 mln robotników zrzeszonych w związkach, z czego: *Sōhyō* — 34 %, *Dōmei* — 18 %, *Churitsuroren* — 10 %, a reszta (związki bez żadnych „federacyjnych” powiązań) — 38 %. Lecz to tylko 14 mln, a co reszta rzeszy robotniczej, obliczana na około 32 mln (z 55 mln ogółu siły roboczej)? Otóż to, Iwica część robotników Japonii do związków nie należy głównie dlatego, że nie odczuwa potrzeby przynależności. Jest to bardzo specyficzny fenomen społeczny Japonii, którego wytłumaczenia nie sposób ująć w kilku zdaniach (uwadze zainteresowanych tym zagadnieniem polecam: C. Nakane, *Japanese Society* (Penguin, 1970); E. Vogel, *Japan's New Middle Class* (UCP, 1963); N. Sasaki, *Management & Industrial Structure in Japan* (Pergamon, 1981); *Nihonjin no Shokugyokan* (NHK, Tokyo, 1979)). Taka postawa większości robotników japońskich, zmierzająca w kierunku współpracy, a nie konfrontacji z kierownictwami przedsiębiorstw, nie mieści się w głowie przeciętnego aktywisty związkowego na Zachodzie, a dla działaczy *Sōhyō* jest przysłowiową solą w oku.

Jeżeli chodzi o JPS, to nie wydaje mi się, żeby zaszyły jakiegokolwiek zmiany w jej zasadniczych postulatach społeczno-politycznych, których głównym założeniem nadal jest traktowanie społeczeństwa japońskiego z pozycji „walki klas”. Partia ta obecnie znajduje się w stanie głębokiego kryzysu; maleje stale jej baza członkowska (nie wiem dlaczego p. Nędzyński nazywa ją „drugą co do wielkości”), i maleje baza wyborcza, co w szczególności jaskrawy sposób wyszło na jaw w czasie ostatnich wyborów w czerwcu 1980 (JPS uzyskała zaledwie 12 % ogółu głosów). Szczytem marzeń JPS było zawsze (i nadal jest) „naturalne zlanie interesów Partii z interesami związków”, a idealnie z ogółem mas robotniczych, dlatego nadal głównym obiektem jej agitacji są związki zawodowe (choć nie tylko), a głównym „ramieniem” tej agitacji *Sōhyō*. Nie bardzo rozumiem, czego p. Nędzyński chce dowiedzieć przez powoływanie się na slogany afiszowe — chyba nie sądzi, że „publiczne afiszowanie się” miałem na myśli, mówiąc o agitacji politycznej (wystarczy śledzić uważnie takie dzienniki jak *Nihon Keizai Shinbun* czy nawet *Shukan Minsha* (organ jap. DSP), żeby zorientować się, co się w chwili obecnej dzieje z JPS). Odnosnie „prawa do strajku” (zagwarantowanego ustawą jako jedno z „podstawowych praw”), to istotnie nie przysługuje ono pracownikom sektora państwowego (konkretnie chodzi o pięć korporacji państwowych, m.in. Japońskie Koleje Państwowe oraz Służby Pocztowo-Telekomunikacyjne). Ścisłe mówiąc chodzi o tzw. *National Public Service Law* (z grudnia 1948), który jest reliktem z czasów powojennej administracji okupacyjnej (SCAP). Trzeba stwierdzić, że głównym celem powyższego aneksu było zabezpieczenie sprawnego funkcjonowania prawie w niczym nie różni się ani od USA, ani od większości państw nie lewicowych, które to tendencje pojawiały się, mniej lub bardziej silnie, i w latach siedemdziesiątych, np. Ruch „Hansen Undó”. W podtrzymywaniu tego prawa, obejmującego kluczowe sfery bezpieczeństwa państwa, Japonia prawie w niczym nie różni się ani od USA, ani od większości państw demokracji zachodnich (ponieważ podejrzewa mnie p. Nędzyński o postugiwanie się źródłami „wrogimi związkom czy też JPS”, polecam jego uwadze *Japanese Imperialism Today* (by J. Halliday & McCormack Pelican 1973/1976 ed.), gdzie znajdzie coś niecoś na temat taktyki walki lewicy z „imperializmem” japońskim, a zapewniam że bardziej zajadłych „wrogów imperializmu zachodniego” od autorów powyższego pamfletu nie znajdzie; należy przypuszczać, że uwagi i komentarze p. Nędzyńskiego są oparte nie tylko i wyłącznie o „lata współpracy z *Sōhyō*”. Taka jest teoria, a w praktyce robotnicy z sektora państwowego biorą udział w corocznym „karawale” zwanym *shuntō* („ofensywa wiosenna”) jak każdy inny, a na razie

nie mi nie wiadomo, żeby któryś ze związków wchodzących w skład *Sōhyō* się „zrzułował” (mówiąc o rujnowaniu, to zależy „kto kogo”; jedną z głównych przyczyn, dla których kolejne rządy japońskie zaważyły się przed zlikwidowaniem powyższego prawa był i jest drastyczny stan deficytowy sektorów objętych tym prawem, obciążający w bardzo poważny sposób ogół budżetu państwowego).

Wracając do sprawy komunikatu „Solidarność-*Sōhyō*” oraz końcowej uwagi p. Nędzyńskiego, podkreślającej związkowy charakter wizyty delegacji polskiej. Otóż pozwolę sobie raz jeszcze zwrócić uwagę na jeden bardzo ważny aspekt wizyty, którego p. Nędzyński zdaje się nie dostrzegać: gdyby rzeczywiście chodziło o wizytę czysto związkową, to najprawdopodobniej nie byłoby o czym pisać. Rzecz w tym, że delegacja „Solidarności” występowała i była traktowana przez szeroki ogół społeczeństwa japońskiego przede wszystkim jako przedstawicielka nowego ruchu społecznego w Polsce w najszerszym tego słowa znaczeniu, jako reprezentantka „nowej, odradzającej się Polski”. Wizyta ta w dużej mierze przyczyniła się do lepszego zrozumienia głębokich przemian społecznych zachodzących w Polsce, i w tym sensie należy ją uważać za duży sukces. Wydaje mi się, że Japończycy doskonale zrozumieli nadzieje i aspiracje jakie z ruchem tym wiąże naród polski.

Można uważać za „całkiem naturalne”, jak konkluduje p. Nędzyński, że delegacja „Solidarności” na zaproszenie *Sōhyō* przyjechała (za co należy się *Sōhyō* kurtuazyjne podziękowanie). Można nawet uważać za „całkiem naturalne” kurtuazyjne podpisanie ogólnikowego komunikatu z gospodarzami wizyty. Można mieć jednak pewne wątpliwości, czy zgodzenie się na wsuniecie do komunikatu oświadczenia dającego komuś jednostronne korzyści polityczne może być poczytane za wyraz właściwego rozeznania w sytuacji społeczno-politycznej w Japonii.

Z poważaniem,

Janusz MONDRY

Szanowny Panie Redaktorze!

Stockholm, 23 sierpnia 1981.

W *Kulturze* nr 6 i 7-8 br. p. A. Koraszewski zamieścił dwa artykuły dotyczące spraw polsko-szwedzkich, pełne rzeczowej informacji i ciekawych spostrzeżeń. Ma on też rację gdy pisze, że w sprawie polskiej „przywódcy szwedzkich partii politycznych zgodnie nabrali wody w usta”. To prawda — oficjalnie. Nieoficjalnie natomiast „Moderaci” (partia umiarkowanych konserwatystów, druga co do wielkości w Szwecji), w rozmowach prywatnych i partyjnych są po naszej stronie i podkreślają, iż mimo tak trudnej sytuacji w Polsce walkę prowadzimy demokratycznie i nie ma u nas terroryzmu — co bardzo wysoko oceniają. Za przykład poparcia i sympatii niech posłużą dwie sprawy — już ponad półtora roku temu młodzi „Moderaci” wydali broszurkę (załączam) prezentującą KOR i zorganizowali zbiórkę pieniężną, natomiast od roku, dokładnie 17 sierpnia (!) rozpoczęło nadawać półgodzinne regularne programy:

„POLSKIE RADIO MODERATA
Niedziele 9.00 - 9.25 FM-88 MHz
Vysilani v jazyce ceském
9.25 - 9.30 FM-88 MHz”.

Program jest robiony społecznie przez grupę młodych uchodźców politycznych, koszty płacą Szwedzi. Wykorzystujemy m.in. teksty z *Kultury*,

a w jubileuszowej audycji mówimy o samej *Kulturze*. Od pierwszej audycji ostatnie 5 minut programu nadajemy w języku czeskim — to nasz dobrowolny gest, pomocna dłoń na południe. W Szwecji Polacy mają do zdobycia:

- 1) stały program radiowy na antenie ogólnokrajowej,
- 2) stały program TV,
- 3) polskiego posła w Riksdagu (sejmie).

ad 1 — Radio Szwedzkie nadaje program na zagranicę w 5 językach,
ad 2 — w TV są programy po fińsku, grecku, jugosłowiańsku a nawet turecku, choć Turków jest mniej niż Polaków!
ad 3 — obecnie w Riksdagu jest poseł grecki (komunista) i posłanka fińska (socjaldemokratka).

Przeprowadziłem już sporo rozmów na różnych szczeblach odnośnie możliwości i potrzebnej nam Polakom reprezentacji w tych 3 instytucjach, nigdy nie spotkałem się z niechęcią, Szwedzi są ZA, ale twardo stawiają jedno pytanie — ilu was jest, którzy tego chcą? I tu trzeba się ze wstydu rumieć! Krótka diagnoza: — gdyby z 5 tys. Polaków zamieszkałych w Sztokholmie tylko 10 % zapisało się do partii politycznych (proponuję 250 do Polskiego Związku Moderatów i 250 do Polskiej Partii Socjalistycznej) — to te 3 punkty byłyby zrealizowane. Korzyści dla ojczyzny wyjaśnić nie trzeba. W 1982 roku będą nowe wybory do Riksdagu. Ewentualne pretensje możemy mieć do samych siebie.

Pozostaję z szacunkiem,

Jan ZUCHOWSKI (m)

Dokumenty

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Warszawa, 23 września 1981 r.

OŚWIADCZENIE

W lecie 1976 roku podjęto akcję pomocy robotnikom represjowanym za udział w czerwcowych strajkach. 23 września 1976 roku zawiązaliśmy w tym celu Komitet Obrony Robotników. Stanowiliśmy grupę osób o różnych przekonaniach politycznych i światopoglądowych. Połączyło nas przekonanie, że najważniejszą drogą w celu położenia tamy bezprawiu jest solidarne działanie społeczeństwa, tworzenie niezależnych instytucji społecznych, które, wyrażając wolę poszczególnych grup, skutecznie bronią praw obywatelskich. Podstawą naszych dążeń były: przekonanie o niezbywalności praw człowieka i obywatela oraz świadomość, iż każde społeczeństwo jest zobowiązane do samoobrony wobec przemocy. W ciągu następnego roku dla tysięcy robotników wyrzuconych z pracy, bitych w komendach MO i aresztowanych organizowaliśmy pomoc finansową, prawną i lekarską.

We wrześniu 1977 roku — po zwolnieniu z więzień wszystkich robotników Radomia i Ursusa — Komitet Obrony Robotników uznał za niezbędne rozszerzenie swych celów i zadań w taki sposób, aby działaniem objąć ludzi wszystkich warstw i środowisk pozbawionych praw i obrony. Komitet Obrony Robotników przyjął wtedy nazwę Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” i sformułował cztery zasadnicze cele swego działania:

- 1) Walka z represjami stosowanymi z powodów politycznych, światopoglądowych, wyznaniowych, rasowych oraz udzielanie pomocy ludziom z tych powodów prześladowanym.
- 2) Walka z łamaniem praworządności i pomoc pokrzywdzonym.
- 3) Walka o instytucjonalne zabezpieczenie praw i wolności obywatelskich.
- 4) Popieranie i obrona wszelkich inicjatyw społecznych zmierzających do realizacji praw człowieka i obywatela.

Siłą naszego ruchu była ludzka solidarność. Ofiarna pomoc obrońców praw ludzkich i obywatelskich w kraju i za granicą, szczególnie Polaków na obczyźnie, stanowiła materialną podstawę naszej działalności — od wspomagania bezprawnie pozbawionych pracy poczynając, na wspieraniu wielu poważnych inicjatyw kończąc. Działalność nasza nie byłaby jednak możliwa, gdyby nie ruch demokratyczny, który rósł i rozwijał się wokół nas w setki i tysiące współpracowników i działaczy. To oni, nie bacząc na szykany

i wszelkiego rodzaju represje policyjne — rewizje, areszty, nierzadko bicie — powielali i kolportowali nasze dokumenty i oświadczenia, zbierali i przekazywali nam informacje, zakładali i prowadzili niezależne pisma — jak *Biuletyn informacyjny*, *Biuletyn dolnośląski*, *Głos*, *Krytyka*, *Placówka*, *Puls* i *Robotnik*, czy wreszcie zastrzyżony ośrodek wydawniczy NOW-a, oni rozprawdzali setki tysięcy ulotek informujących społeczeństwo o potrzebie samoobronnych reakcji na bezprawie organów ścigania czy sądownictwa, oni nawiązywali niezależne kontakty z robotnikami, chłopami, studentami, inteligencją — kontakty, które w wielu wypadkach przekształciły się w trwałe więzi. Oni stawali przed sądami i kolegiami do spraw wykroczeń, oskarżeni nie o swą działalność, tylko o chuligaństwo czy warcholstwo. To dzięki nim mogliśmy utworzyć Biuro Interwencyjne, które swoją opieką objęło skrzywdzonych, zgłaszających się do nas z obszaru całej Polski. Dzięki nim mogliśmy zorganizować bank informacji, przy pomocy którego przekłamana została bariera milczenia i kłamstwa wokół wszelkich wykroczeń dokonywanych przez władze państwa będącego sygnatariuszem paktów praw człowieka i obywatela. Słowem, to dzięki nim mogliśmy spełniać przez lata zadania, w służbie których określiliśmy się jako Komitet Samoobrony Społecznej. Nie zostaliśmy poddani najwyższym próbom, mogliśmy działać przede wszystkim dzięki poparciu społeczeństwa. Wiele zawdzięczamy śp. kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu, prymasowi Polski, który niejednokrotnie brał nas w obronę przed prześladowaniami, a także innym autorytetom moralnym świata kultury i nauki w kraju i na obczyźnie. Byliśmy głęboko przeświadczeni, że tylko jawne wyzwanie rzucone bezprawiu może zapoczątkować klęskę tego bezprawia, a położyć temu bezprawiu kres może tylko całe społeczeństwo, solidarnie występujące przeciw przemocy stosowanej wobec jakiegokolwiek grupy obywateli i jakimkolwiek pojedynczemu obywatelowi. Dziś prawdziwie potężnym narzędziem samoobrony społecznej stały się niezależne instytucje społeczne, a przede wszystkim NSZZ „Solidarność”, który stanowi autentyczne przedstawicielstwo naszego społeczeństwa. Rozpoczynając niegdyś otwartą i nierówną walkę nie przypuszczaliśmy, że tak szybko spełni się nasza wizja społeczeństwa powszechnie domagającego się samodzielnosci, samorządności, sprawiedliwości, kontroli nad gospodarką i decyzjami władz, demokracji i jawności życia politycznego, zasadniczego poszerzenia swobody myśli i wypowiedzi, dostępu do środków masowego przekazu, zaniechania represji przez władzę. Na najwyższych szczeblach — o ile rząd dochowa wierności społecznym porozumieniom — rozpatrywane być mają z delegatami wielomilionowej „Solidarności” wszelkie decyzje ważące na życiu obywatela PRL. NSZZ „Solidarność” utworzył i tworzy liczne agendy i komisje, mające zajmować się tym, czym zajmował się przez kilka ostatnich lat — na miarę jego sił i możliwości — Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”. Wielu z jego członków i współpracowników jest dziś członkami „Solidarności”, nierzadko pracują w niej jako eksperci lub po prostu ludzie o wieloletnim doświadczeniu. Uważamy, że ten, komu bliskie były niegdyś cele Komitetu Obrony Robotników, a później Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”, wspierać dziś powinien — zależnie od swych kompetencji i umiejętności — „Solidarność” i działać w jej szeregach lub na jej rzecz. Uważamy, że społeczeństwo jest dziś gotowe do powodowania przemian w naszym kraju zdewastowanym totalitaryzmem, korupcją i samowolą władz. Uważamy, że dzisiaj, w momencie obrad zjazdu i pierwszych demokratycznych wyborów do władz „Solidarności”, jej siłom i zamiarom należy powierzyć walkę o naprawę Rzeczypospolitej Polskiej. W piątą rocznicę powstania Komitetu Obrony Robotników uznajemy naszą działalność za zakończoną. Nikt nie może zarzucić nam, że decyzja ta podyktowana została lękiem przed nieuczynnymi atakami oficjalnej propagandy rodzimej i obcej. Podejmujemy ją, wierni wartościom, którym zawsze staraliśmy się służyć: uczciwości i prawdzie. Byli wśród nas ludzie różnych pokoleń, tradycji, orienta-

cji ideowych. Łączyła nas troska o wszystkich krzywdzonych i bitych. Pragnęliśmy dawać temu świadectwo — bez względu na zagrożenie osobiste, bez względu na polityczną taktykę, bez względu na to, kim jest prześladowany. Kierowaliśmy się przekonaniem, że „nie może być sprawiedliwej Europy bez niepodległej Polski na jej mapie”.

Służyliśmy sprawie wolności Polski i wolności Polaków w Polsce tak jak mogliśmy i umieliśmy, jak dyktowało nam sumienie i obywatelskie rozeznanie sytuacji. Mieliśmy przed oczyma ideał Polski, która szczyła się niegdyś tolerancją i wolnością, Polski, która umiała być wspólną ojczyzną Polaków, Białorusinów, Litwinów, Ukraińców, Żydów, ojczyzną wszystkich swych obywateli — bez względu na ich język, wyznanie, pochodzenie narodowościowe. Nie do nas należy ocena naszej pracy. My chcielibyśmy, aby stanowiła ona wkład do wielkiego narodowego dzieła: tworzenia niepodległej, sprawiedliwej, demokratycznej Polski.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”:

Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Konrad Bieliński, Seweryn Blum-sztajn, Bogdan Borusewicz, Andrzej Celiński, Mirosław Chojecki, Ludwik Cohn, Jerzy Ficowski, ks. Zbigniew Kamiński, Wiesław Piotr Kęcik, Jan Kielanowski, Leszek Kotakowski, Anka Kowalska, Jacek Kuroń, Edward Lipiński, Jan Józef Lipski, Jan Lityński, Antoni Macierewicz, Adam Michnik, Halina Mikołajska, Ewa Milewicz, Piotr Naimski, Wojciech Onyszkiewicz, Antoni Pajdak, Zbigniew Romaszewski, Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Józef Śreniowski, Maria Wosiek, Henryk Wujec, ks. Jan Zieja.



Na zebraniu w dniu 23 września 1981 roku KSS „KOR” upoważnił Radę Funduszu Samoobrony Społecznej w osobach: Jana Kielanowskiego, Edwarda Lipińskiego, Jana Józefa Lipskiego, Haliny Mikołajskiej, Piotra Naimskiego, Józefa Rybickiego, Aniela Steinsbergowej, Henryka Wujca, Jana Zieji — do kontynuowania dotychczasowej działalności Funduszu zgodnie z intencjami ofiarodawców.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”



Obydwa powyższe dokumenty odczytane zostały 28. 9. 1981, trzeciego dnia obrad drugiej sesji I Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”, przez prof. Edwarda Lipińskiego, jednego z założycieli KOR-u. Po odczytaniu oświadczenia KSS „KOR” prof. Lipiński wygłosił przemówienie, którego fragmenty podajemy poniżej*:

„KSS 'KOR' uznał, że zakończył swoje działanie. Inne siły wzięły na swoje bardziej potężne ramię tę pracę walki, te zadania walki o niepodległą Polskę, o prawa człowieka i obywatela, walki, która ciągle jeszcze musi trwać (...) Ciągłe są jeszcze siły, które zdążają do nawrotu dawnych stosunków (...) Sam byłem przerażony niedawno, kiedy usłyszałem od gen. Jaruzelskiego, że gotów jest zmobilizować wojsko dla obrony spraw socjalizmu w Polsce (...) Jak wojsko może bronić socjalizmu w Polsce? (...) W te-
lewizji widzieliśmy dwa takie przedstawienia, kiedy to były rozmowy z żoł-

* Cytujemy według Serwisu Informacyjnego Biura Informacji Prasowej KKP NSZZ „Solidarność”, wydanie zjazdowe, nr 14/316, Gdańsk, 28. 9. 1981.

nierzami. Żołnierze ci oświadczali gorąco, że są gotowi bronić socjalizmu i są gotowi spełnić rozkazy. Jakież to rozkazy mogą być przez władze wojskowe ogłaszane? Jakież to rozkazy wydane dla obrony socjalizmu? Strzelać, takie ja miałem wrażenie. Obrona socjalizmu to jest sprawa zasad, sprawa teorii, sprawa poglądów politycznych. Jak mogły powstać takie sytuacje, że najwyżsi przedstawiciele władz państwowych grożą nam interwencją wojska w obronie rzekomo socjalizmu (...) Co to znaczy zagrożenie socjalizmu? Co to są za siły antyrewolucyjne i antysocjalistyczne? Socjalizm to (...) miała być lepsza gospodarka niż kapitalistyczna, to miała być większa wolność niż w kapitalizmie, to miało być rozwiązanie sprawy robotniczej, wyzwolenie klasy robotniczej. To miało być stworzenie warunków, w których każdy człowiek może być uniwersalnie rozwinięty i mieć wolny nieskrępowany dostęp do dóbr kulturowych i cywilizacji. Stworzono jednak socjalizm, który był złą gospodarką, nieumiejętną gospodarką, marnotrawczą gospodarką. To właśnie socjalistyczny system ekonomiczny doprowadził nie do kryzysu ekonomicznego, tylko do katastrofy gospodarczej, do katastrofy, która nie ma sobie równych w historii stu albo dwustu ostatnich lat (...) Sam uważam się za socjalistę od 1906 roku. Ale właśnie walka o lepszą gospodarkę, o demokratyczną gospodarkę, o własność środków produkcji nie państwową, gdzie właścicielem jest grupa nowych prywatnych właścicieli środków produkcji tylko o społeczną własność środków produkcji, o demokratyczne zarządzanie fabrykami, o wolność polityczną, która jest celem wszelkiego socjalizmu, o zniesienie cenzury, o możliwość pełnego rozwoju narodu polskiego. I to właśnie są siły antysocjalistyczne i antyrewolucyjne, a według mego mniemania to ten ich socjalizm jest właśnie antysocjalistycznym i antyrewolucyjnym (...) Nie wszyscy jesteśmy socjalistami (...) ale wszyscy jak tu jesteśmy walczymy o te same cele. Nie ma w Polsce sił znaczących, jakichkolwiek, które by pragnęły reprivatyzacji środków produkcji, reprivatyzacji huty Katowice albo huty im. Lenina. Nie ma takich sił. Natomiast wszyscy rozumiemy, że tam, gdzie chodzi o drobny przemysł, handel drobny, o rzemiosło, powinna być prywatna inicjatywa, ponieważ tylko prywatna inicjatywa może w sprawny sposób sterować tymi przedsiębiorstwami (...) A są siły, które dążą do wolności, żądają wolności, żądają normalnych warunków dla życia narodu polskiego, i to nie są „siły antysocjalistyczne”.

WYSTĄPIENIE MARIANA RAJSKIEGO, DELEGATA NA MIEJSKIEJ KONFERENCJI PARTYJNEJ W GDYNI W DNIU 16 MAJA 1981 R.

TOWARZYSZE!

Nie wszyscy mają zaufanie do cytatów. Zbyt wiele wygłoszono ich bez pokrycia w ostatnich 36 latach. Ale jest jeden, którego nie sposób pominąć w obecnej sytuacji politycznej naszego kraju. Jest to wypowiedź zmarłego przed paru miesiącami reżysera filmowego, twórcy filmów o tematyce robotniczej, Wojciecha WISZNIEWSKIEGO. Napisał on na łamach jednego z tygodników: „Naszym moralnym obowiązkiem jest atakowanie stref

milczenia, podejmowanie tematów tabu, których granice są niejednokrotnie wytyczone przez nasze domniemania, a nie przez rzeczywiste zakazy. Taka postawa prowadzi do rozwoju demokracji, a ta jest najtańsza z inwestycji koniecznych”.

Dlaczego wybrałem akurat ten cytat na motto mojego wystąpienia? Odpowiadam.

W ostatnich miesiącach dysponowałem dużą ilością czasu. Czas ten poświęciłem na czytanie i słuchanie prawie całej publicystyki ukazującej się w Polsce w ostatnich miesiącach i poświęconej krzyżowskiemu politycznemu w naszej partii i przyczynom załamania się naszej gospodarki. Przebaczenie towarzysze porównanie, ale cała ta publicystyka, tak eksponowana w publikatorach będących pod kontrolą partii, jak i poza tą kontrolą, przypomina konsylium znachorów, nad śmiertelnie chorym pacjentem. Każdy z osobna zna prawdę i jest przekonany, że pacjent umiera. Ale zebrawszy się razem, stają się jakby spętani jakimś szóstym artykułem kodeksu znachorów. Są jakby przekonani, że ujawnienie prawdy wykluczy ich ze społeczności znachorów i pozbawi środków do życia. Najmniej ważny tu jest pacjent, on może umrzeć. Zapominają tylko o małym drobiazgu, o tym, że ich egzystencja też wtedy się kończy.

Wierny maksymie, którą wyraziłem na wstępie, pragnę w tym wystąpieniu naruszyć jeden z tematów tabu.

Pragnę mówić o prawdziwych przyczynach załamania się naszej gospodarki. Przyczyny te moim skromnym zdaniem są głęboko ukrywane przed partią i narodem i nikt nie ma najmniejszego zamiaru ich ujawniać. Wręcz przeciwnie. Kolejne rządy ostatnich paru miesięcy robią wszystko co w ich mocy, aby nie ujawniać przyczyn, oznacza to również, że nie mają najmniejszego zamiaru ich usunąć. Gotowi są czynić wszystko, aby ukryć prawdę przed narodem. Gotowi są rejestrować wszystkie rodzaje „Solidarności”, wiejską, podmiejską czy przysiółkową, gotowi są na zgodę, na transmitowanie na wszystkich kanałach PR i telewizji mszy, a nawet niesporów czy nabożeństw majowych, aby tylko odsunąć na dalszy okres, albo następnemu z kolei rządowi dyskusję nad prawdziwymi przyczynami upadku ekonomicznego Polski. Ale już cofać się nie ma gdzie. Partia musi się uporać z tym problemem.

Towarzysze! nie może być spraw, które przyczyniły się do załamania 35 milionowego zasobnego państwa, a które byłyby niedozwolone do dyskusji w partii typu marksistowsko-leninowskiego lub pomiędzy partiami tego typu.

Towarzysze gdyby były takie sprawy, a które pozostawałyby dalej tematem „tabu”, to śpiewanie Międzynarodówki straciłoby swój sens.

Z całą stanowczością stwierdzam, że przyczyny naszego załamania ekonomicznego tkwią w pewnych szczególnych warunkach wymiany towarowej naszego handlu zagranicznego i w niektórych aspektach niekontrolowanego przez żadne instancje ludowładztwa, internacjonalizmu.

Wypowiadając te słowa nie chodzi mi o podważanie zasady internacjonalizmu czy integracji gospodarczej w ogóle. Chodzi mi o ustanowienie rozsądnych granic, w których naród mógłby żyć i rozwijać się normalnie. W tym miejscu powiem coś o sobie.

Otóż towarzysze byłem gorącym zwolennikiem polityki gospodarczej towarzysza GIERKA przez 3/4 jego kadencji i nie wtydę się tego. Szczególnie nie wstydzę się pierwszych pięciu lat. Zrobiono w tym okresie bardzo dużo, najwięcej ze wszystkich naszych pięciolatek powojennych. Zważywszy, że zadłużenie Polski na 31 grudnia 1975 roku wynosiło w II obszarze płatniczym 3,8 mld dolarów, a w I obszarze saldo było dodatnie jest to wyraźny powód do dumy. Nasze możliwości spłat jako dłużnika, bez naruszenia równowagi rynku wewnętrznego wynosiły w tym czasie około 3 mld dolarów rocznie.

Różni pozał się Boże propagandziści starali się nam wmówić że to SZCZEPAŃSKI, pani GIERKOWA, synowie JĄROSZEWICZA i im podobni okradli Polskę Ludową. Później wymyślili woluntaryzm, a na końcu hutę Katowice.

Pozwólcie, że podam parę faktów o budowie huty Katowice. Huta Katowice kosztowała w I etapie 80 mld złotych. Nakłady finansowe kosztem dewaluacji, czyli druku pieniądza (jest też taki sposób na industrializację). Nakłady materiałowe kosztem wstrzymania paru tysięcy budów, w tym w większości jednostek budżetowych, jak gospodarki komunalnej, lecznictwa, budownictwa socjalnego oraz spółdzielczości. 60 urządzeń zainstalowanych wyprodukowane w Polsce. Ale już w 1950 roku huta dała 4 miliony ton stali, w tym eksport na sumę 800 mln zł dew., a do II obszaru płatniczego za 140 mln dolarów.

Dyrektor Huty Katowice Zbigniew Sztafałda w wywiadzie dla *Polityki* 22 lipca 1978 roku stwierdził, że z analiz w Dyrekcji Huty wynika, że gdyby za cały wsad i robociznę płać w dolarach, to by i tak tona wyrobów walcowanych przynosiła 75 % zysku przy sprzedaży do II obszaru płatniczego. Czyli nie huta Katowice winna. W tym miejscu nasuwa się pytanie dla całego hutnictwa. Dlaczego po przetworzeniu paru mln ton stali w wagony, statki, samochody, obrabiarki i maszyny budowlane oraz samoloty i silniki lotnicze, hutnictwo nasze jest kryzysotwórcze?

Pytanie, co stało się w 1976 roku, jakie mechanizmy zaczęły sterować naszą gospodarką?

Towarzysze nie sposób rozejść się z tej Konferencji nie odpowiedziałwszy na to pytanie. Konferencja wojewódzka, czy IX Zjazd nie dadzą tej odpowiedzi jeśli nie zostaną zainspirowane przez nas. Musimy znaleźć odpowiedź, naruszając najbardziej zakłete rewiry „tabu”.

Nie może być przyczyn, które doprowadziły w ciągu dwu lat 1976-1977 do upadku gospodarczego zasobne i uprzemysłowane państwo, a które pozostaną nieujawnione. Zdziwić może towarzyszy okres lat 1976/77 jaki tu przytoczyłem jako okres załamania się naszej gospodarki. Niestety jest to prawda.

Gospodarka nasza załamała się w 1977 roku. Następne lata to było życie bankruta, życie na pokaz i spożycie z zaciągniętych długów. Obecnie weszliśmy w III etap — towarzysze JAGIELSKI wybiera się na antypody do Japonii. Nie wstydzi się tego, albo może robi to ze strachu. To przecież on jako wice-premier odpowiedzialny za sprawy gospodarcze i RWPG, jako usłużny wykonawca wpędzał nas w przepaść i czyni to dalej.

Niestety IV etap to utrata niepodległości. Czy na to liczy tow. JAGIELSKI?... Czy wtedy nikt nie będzie go rozliczał?

O tym towarzyszu wspomnę jeszcze w drugiej części mojego wystąpienia. To co powiem teraz na początku może się wydawać dla niektórych towarzyszy delikatnie mówiąc kontrowersyjne, albo nawet prowokacyjne. Na publiczne sformułowanie tych poglądów odważyłem się po dokładnym przejrzeniu roczników, fachowych czasopism jak *Życie Gospodarcze* i innych za ostatnie 10 lat. To co powiem potrafię podeprzeć procentami i liczbami bezwzględными z dziedziny dynamiki naszego handlu zagranicznego ostatnich 5 lat. Niektóre sformułowania o dynamice wzrostu z I obszarem płatniczym nadawałyby się raczej do prasy satyrycznej, gdyby tylko nie były tak tragiczne w skutkach dla naszego narodu.

Jeśli towarzysze pozwolą przedłużyć wystąpienie ponad określony limit czasowy kilkanaście z nich przytoczę.

Z grubsza biorąc nasz obecny handel zagraniczny polega na tym, że środki produkcji, licencje, bardzo znaczną część surowców, półfabrykatów i żywność kupujemy za twardą walutę, a finalny produkt w większości sprzedajemy za tak zwany rubel transferowy, który wcale nie jest dewizowym środkiem płatniczym. Owszem mógł on spełniać pomocniczą funkcję miernika wartości do 1975 roku, dokąd to faktyczna wymiana z I obszarem płatniczym była wymianą Clearingową. Mógł spełniać tę funkcję, ale nie musiał. Rzecz polegała na tym, że towar, który mieliśmy sprzedać np. do ZR przeliczaliśmy według notowań giełd zachodnich na dolary, to samo czynił ze swoimi produktami ZR, następnie przeliczano dolary na ruble i w miarę możliwości wzajemnej wymiany towarowej, podpisywano umowę w rublach transferowych. Było w tym oszustwo ale nieznaczne. ZR mógł zdobywać bezdewizowo niektóre produkty nie troszcząc się o licencje, technologie i uruchomienie produkcji.

Większe oszustwo zaczynało się z chwilą naruszenia zasad partnerstwa, to jest przy wymuszaniu od nas eksportu np. wagonów, statków, czy sprzętu lotniczego, to znaczy produktów wysoko przetworzonych, do których wyposażenie musieliśmy kupować za twarde waluty.

Nieszczęście dla nas rozpoczęło się na większą skalę w 1976 r. W tym roku przeszliśmy w pełni na rubel transferowy jako jednostkę obrachunkową.

Zdaję sobie sprawę, że to co teraz mówię jest nudne, ale nie sposób zrozumieć naszego kryzysu bez przebrnięcia przez to rozumowanie.

Encyklopedycznie rzecz ujmując, rubel transferowy oparty jest na parytecie złota, parytet ten wynosi 0,087412 gr złota i równy jest parytetowi rubla radzieckiego.

Jest to kurs administracyjny i prawda o jego wartości jest taka sama, jak prawda o obowiązującym do dzisiaj parytecie naszego złotego obiegowego, którego kurs wprowadzono w październiku 1950 roku, a parytet jego wynosi 0,222168 gramów czystego złota, czyli za 3,24 zł można nabyć 1 dolara.

Taki parytet rubla ma znaczenie wewnętrzne, propagandowe, turystyczne i w rozliczeniach placówek dyplomatycznych.

Historia współczesnego pieniądza zna kursy administracyjne, ale kursy takie muszą być ekwiwalentne do pokrycia towarowego bez żadnych ograniczeń, od żywności poprzez surowce, do najwyższej przetworzonych wyrobów przemysłowych i technologii. Jeśli pieniądz nie spełnia tego warunku może stać się środkiem totalnej grabieży i zależności partnera słabszego od silniejszego. A przecież rubel transferowy nie będąc pieniądzem nie stanowi środka akumulacji rezerw walutowych i nigdy nie był transferowy, czyli przenaszalny. Nie możemy nim płacić zadłużeń w Krajach Demokracji Ludowej, chociaż mieliśmy do 1976 roku dodatnie saldo do ZR.

Dla ZR stanowi on cudowne narzędzie zamiany każdych 62 kopiejek na dolar, a zysk ZR z każdego dolara stanowi naszą stratę. *Ta naiwna wiara naszego rządu i kierownictwa partii w rubel transferowy jest faktyczną przyczyną załamania się naszej gospodarki.*

Jest jednak jeden przypadek, gdzie rubel transferowy może być pieniądzem wymiennym. Otóż, wypłacony naszym urzędnikom RWPG czy dyplomatom w Moskwie i zamienionym po nieco niższym kursie na dolar, następnie kiedy dolar sprzedaje się na czarnym rynku w Polsce i kupi w Polsce na czarnym rynku rubel i dalej zamieni w Moskwie na dolar, wtedy na pewno może być walutą wymienną z zyskiem idącym w postępie geometrycznym.

Posiadacze paszportów dyplomatycznych jakimi niewątpliwie są nasi urzędnicy RWPG mogą z tego korzystać. Gotowi są podpisać każdą umowę niekorzystną dla Polski byle tylko nie stracić paszportu, który przynosi takie zyski. Dlatego z takim zapałem zabrali się po sierpniowej wizycie premiera Kosygina w 1975 r. w Warszawie do poczynań integracyjnych.

Dla nich i tylko dla nich rubel transferowy jest dewizowym środkiem płatniczym. Wracam do tematu.

Przyczyny naszego kryzysu miały ściśle określone miejsce w czasie i w przestrzeni. Przypominam, że do roku 1970 nasza wymiana handlowa z I obszarem płatniczym była wymianą clearingową.

Pierwszą jaskółką była XXV sesja RWPG w 1971 roku w Bukareszcie. Poddano tam pod dyskusję i przyjęto „Kompleksowy program doskonalenia współpracy i rozwoju socjalistycznej inte-

gracji gospodarczej”. Były jednak opory z wprowadzeniem tych założeń w praktyce.

MHZ i GM opanowane było jeszcze przez stare kadry, którym trudno uwierzyć było w rubel transferowy jako środek integracji gospodarczej. Na przykład w umowie z chicagowską firmą International Harvester zawartej w 1972 roku na współpracę i kooperację w budowie i sprzedaży maszyn ciężkich budowlanych, wstawiona była klauzula zabraniająca stronie polskiej sprzedaży tych maszyn do I obszaru płatniczego lub krajów III świata, inaczej niż za twarde dewizy. Było to prawdopodobnie zasługą ówczesnego ambasadora w USA prof. TRĄMPCZYŃSKIEGO, który jako były minister HZ i GM znał wszystkie niuanse naszego handlu, nie ze wszystkim się zgadzał i dlatego zresztą przestał być ministrem. Na XXV Sesji RWPG premier JAROSZEWICZ wygłosił entuzjastyczny referat, aprobując wszystkie sugestie radzieckie. I w tym miejscu zaczyna się jego wina. Następnym krokiem była wizyta premiera Kosygina w Warszawie w sierpniu 1975 roku.

Tematem rozmów była analiza stanu koordynacji narodowych planów gospodarczych Polski i ZSRR na lata 1976/80.

Aż wreszcie Międzynarodowy Bank Współpracy przy RWPG rozpoczął w 1977 roku pełną działalność. Nie przypadkowo ta data wiąże się z pierwszym rokiem naszego kryzysu i staczania się gospodarki po równi pochyłej. Kierownictwo naszej partii i rządu uwierzyło, że jeden dolar w tym czasie był wart jeszcze 69 kopiejek. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, mówi stare polskie przysłowie. Dzisiaj dolar wart jest już 62 kopiejki.

W tym miejscu pragnę przypomnieć jak obraz ten kształtował się dla przeciętnego obywatela oglądającego wieczorem dziennik telewizyjny, jak wygląda w świetle procentów i liczb bezwzględnych i jakie praktyczne skutki miały wyżej wymienione porozumienia między państwowe dla naszej gospodarki.

Pamiętamy wszyscy z drugiej połowy lat siedemdziesiątych z dziennika telewizyjnego niekończące się pielgrzymki radzieckich działaczy gospodarczych w Warszawie. Przyjeżdżali nawet kierownicy resortów gospodarczych trzeciorzędnych republik azjatyckich i podpisywali umowy. Była prawidłowość, po każdym wizycie znikały z półek towary lub surowce odpowiadające branżowo wizycie danego ministra. Premier JAROSZEWICZ z twarzą nabożnego serwilizmu a zarazem przerażenia, tylko podpisywał. I podpisał, niektóre z nich obowiązujące już do 1990 roku. Po wizycie ministra energetyki, zaczęły się kłopoty z węglem. Elektrycznie zaczęły otrzymywać węgiel zanieczyszczony, który według opinii fachowców obniża wydajność elektrowni o 15-17% to jest o tyle, ile wynosi aktualnie niedobór energii. Spadły dostawy węgla dla rolnictwa. Po wizycie ministra przemysłu chemicznego zaczęły się zaburzenia z produkcją nawozów sztucznych i chemii użytkowej. Po wizycie ministra zdrowia nagle zabrakło leków. Po wizycie umundurowanych działaczy gospodarczych, w zakładach elektroniki scalonej w okolicach Warszawy

i we Wrocławskiej „Elwro” zmieniono pierwotne plany produkcji — rozpoczął się eksport podzespółów do I obszaru idący w dziesiątki milionów podzespółów rocznie.

Wreszcie po wizycie ministra rolnictwa tow. BARCIKOWSKI jako minister rolnictwa rozpoczął z premedytacją rozkładanie tego resortu. Staliśmy się faktycznym eksporterem zboża i mięsa do ZR. Kiedy pierwszy raz informacje te dotarły do mnie nie wierzyłem, uznałem je za wrogą propagandę. Ale niepokojąca ilość transporterów z burakami w kierunku Braniewa, przypadkowo, niedokładne informacje o reeksportie zboża zmieniły moje poglądy. W opublikowanych opracowaniach naszych naukowców, którzy odważyli się sporządzić nasz bilans zbożowy brakuje 4-6 milionów ton zboża rocznie. Dlatego kiedy jesienią ubiegłego roku usłyszałem informację o tym, że transporty wożące zboże na tak zwany przemiał do NRD i Czechosłowacji wracają puste, już nie dziwiłem się.

A przecież jeszcze w 1975 roku przy produkcji przeszło 3 mln ton mięsa i w eksporcie na zachód około 1 miliona ton mięsa importowaliśmy tylko 3,5 mln ton zbóż za sumę 2,9 mld dolarów. Obecnie importujemy 10 mln ton.

Zrozumiałą jest rzeczą, że handlowcy radzieccy dysponujący takimi narzędziami w ręku jak Międzynarodowy Bank Współpracy i rubel transferowy oraz mając tak naiwnego kontrahenta jak polskie MHZ i GM nie będą stymulować rozwoju żywności we własnym kraju. Przecież to dla nich „Eldorado”, kopalnia dewiz bez brudzenia rąk (jeśli chodzi o czystość sumień to nie jestem o tym przekonany).

Pytanie, jak ta dynamika handlu z I obszarem płatniczym wyglądała w procentach?

Procenty bywają czasem złudnym miernikiem. Należy tu założyć, że mały procent od małego obrotu to mało, ale duży procent od wielkiego obrotu to bardzo dużo. (Pod koniec wystąpienia ustosunkuję się do wypowiedzi naszych działaczy gospodarczych w audycji telewizyjnej pt. „Forum korespondentów” w dniu 12 marca 1981 roku, podejmę się próby wyjaśnienia jak bilans dodatni naszego handlu z I obszarem płatniczym zmienia się na ujemny i „przy pomocy” jakiego resortu się to załatwia).

Wracam do procentów. Dynamika wzrostu handlu zagranicznego ze ZR przedstawiała się następująco:

- lata 1966-1970 — 8,2 % rocznie;
- lata 1970-1975 — 17,0 % rocznie;
- lata 1976-1980 — 22,0 % rocznie (założono).

Przyrost produkcji w latach 1976-1980 wynosił 5,8 % rocznie. I tu widać lukę. Wzrost eksportu kilkakrotnie przekraczał przyrost produkcji. Znajdujemy tu zarazem część odpowiedzi na pytanie, dlaczego z roku na rok w ostatniej 5-latec pogarszało się zaopatrzenie w żywność i artykuły przemysłowe i dlaczego tylko 4 % produkcji przemysłowej mogliśmy poświęcić dla rolnictwa w 1980 roku, a według audycji telewizyjnej w dniu 5 maja 1981 roku pt.: „Słowo się rzekło” z przedstawicielami i kierownikami

odpowiednich resortów w 1981 roku przemysł nie dostarczy nawet tych obiecanych 4 %. Wywiązanie się nawet z tych skromnych zobowiązań wobec rolnictwa wymagałoby rewizji radośnie podpisanych umów w latach 1975/80 z I obszarem płatniczym i wyjaśnienia w sposób partnerski rządowi radzieckiemu i kierownictwu KPZR co jest przyczyną naszego kryzysu.

Niestety z kilkusekundowych migawek telewizyjnych serwowanych nam ze spotkań naszego rządu i kierownictwa partii z towarzyszami radzieckimi wynika, że zachowują się oni jak skarceni uczniacy wobec surowego nauczyciela i nie jest pewne czy zdobędą się na szczerą partyjną dyskusję.

Towarzysze, pojęcia względne nie do każdego przemawiają. Dlatego wypisałem kilkanaście przykładów w liczbach bezwzględnych i procentach, które najlepiej w sposób obrazowy charakteryzują dynamikę tych obrotów w ostatnim 5-leciu.

Oto one:

— ZR stał się ostatnio największym odbiorcą polskich urządzeń aparatury wysokiego napięcia i kompletnych stacji transformatorowych. Zrezygnował on w ostatnich latach z importu tych urządzeń z II obszaru płatniczego (ja też bym zrezygnował) (ŻG Nr 50/76).

— Na ogólną liczbę 60 tys. kompletów hamulcowych montowanych w zakładach „Kamaz”, 50 tys. kompletów produkowanych jest w m. Praszka (ZŻ Nr 29/76).

— W latach 1975/76 ZR potroił zakupy w Polsce urządzeń górniczych i wydobywczych (ŻG Nr 27/77).

— Biaostocka Fabryka Uchwytów do obrabiarek w 1972 roku wyprodukowała w ogóle 3 tys. sztuk uchwytów. W 1976 roku wyeksportowała 46 tys. sztuk do ZR.

— Dzięki usatysfakcjonowaniu odbiorców w ZR zakłady H. Cegielski w latach 1976/80 zwiększyły eksport wagonów do ZR o 60 % (ŻG Nr 38/76).

— Zakłady „Zastal” w Zielonej Górze wyprodukowały w ogóle 130 tys. wagonów, z tego do ZR wyeksportowały 92 tysiące (ŻG Nr 41/77).

— W 1978 roku eksport maszyn do ZR wzrósł o 30 % w stosunku do 1977 roku (ŻG Nr 48/78).

— Największym odbiorcą telefonów z Polski jest ZR. Zrezygnował z importu z II obszaru. Wyeksportowaliśmy tam 5 mln sztuk (ŻG Nr 22/78).

— Statki sprzedajemy na kredyt 10-15 lat, sami kupujemy za gotówkę i drożej (Dz. Bałtycki z 7. 4. 1981 r.).

— W latach 1981-1985 roczny eksport „Bumaru” do ZR wyniesie 1000 sztuk koparek, 860 samoladowarek, 15 tysięcy skrzyń przekładniowych. Razem 62 typy maszyn budowlanych. Według analizy Andrzeja CHMIELEWSKIEGO (Życie Gospodarcze Nr 6/80) cały ten eksport posiada bardzo duży wsad zespołów i elementów kupowanych za dewizy a sprzedawanych za ruble transferowe (ŻG Nr 6/80).

— Do ZR kierujemy 60 % polskiego eksportu systemów komputerowych, automatyki przemysłowej, automatyki analogowej i aparatury fizyko-chemicznej (Polityka Nr 3/78 Export-Import). Pozostałe 40 % eksportu to zobowiązania licencyjne.

— ZR jest głównym odbiorcą fabryki silników lotniczych w Rzeszowie. Roczna produkcja około 15 tys. sztuk (audycja telewizyjna).

— Polska zawarła ze ZR umowy na dostawy armatury. Potrzeby krajowe uzupełnia się z importu przynoszącego straty dewizowe w stosunku do korzyści dewizowych z eksportu (Przebieg techniczny Nr 20/78).

— Zakłady Lokomotyw „Pablok” w Chrzanowie zrezygnowały z produkcji części zamiennych do lokomotyw spalinowych integrując się w 1978 roku z fabryką dźwigów w Odessie. Pociągnęło to za sobą unieruchomienie kilkuset lokomotyw w zimie stulecia 1979 roku.

— Do 1975 roku Polska na ogólną ilość wyeksportowanych fabryk kwasu siarkowego wynoszącą 45 sztuk do ZR wyeksportowała 25 fabryk. Zaś na lata 1976-1980 zawarła umowy na wyeksportowanie do ZR 33 takich fabryk. Każda o wydajności 380 tys. ton kwasu rocznie (ZZ Nr 27/76).

— ZR zawarł umowy na lata 1981-85 na dostawy węgla do NRD w ilościach 4,1 mln ton rocznie, do Czechosłowacji 3,2 mln ton rocznie i z włoską firmą „Finsider” na dostawy 2,2 mln ton rocznie. Pytanie zasadnicze. Którą drogą odbywa się ten eksport? Cztery punkty przeładunkowe na naszej wschodniej granicy i linia szerokotorowa ekspediuje węgiel akurat w odwrotnym kierunku. Wynika z tego, że eksport ten znów przysparza nam 62 kopiejki za każdy dolar wartości tak sprzedanego węgla. (Polityka Nr 21/80; Polityka Nr 9/80; Polityka Nr 12/79).

Towarzysze są to tylko nieliczne przykłady wybrane z kilkuset zakładów przemysłowych, z których do 90 % produkcji kierujemy do I obszaru płatniczego.

Cała lista obejmuje wiele tysięcy pozycji. Są wśród nich stocznie, zakłady lotnicze, WSK, fabryki wagonów, przemysł elektroniczny, zakłady zbrojeniowe. Podtrzymywanie tego eksportu i zapewnienie ciągłości produkcji kosztuje nas miliardy dolarów rocznie. Według oświadczenia ministra Krzaka na łamach *Dziennika Bałtyckiego*, aby zapewnić tę produkcję należałoby w 1981 roku dodatkowo pożyczyć na Zachodzie zawrotną sumę 11 mld dolarów (*Dziennik Bałtycki* Nr 75/81). I tu znajdujemy odpowiedź na pytanie dlaczego w rolnictwie brak aktualnie 80 tys. narzędzi i części zamiennych do maszyn, dlaczego wartość zamrożonych z tego tytułu maszyn osiąga zawrotną sumę 430 mld złotych, a kolejka na mieszkanie wydłuża się do 12 lat. Podobna sytuacja z częściami zamiennymi jest również w górnictwie.

Skala tego eksportu opisana jest dość dokładnie w artykułach: „Są wszelkie dane” (*Polityka* Nr 45/78), „Mity i prawda o handlu ze ZR” (*Polityka Eksport-Import* Nr 2/81) oraz w reportażach

z „Wystawy osiągnięć Polski Ludowej w Moskwie w 1974” (*Perspektywy* Nr 31/74 i tygodnik *Polityka*).

Zainteresowanych odsyłam do tych artykułów.

Myslą przewodnią tych artykułów jest wykazanie, że na eksporcie do ZR co prawda tracimy prawie na wszystkim, ale zyskujemy na imporcie tych 9 mln ton rudy i 13 milionów ton ropy, które sprowadzamy z ZR.

Mit ten został ostatecznie obalony w audycji telewizyjnej pt.: „Forum korespondentów” w dniu 12 marca 1981 r. Audycja miała cel propagandowy. Występowali tam nasi wicepremierzy od spraw gospodarki, przedstawiciel handlowy ZR Borys Pałowicz KOŁTUNOW i kilku wyższych rangą głupawych urzędników ministerialnych, których zadaniem było powtarzanie banałów o pomocy i przyjaźni.

Cztery wypowiedzi zasługują na uwagę i moim zdaniem warto je zapamiętać.

Wicepremier JAGIELSKI wypowiedział tylko jedno zdanie. Powiedział on: „Za ubiegłe 5 lat rachunku komplementarnego nie robiliśmy i warto byłoby żeby resort MHZiGM dokonał takiego rachunku”... Dziwne, Towarzysze, który jako wicepremier odpowiedzialny w rządzie za sprawy integracji socjalistycznej i RWPG nie wie czy na tym handlu tracimy czy zyskujemy. A przecież to on po VI plenum opublikował w partyjnej prasie artykuł o korzyściach płynących dla Polski z handlu polsko-radzieckiego, poinformował nas, że ZR zapewnia nam 100 % importu na tarcie. Zapomniał tylko napisać jeśli już o drewno chodzi, do kogo eksportujemy połowę produkcji naszych mebli. Wydaje się, że ten Towarzysze kpi sobie z nas. Minister KRZAK poinformował nas, że w eksporcie maszyn do ZR rubel transferowy kosztuje nas 44 zł i 44 gr, ale jest gorzej przy imporcie surowców i tutaj koszt rubla transferowego jest znacznie wyższy i przekracza ustaloną wartość 44 zł 44 gr. Czyli obalił mit o tanich surowcach.

Sytuację pragnął uratować pan Borys KOŁTUNOW i oświadczył on, że ZR też traci na handlu z Polską. Że przecież ZR sprowadza z II obszaru płatniczego blachę na samochody „Łada” które eksportuje do Polski i traci na tym. Nie wiem czy obecnie kupujemy jeszcze samochody „Łada”. Sprawdziłem, największej sprowadziliśmy ich w 1977 roku, to jest 5.000 sztuk. 1 tona blachy surowej na samochody w zwojach kosztuje 300 dolarów. Z 1 tony wychodzi 5 karoserii. ZR stracił na eksporcie do Polski w 1977 roku 300 tys. dolarów.

Nasze straty rocznie wynoszą tyle o ile wzrasta rocznie zadłużenie od 1977 roku, to znaczy od chwili kiedy przeszliśmy na transfer rublowy. Wynosi to około 6 miliardów dolarów rocznie. Dodać do tego należy ograniczoną konsumpcję, straty w substancji mieszkaniowej, w rolnictwie i wielomiliardowe koszty, które musi ponieść Naród w wyniku załamania się naszej gospodarki. Jeśli o argument pana KOŁTUNOWA chodzi, to pragnę go uzupełnić o informacje — że do tego samochodu Polska produkuje i dostarcza 10 podzespołów i części, podobnie jak Buł-

garia, Węgry, 18 podzespołów, Czechosłowacja instalację elektryczną, itp. (*Polityka* Nr 39/80).

Najważniejszą wypowiedzią była jednak wypowiedź ministra przemysłu maszynowego. Stwierdził on w wyżej wymienionej audycji, że nasz eksport maszyn i urządzeń do ZR dwukrotnie przekracza import ze ZR.

Pytanie — dlaczego bilans jest ujemny?

Zaryzykuję próbę rozszyfrowania tej sprzeczności. Zaznaczam, że wszystko to obwarowane jest artykułami, paragrafami i zakazami cenzury. I tutaj nawet na forum partyjnym nie można swobodnie dyskutować. Może to uczynić Zjazd i moje wystąpienie jest tylko próbą zwrócenia uwagi tym działaczom, którzy będą mieli coś na tym Zjeździe do powiedzenia, w którym kierunku należy szukać żeby znaleźć wyjście z obecnej sytuacji.

Towarzysze, w polityce i świecie wielkiego biznesu znane jest powiedzenie, że na broń nie ma ceny. Choć w warunkach konkurencji podaży istnieje jakiś pułap cen.

Może awanturnicze państwa naftowe jak Libia czy Irak mogą płacić każdą cenę. Pytanie czy my możemy? My mamy tylko jednego dostawcę. W społeczeństwie krążą wieści o horrendalnych cenach jakie płacimy za uzbrojenie importowane ze ZR. Choć w każdej plotce jest część prawdy jak mówi stare polskie przysłowie, nie będą tutaj powtarzał niesprawdzonych informacji.

Nie ważne w tej chwili czy za jeden współczesny samolot wojskowy płacimy 25 czy 250 śmigłowców. Skłaniam się raczej uwierzyć w 250 sztuk. Nie ważne czy za dwa wagony konstrukcji stalowej służącej celom obronnym płacimy jednym czy dwoma dziesięcioletnikami oraz czy za lampę elektronową próżniową, wartości 100 zł, której elektroda pokryta jest paroma miligramami platyny płacimy 14 czy 42 tysiące złotych.

Ważny jest problem, że istnieje i bez odtajnienia tych spraw i wyjaśnienia do końca, łącznie z otwartą dyskusją sejmową i komisją sejmową, która będzie miała wgląd we wszystkie tajniki obrony, nie będzie prawdziwie partnerskich stosunków handlowych ze ZR.

Podkreślam, że wnikliwa analiza importu uzbrojenia może być szyfrem, który wyjaśni dlaczego nasz bilans handlowy z I obszarem płatniczym stał się ujemny.

Towarzysze, jeśli Teodorowi byłemu kierownikowi Wydziału Kadr KC PZPR udało się w ciągu 5 lat skompletować zespół wicepremierów, ministrów i wiceministrów do spraw gospodarczych, którzy uwierzyli bądź udają, że wierzą, że rubel transferowy jest dewizowym środkiem płatniczym, to czy w rezerwie obrony nie mogli się znaleźć ludzie o lumpenproletariackiej filozofii życiowej, którzy stanawszy przed groźbą utraty swojego stanowiska służbowego i przywilejów gotowi są również uwierzyć w porzekadło, że „na broń nie ma ceny”.

Na zakończenie pozwolę sobie powiedzieć parę słów na temat niektórych materialnych aspektów internacjonalizmu.

W okresie wojny Wietnamskiej w jednym z reportaży z NRD przeczytałem o tym jak NRD pomagało Wietnamczykom. Członkowie Związków Zawodowych w zakładach pracy opodatkowali się na pewien procent i po roku otrzymywali sprawozdania jakie ilości broni, lekarstw czy żywności zostały wysłane do Wietnamu.

Rządy najbogatszych państw świata udzielając pomocy wojskowej czy gospodarczej muszą uzyskać na to zgodę organów przedstawicielskich.

U nas robi się to bez żadnej kontroli, decyzją dwu lub trzech osób, jakby te miliardy dolarów stanowiły ich prywatną własność. Przecież przyczyną kryzysu w 1970 roku i zmiany ekipy było nadmierne zaangażowanie się ekipy tow. GOMUŁKI w niekontrolowaną pomoc wojskową i gospodarczą dla Indii, Indonezji, Egiptu, Wietnamu, Ghany. *Należymy do światowej czołówki w eksporcie czołgów.* Gorzej z płatnościami. Można by się pokusić o dowód, że pomoc wojskowa i gospodarcza tylko dla Egiptu pod koniec lat sześćdziesiątych osiągnęła wartość powyżej dwu miliardów dolarów. Jak to się zakończyło? Czołgi zostały na pustyni. Dla nas pozostały długi i dla Egiptu długi. Ale Egipt ich nie musi spłacać. Indonezja zaczęła spłatać za nasze cukrownie, stacje radiolokacyjne i radiostacje za kilkadziesiąt lat.

Indiom oprócz czołgów fundnęliśmy 4 kopalnie węgla, dwie w ramach pomocy i dwie na 25-letni kredyt. Im bardzo potrzebna była pomoc, szczególnie w budowie broni jądrowej i w realizacji programu kosmicznego. Indie przestały żebrać, my zaczęliśmy. W czasie jednej podróży służbowej na Śląsk naliczyłem 30 czołgów przygotowanych do wyeksportowania statkami. Koszty produkcji jednego czołgu wynoszą *około miliona dolarów.* Dla porównania podam, że wartość transakcji z angielską firmą „.....” na produkcję traktorów w Ursusie, którą tak opluli nasi publicyści wynosiła tylko 34 mln dolarów, to jest tyle ile w ciągu dwu kolejnych nocy wyeksportowano czołgów ze Śląska do portów. A transakcja ta obejmowała licencję, projekt, technologię i nadzór nad uruchomieniem. Nie wiem gdzie powieziono ten sprzęt. Ale jeśli powieziono go do Angoli, Etiopii, Wietnamu czy Kuby, to zwrot kosztów będzie podobny jak za sprzęt „sprzedany” Egiptowi pod koniec lat siedemdziesiątych.

Towarzysze, te przykłady, które podałem przed chwilą to tylko kropla w morzu transakcji, które pod nadzorem handlu zagranicznego, bez zgody narodu i bez kontroli organów przedstawicielskich zawiera nasz resort handlu i są one drugą przyczyną naszego upadku.

Ten ponury bilans można by ciągnąć w nieskończoność.

To co tutaj powiedziałem jest tylko zasygnalizowaniem problemu, którego w żadnym wypadku nie wolno pominąć, zastanawiając się nad skutecznymi drogami wyjścia z obecnego kryzysu politycznego i ekonomicznego. Cel jaki sobie postawiłem przed moim wystąpieniem — to obudzić sumienia partyjne i

wskazać kierunek — a nie drogę. Drogę winien wskazać IX Zjazd naszej Partii.

Jedno jest pewne, partia musi znaleźć odwagę i siłę do usunięcia przyczyn obecnego kryzysu, którego przyczyny tkwią w warunkach niesprawiedliwej wymiany handlowej, graniczącej z totalną grabieżą.

Muśnięcie problemu po powierzchni nie wystarczy. Tu są konieczne długotrwałe rozmowy z kierownictwem radzieckim i cierpliwe wyjaśnienia z naszej strony, dlaczego ten stan jest niekorzystny dla obydwu stron.

Przygotowań do tych rozmów i bilansu nie mogą robić ludzie odpowiedzialni za obecny stan i to od drobnego urzędnika RWPG począwszy, a na wiceministrze kończąc.

Jeśli nie zdobędziemy się na to najpóźniej w okresie IX Zjazdu, to wszystko straci sens.

Szeregi naszej partii zaczną topnieć. Zostanie w niej kilkaset tysięcy pracowników administracji, organów bezpieczeństwa i wojska, to jest ludzie, którzy odczuwają wstręt do pracy fizycznej. Długi będą rosnać, staniemy w ciągu kilku lub kilkunastu miesięcy na granicy bytu biologicznego, i w tym miejscu do posępnego scenariusza wydarzeń, napisanego w związku z wydarzeniami w Bydgoszczy przez ludzi nie rozumiejących ducha tego narodu, scenariusze zaczną dopisywać nasi wrogowie klasowi i narodowi. Są siły na zachodzie, które chętnie widziałyby w Polsce drugi Afganistan. Już nawet wymyślili sposoby na zaopatrywanie stron w totalnej wojnie partyzanckiej. Mają żłudną nadzieję, że sami będziemy się wykrwawiać, aż do unicestwienia narodowego łącznie.

Tego argumentu też nie można pominąć w partnerskich rozmowach z naszymi przyjaciółmi, nad sposobami wyprowadzenia Polski z kryzysu.

Pominięcie wyżej wymienionych problemów w dyskusji przedzjazdowej nie uzdrowi naszej sytuacji.

IX Zjazd będzie jeszcze jednym pozornym Zjazdem.

Marian RAJSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

CZESŁAW MIŁOŚZ

« DZIEŁA ZBIOROWE »

POEZJE, T. I, str. 292 cena F. 75,00 (\$US 18,00).

POEZJE, T. II, str. 240 — cena F. 70,00 (\$US 17,00).

ZNIEWOLONY UMYŚŁ, T. III, str. 240 —
cena F. 60,00 (\$US 15,00).

ZDOBYCIE WŁADZY, T. IV, str. 160 —
cena F. 50,00 (\$US 13,50).

DOLINA ISSY, T. V, str. 1946 —
cena F. 60,00 (\$US 15,00).

RODZINNA EUROPA, T. VI, str. 248 —
cena F. 60,00 (\$US 15,00).

PRYWATNE OBOWIĄZKI, T. VII, str. 256 —
cena F. 60,00, (\$US 15,00).

ZIEMIA ULRO, T. VIII, str. 224 —
cena F. 60,00, (\$US 15,00).

WIDZENIA NAD ZATOKĄ SAN FRANCISCO,
T. IX, str. 172 — cena F. 40,00 (\$US 10,50).

OGRÓD NAUK, T. X, str. 256 —
cena F. 65,00 (\$US 15,75).

W druku T. XI — Poezje (3)

Leon L. Keyna, Launceston, Tasmania — F. 6.063,30 z czego:		
na T.K.N.		F.2.021,10
na K.P.N.		F.2.021,10
na <i>Bratnia</i>		F.2.021,10
Stan Radkowski, Mc Guire AFB, N.J. (USA) — \$ 120,00,		
z czego na:		
Fundusz <i>Kultury</i> — \$ 60,00		F. 330,00
na NSZZ „Solidarność” — \$ 60,00		F. 330,00

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY”

Z przykrością zawiadamiamy, że na skutek stałego wzrostu cen i w tym roku zmuszeni jesteśmy podwyższyć prenumeraty naszych pism:

w roku 1982 roczna prenumerata *Kultury* wynosi — F. 260,
półroczna — F. 135,
cena pojedynczego numeru — F. 25,
cena podwójnego numeru — F. 40.

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* — F. 200,
dla prenumeratorów *Kultury* — F. 180,
cena pojedynczego zeszytu — F. 50.



Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trim. 1981.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon: (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
ARGENTYNA : « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-termgasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 225,00	F.B. 1200,00	F.B. 2350,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Vevy rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczanski, 90 Hilliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 10,00 F. 25,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 135,00	\$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 260,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 25,00	K.S. 135,00	K.S. 260,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145, Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut St., Philadelphia, Pa. 19103. POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; E. I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, Tel. (213) 540-2398; Jan Wojcik, 674, Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene St., Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.260; półroczna — F.135.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

TEKSTY I PRETEKSTY

Zbiór esejów
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.



TOM 342 — JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

Szkice, wspomnienia, opowiadania
Część I — Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA.
Część II — TUMULT I WIDMA.
Część III — LUDZIE I KSIĄŻKI.

Str. 352.

Cena F. 85,00.



TOM 343 — MARIA JANUSZEWICZ

KAZACHSTAN

Polacy w Kazachstanie w czasie wojny 1939-1945 i później aż do repatriacji do Polski. — Resztki zesłańców polskich z Ukrainy z lat trzydziestych.

Str. 200.

Cena F. 55,00.



TOM 344 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY ÓSMY

Zawiera m.in. opracowania: Marii Trojanowskiej — *Pomocnicza Służba Kobiet PSZbr. na terenie ZSSR*; Leonidasa A. B. Kliszewicza — *Baza w Sztokholmie*; St. Korbońskiego — *Polskie Państwo Podziemne jako zjawisko socjologiczne*. RECENZJE. OKRUCHY HISTORII. LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 45,00.